



Hańba Ameryki

Jak Roosevelt wspierał
Stalina w sprawie Katynia

Wywiad z Wyklętym

Żołnierz podziemia
odbity z rąk UB

Złoto Hitlera

Jak bezpieka w Sudetach
szukała skarbów III Rzeszy

NR 4(86)/2020 KWIECIEŃ 2020

CENA 8,90 Zł (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO
PZECZY
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO



Zbrodnia i kłamstwo

KATYŃ



ISSN 2299-9515

DO PZECZY HISTORIA

Nr indeksu 296.031

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
RZECZY



STRAŻNIK PAMIĘCI

2020

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER



ADRES: HISTORIA DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
Prowadzący: Marcin Bartnicki

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY” JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY”.

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:

Redaktorzy: **Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzry, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Marek Budzisz**

WYDAWCA:

Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA: **Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska**

Zarząd spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:

reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:

(PR manager), pr@mpmg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż),
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@mpmg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515

Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” jest zabronione. © Wszelkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Od redaktora /  **Piotr Zychowicz**

Sowiecka barbaria, anglosaska perfidia

O siemdziesiąt lat temu – w kwietniu 1940 r. – bolszewicy zgładzili naszych oficerów. Kwiat rycerstwa polskiego. Zamordowali ich pojedynczymi strzałami oddanymi w tył czaszek. Część egzekucji odbyła się w mrocznych kazamatach więzień NKWD, część ofiar oprawcy uśmiercili wprost nad otwartymi, zbiorowymi mogiłami.

Ostatnią rzeczą, którą widzieli w życiu skazani na śmierć Polacy, były zakrwawione ciała swoich kolegów. Dziesiątki, setki. Trudno wręcz wyobrazić sobie, jakie katusze, jakie męki duchowe przeżywali w ostatnich sekundach życia.

W sumie – w Katyniu, Smoleńsku, Twerze, Charkowie, Kijowie i Mińsku – sowiecka bezpieka zamordowała 22 tys. Polaków. Oficerów, ale również policjan-tów, żołnierzy KOP, ziemian, urzędników państwowych, przedstawicieli inteligencji i elit ziem wschodnich. W ten sposób bolszewicy wyrąbali w ciele narodu polskiego krwawą ranę, która nie zasklepiła się nigdy.

Wyrok wydali Stalin i inni przedstawiciele biura politycznego partii bolszewickiej. Uznali oni, że Polacy są kontrrewolucjonistami, którzy nie rokuja nadziei na poprawę. I w przyszłości będą stawiać opór w trakcie planowanego podboju, sowietywacji Polski. Tak jak w latach 1917–1921 bolszewicy wymordowali oficerów i przedstawicieli elit Rosji, tak teraz ten sam los spotkał oficerów i przedstawicieli elit Polski.

Potworna zbrodnia katyńska jest jednym z tysiąca dowodów potwierdzających tezę, że komunizm był najpotworniejszą, najbardziej ohydłą ideologią w dziejach ludzkości. A obowiązkiem każdego przyzwoitego człowieka było jej zwalczanie. Upadek Związku Sowieckiego w 1991 r. nie był wcale „największą geopolityczną katastrofą” – jak twierdził swego czasu Władimir Putin – ale najpiękniejszym wydarzeniem XX w.

Samo wymordowanie polskich oficerów bolszewikom nie wystarczyło. Po zbrodni nastąpiło kłamstwo. Sowietci przez kilkadziesiąt lat kłamali w żywe oczy, zrzucając winę za Katyń na Niemców. A każdego, kto miał odwagę mówić prawdę, bolszewicy oskarżali, że jest „faszystą”, „kłamcą” i „sługusem Hitlera”.

W dziele zakłamywania, tuszowania prawdy o Katyniu bolszewikom pomagały tabuny pożytecznych idiotów, czyli sympatyków komunizmu na Zachodzie. Kłamliwą sowiecką wersję bezkrytycznie przyjęli również nasi ukochani „sojusznicy” – Wielka Brytania i Stany Zjednoczone. Gdy Polacy próbowali dociekać prawdy, Churchill i Roosevelt irytowali się na nich, że „rozbijają koalicję antyhitlerowską”.

„Niech pan się nie martwi o martwych. Niech pan się martwi o żywych” – mówił obłudnie Władysławowi Sikorskiemu Churchill.

Oczywiście martwimy się o żywych. Jednak wbrew radzie brytyjskiego premiera nigdy nie zapomnimy o martwych. O naszych oficerach bestialsko zamordowanych przez bolszewickich oprawców. Dopóki będzie żył ostatni Polak, dopóty będzie oddawał hołd ofiarom zbrodni katyńskiej. ©©



/ TEMAT NUMERU

.6 THOMAS URBAN

Ameryka po stronie Stalina

.14 PATRYK PLESKOT

Kapłani zgładzeni w Katyniu

.18 MACIEJ ROSALAK

Mord generalów

.22 TOMASZ STAŃCZYK

Kłamstwo katyńskie

/ CZASY I LUDZIE



.26 JAKUB OSTROMĘCKI

**„1917”:
Rzeź w błocie**

.32 MAREK GAŁĘZOWSKI

Zapomniane powstanie

.36 SERGIUSZ PAPLIŃSKI

Walczyłem z „Szarym” przeciw UB.40 GRZEGORZ
JANISZEWSKI**Bezpieka na tropie złotego pociągu**.44 SŁAWOMIR
KOPER**Polski bombiarz**.48 ARKADIUSZ
KARBOWIAK**Operacja „Kalavryta”**

.52 PIOTR WŁOCZYK

Tajemnica lotu JAT 367

.56 PIOTR ZYCHOWICZ

Przeciw idei powstańczej

.60 MARIAN ZACHARSKI

Szwajcarska pomoc dla Polski

.64 MIKOŁAJ IWANOW

Gehanna węgierskich jeńców

.68 PIOTR SEMKA

Trzykrotny powrót Szczecina

/ CO CZYTAĆ

.74 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Jerzy Andrzejewski: odczytywanie popiołów

/ FELIETONY

.84 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

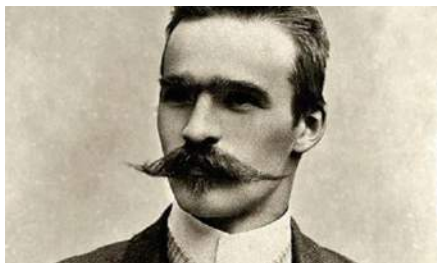
Paradoks niemocy

.85 PIOTR SEMKA
Chwałkovsky i Szykowski



.99 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Janusz Cisek (1955–2020)

/ KRESY



.86 TOMASZ STAŃCZYK
Józef Piłsudski nad Wilią

/ BATALIE I WODZOWIE



.90 MACIEJ ROSALAK
Zagończyk nieźrównany

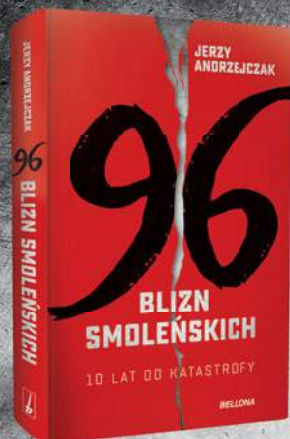
/ KOMIKS

.98 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI
I MACIEJ JASIŃSKI

Walka o most w 1920 r.



REKLAMA



BLIZNY, KTÓRE ZNACZĄ NASZĄ HISTORIĘ.

KROK PO KROKU. PŁACZ PO PŁACZU. ŁZA PO ŁZIE...

BELLONA

księgarnie  Świat Książki

 swiatksiazki.pl

Wywiad / Z Thomasem Urbanem, niemieckim historykiem



rozmawia Piotr Zychowicz

Ekshumowane ciała polskich oficerów.
Katyń, 1943 r. FOT. MUZEUM KATYŃSKIE

Ameryka po stronie Stalina

/ Gdy wybuchła sprawa Katynia, prezydent Roosevelt i amerykański rząd bez zastrzeżeń przyjęli sowieckie kłamstwa. Polaków oskarżono o rozbijanie koalicji

PIOTR ZYCHOWICZ: W styczniu 1944 r. Kathleen Harriman – córka ambasadora Stanów Zjednoczonych w Moskwie – wsiadła do luksusowej sowieckiej salonki. W pociągu czekały na nią kawior i szampan. Gdzie podróżowała?

THOMAS URBAN: Do Katynia. Nad doły śmierci, w których leżały ciała zamordowanych przez NKWD polskich oficerów. Pociąg dotarł do stacji kolejowej w Smoleńsku, a stamtąd cała grupa została przetransportowana amerykańskimi jeepami do katyńskiego lasu.

To były jeepy przekazane Sowieciom przez Amerykanów w ramach Lend-Lease?

Tak, oczywiście.

Kto wchodził w skład grupy?

Korespondenci zagranicznej prasy akredytowani w Moskwie. Amerykanie, Brytyjczycy i jeden Francuz. Plus panna Harriman i amerykański dyplomata, który jej pilnował. Ona miała w końcu dopiero 26 lat.

Dlaczego ta „wycieczka” odbyła się akurat w styczniu 1944 r.?

Ponieważ front przesunął się na Zachód. Sowieci odbili Smoleńsk z rąk Niemców i przeprowadzili w Katyniu własne „badania” zbrodni. Wyniki tych „badań” chcieli pokazać wpływowym przedstawicielom prasy alianckiej. Chodziło oczywiście o to, żeby dziennikarze ci propagowali kłamliwą sowiecką wersję wydarzeń na łamach swoich gazet. Żeby ogłosili światu, że to Niemcy wymordowali polskich oficerów.

Jak to wyglądało w praktyce?

Po przybyciu do Katynia panna Harriman i reszta grupy zostali zaprowadzeni nad otwarte, masowe mogiły, w których spoczywały szczątki Polaków. A potem Sowieci zaprowadzili obcokrajowców do ogrzewanego namiotu, w którym czekał na nich wybitny moskiewski lekarz,



William Averell Harriman, ambasador Stanów Zjednoczonych w Związku Sowieckim, z córką
FOT. GETTY IMAGES

prof. Wiktor Prozorowski, dyrektor Państwowego Instytutu Naukowo-Badawczego Medycyny Sądowej. Prozorowski miał na rękach czerwone gumowe rękawiczki. Na oczach grupy przeprowadził autopsję jednego z ciał. Następnie pokazywał dziennikarzom fragmenty tkanek – paski mózgu i wątroby. Zapewnił ich, że dobry stan zachowania organów wewnętrznych świadczy niezbicie o tym, że Polacy zostali zamordowani latem lub jesienią 1941 r. A więc wtedy, gdy Smoleńsk znajdował się w rękach Niemców.

Co było potem?

Potem były obfity obiad i konferencja prasowa, podczas której Sowieci zaprezentowali dziennikarzom „świadców”. Byli to podstawieni ludzie, którzy wyglądali na przygotowane dla nich przez NKWD kwestie. Oczywiście wszyscy „świadcowie” winą obciążyli Niemców.

Przekonało to dziennikarzy?

Niektórych tak – inni mieli wątpliwości. Mówili o tym nawet w pociągu powrotnym. Co nie przeszkodziło im

pić w nim alkoholu. Były nawet wspólne śpiewy z sowiecką eskortą. Ostatecznie większość dziennikarzy, która wzięła udział w wyprawie, wysłała do swoich redakcji artykuły wspierające wersję sowiecką. Były one następnie przedrukowywane przez kolejne gazety i cytowane przez agencje prasowe.

A Kathleen Harriman?

To była piękna, wysportowana dziewczyna. Potrafiła oczarować każdego mężczyznę. Była ozdobą korpusu dyplomatycznego w Moskwie. Jej ojciec – Averell Harriman – był wdowcem i wszędzie ją ze sobą zabierał. Wzięła udział w spotkaniu ze Stalinem, pojechała na konferencje w Jałcie i Poczdamie. Ambasador Harriman był dumny ze swojej córki. W Katyniu, podczas pokazu prof. Prozorowskiego, Kathleen stała w pierwszym rzędzie i uważnie przyglądała się sekcji. A potem napisała dla ojca raport na temat tego, co widziała. Zredagował go John Melby.

Kto to był?

Wspomniany już amerykański dyplomata, który towarzyszył pannie Harriman w podróży do Katynia. Ostatnio dowiedziałem się, że on po wojnie – w czasach komisji senatora McCarthy'ego – miał spore kłopoty. Jego kochanką była aktorka, która należała do skrajnie lewicowego, komunistycznego środowiska. Melby'ego wyrzucono ze służby dyplomatycznej.

Co było w raporcie?

Kathleen napisała, że sprawcami masakry katyńskiej byli Niemcy. Jej argumenty były dość osobliwe. Otóż zwróciła uwagę, że ciała zamordowanych polskich oficerów były ułożone w grobach równo i porządnie. To – jej zdaniem – wskazywało na Niemców, którzy byli systematyczni i zorganizowani. Gdyby to zrobili Sowietci – dowodziła – ciała leżałyby w nieładzie. Raport Kathleen został przesłany do Waszyngtonu jako oficjalny raport ambasady USA w Moskwie. Otrzymały go wszystkie amerykańskie placówki dyplomatyczne zaangażowane w politykę wobec Związku Sowieckiego. Warto dodać, że Averell Harriman – ojciec Kathleen – był w Ameryce poważną figurą, przyjacielem prezydenta Roosevelta.

To co przeciętny amerykański John Smith mógł w 1943 r. przeczytać w gazetach o Katyniu?

Mniej więcej to samo co w „Prawdzie”. John Smith mógł przeczytać, że Niemcy zastrzelili tysiące polskich oficerów. I teraz próbują zwać winę na Sowietów. Oczywiście nie było to dla Johna Smitha zaskoczenie. Bardzo łatwo w to uwierzył. Codziennie czytał bowiem o licznych niemieckich zbrodniach dokonywanych w Polsce i na okupowanych terenach Związku Sowieckiego. W kwietniu 1943 r. wybuchło powstanie w getcie warszawskim, które Niemcy krwawo tłumili. O powstaniu tym amerykańska prasa rozpisywała się bardzo szeroko, wielu dziennikarzy czołowych gazet Wschodniego Wybrzeża było Żydami. Obowiązywała więc następująca wykładnia – Niemcy „kłamstwem” w sprawie Katynia próbują przykryć swoje zbrodnie w getcie.

Jakie było nastawienie ówczesnych amerykańskich dziennikarzy do Sowietów?

Wielu z nich było nastawionych do bolszewizmu przychylnie. Nastroje prokomunistyczne wśród sporej części amerykańskich elit intelektualnych zapanały już zresztą w latach 30. Wielu intelektualistów uważało, że Stalin buduje w Rosji nowy, postępowy, demokratyczny ład. Znacznie lepszy od strasznego reakcyjnego caratu. Ci intelektualiści odmawiali przyjęcia do wiadomości informacji o czerwonym terrorze, łagrach i głodzie. Związek Sowiecki bardzo popularyzowała wojna domowa w Hiszpa-

nii. Amerykańscy korespondenci wojenni z zachwytem pisali o tym, że „walczących z faszyzmem” republikanów wspierają sowieccy doradcy.

Wśród tych korespondentów znalazł się również Brytyjczyk – George Orwell.

On też pojechał do Hiszpanii jako idealista, sympatyk komunizmu. Na miejscu spotkał jednak sowieckich doradców, którzy go z tej sympatii szybko wyleczyli. Gdy jednak próbował pisać o prawdziwym obliczu komunizmu, prawie nikt na Zachodzie nie chciał słuchać. Nie mógł się przebić z tą opinią, był izolowany przez środowisko dziennikarskie, zdominowane przez sympatyków ZSRS. Sprzedano zaledwie kilkaset egzemplarzy jego książki o zbrodniach stalinowców w Hiszpanii. Po wojnie Orwell zabiegał o to, by w Wielkiej Brytanii wydano książkę Józefa Czapskiego o zamordowanych polskich oficerach. Wszystkie wydawnictwa odmówiły. To wiele mówi o tym, jaki klimat panował na Zachodzie.

Z sympatią o Związku Sowieckim i Stalinie pisali również wspomniani korespondenci akredytowani w Moskwie.

Tak i nie – dotyczy to tylko Amerykanów. Stronnicze, prosowieckie artykuły pisał Ralph Parker, korespondent „The Times”. Dopiero po latach okazało się, że był podwójnym agentem. Fanatycznym komunistą był również jedyny korespondent prasy Wolnych Francuzów. Na placówki do Moskwy zagraniczna prasa wysyłała z reguły dziennikarzy nastawionych przychylnie wobec Sowietów. Korespondenci ci musieli bowiem zostać zaaprobowani przez reżim, Sowietci cenzurowali ich artykuły. Jeżeli dziennikarz nie chciał zostać wyrzucony z placówki, to musiał być „grzeczny”.

W książce pisze pan, że amerykańska prasa nie tylko bezkrytycznie powielala sowiecką kłamliwą wersję wydarzeń. Ona prowadziła również „antypolską kampanię”.

Przedwojenna Polska, w przeciwieństwie do Związku Sowieckiego, miała w prasie Wschodniego Wybrzeża fatalną opinię. Pisano o niej bardzo krytycznie zarówno w „New York Timesie”, jak i „Washington Post”. II RP w oczach amerykańskich dziennikarzy była uważana za kraj skrajnie antysemicki. Prasa za oceanem dużo uwagi poświęciła pogromowi lwowskiemu z 1918 r. Polska





Członkowie międzynarodowej komisji nad ciałem polskiego oficera, Katyń 1943 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

■ miała być paskudną, nacjonalistyczną, antysemicką dyktaturką. Gdy w 1938 r. Polska zabrała Czechosłowacji Zaolzie, amerykańska prasa pisała o niej jako o szakalu, sojuszniku Hitlera.

Domyślałem się, że to nagle wróciło po odkryciu grobów katyńskich.

Tak. Gdy polski rząd wystąpił do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o śledztwo w sprawie Katynia, znalazł się pod ostrzałem amerykańskiej prasy. Pisano, że faszystowski polski rząd do spółki z Hitlerem próbuje rozbić koalicję antyniemiecką. Wszystko działa tak wspaniale, Armia Czerwona walczy z Wehrmachtem, a tu nagle pojawiają się Polacy ze swoimi antykomunistycznymi

obsesjami. Amerykanie nie rozumieli, że Sikorski nie ma nic wspólnego z endecją. Zresztą niewiele ich to obchodziło. W kampanii wymierzonej w Polaków dużą rolę odegrali działający na terenie USA sowieccy agenci, na czele ze słynnym Stefanem Arskim, po wojnie wpływowym związkowym. One także były zinfiltrowane przez agentów i sympatyków bolszewizmu.

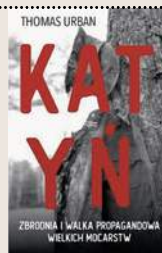
A jakie było oficjalne stanowisko amerykańskich władz?

Podobne. Office of War Information – kierowane przez przedwojennego dziennikarza Elmera Davisa – od samego początku stało na stanowisku, że Katyń

to „niemiecki trik propagandowy”. Celem tego triku miało być rozbicie koalicji i odwrócenie uwagi od zbrodni przeciwko Żydom. Gdy z Davisem skontaktowali się polscy dyplomaci, aby przedstawić mu swoje stanowisko, nie chciał ich słuchać.

Czy prokomunistyczne nastroje panowały również w korpusie dyplomatycznym?

Oczywiście. Wystarczy wspomnieć postać Josepha E. Daviesa, w latach 30. ambasadora USA w Moskwie. Davies napisał książkę „Moja misja w Moskwie”. Był to jeden wielki pean na cześć bolszewizmu. Davies posunął się nawet do tego, że usprawiedliwiał moskiewskie procesy pokazowe. Potem w Hollywood nakręcono na podstawie tej książki film.



THOMAS UBRAN
„KATYŃ. ZBRODNIĄ I WALKĄ
PROPAGANDOWĄ WIELKICH
MOCARSTW”

BELLONA

Widziałem go – coś niebywałego! Czysta komunistyczna propaganda.

Trudno się dziwić, że wyjaśnienie zbrodni katyńskiej nie było czymś, co specjalnie zaprzętałoby uwagę Amerykanów.

Opowiem panu pewną historię. Krótco po tym, gdy wybuchła sprawa Katynia, do Waszyngtonu przyjechał Władysław Mołotow. Co w swoich pamiętnikach na temat tej wizyty napisała pierwsza dama – Eleanor Roosevelt? Otóż Mołotow nie zatrzymał się w hotelu, tylko w pokoju gościnnym w Białym Domu. Pani Roosevelt poprosiła lokaja, aby rozpakował jego walizkę. Po pewnym czasie przerażony lokaj wpadł do jej pokoju. „Proszę Pani – powiedział – jest problem. Rozpakowałem walizkę Mołotowa. W środku jest pistolet, czarny chleb i kiełbasa”. Pierwsza dama przystojnie kazała mu czym prędzej z powrotem spakować walizkę. W pamiętnikach opisała tylko tę – jak uznana – zabawną anegdotę. O Katyniu ani słowa. Mimo że w tym samym czasie dostała listy od Heleny Sikorskiej – żony polskiego premiera – z prośbą o pomoc w wyjaśnieniu losu polskich oficerów.

A sam Roosevelt?

On również wierzył w to, że w Katyniu za spust pociągali Niemcy.

Czy to wszystko było robione cynicznie i na zimno? Czy Amerykanie naprawdę tak uważali?

Wiem, że w Polsce bardzo popularna jest wersja numer jeden. Ja jednak myślę, że Roosevelt naprawdę w to wierzył. On idealizował Stalina, uważał, że „Wujek Joe” jest w gruncie rzeczy porządnym chłopem. System sowiecki oczywiście nie nadaje się dla Amerykanów, ale jest idealny dla dzikich Rosjan. Ktoś musi stać nad nimi z knutem, żeby pracowali i przestali pić wódkę.

Nie najlepiej to o nim świadczy.

Tak, Roosevelt był wręcz nieprawdopodobnie naiwny. Sympatia dla Stalina go zaślepiła. Proszę również pamiętać,

że w ostatnich latach swojego życia prezydent był nie tylko inwalidą, lecz także prawdopodobnie miał chorobę Parkinsona. Cierpiał na syndrom pałacowy, miał wokół siebie tylko lizusów i prosowieckich agentów wpływu. Wspomnianego Josepha E. Daviesa czy Harry’ego Hopkinsa. Prezydent wiedział to, co mówili mu ci ludzie. A oni w sprawie Katynia zajęli oczywiście prosowieckie stanowisko.

Amerykańskie służby nie były w stanie ustalić prawdy?

Biuro OSS w Sztokholmie przesłało raport, w którym dowodziło, że wszystko wskazuje na sprawstwo sowieckie. Raport ten nigdy jednak nie dotarł do Białego Domu. Gdzieś – na średnim

szczeblu – byli ludzie, którzy takie głosy blokowali.

A może jednak Roosevelt nie był wcale takim naiwniakiem. Może był po prostu pragmatycznym, realnym politykiem. Doskonale wiedział, że to bolszewicy zgładzili polskich oficerów. Uznał jednak, że najważniejsza jest spójność koalicji i dlatego Katyń należy zamieść pod dywan, żeby nie drażnić Stalina.

Dokumenty, którymi dysponujemy, na to nie wskazują. Ja mogę ostrożnie powiedzieć, że Roosevelt chciał wierzyć, iż to zrobili Niemcy. Dotyczy to również jego najbliższych współpracowników. Korespondowałem w tej kwestii z czołowymi amerykańskimi historykami

badającymi politykę Roosevelta. Wszyscy byli zgodni, że to nie było robione z premedytacją i że Roosevelt naprawdę był taki łatwowierny. W całej tajnej korespondencji między Departamentem Stanu i Białym Domem na temat Katynia nie ma najmniejszych przesłanek, aby sądzić, że doszło do manipulacji. Taką samą opinię wyraził w swoich wspomnieniach były oficer KGB Paweł Sudopłatow. On opierał się zaś na dokumentach z archiwum NKWD.

Proszę wybaczyć, ale przedstawia pan Amerykanów, jakby byli dziećmi. Gdyby Amerykanie byli tacy głupi, to nie pokonaliby państw Osi ani nie zdominowali świata.

(śmiesz) Jako dziennikarz od kilkudziesięciu lat zajmuję się polityką międzynarodową. I w tym czasie poznałem wielu dyplomatów i polityków, którzy rozumują właśnie jak małe dzieci. Mimo że płaci im się duże pieniądze za to, by przewidywali rozwój wypadków, czasami nie są w stanie przewidzieć i zrozumieć niczego. Weźmy kryzys krymski. Do samego końca kierownictwo niemieckiego MSZ nie wierzyło w to, że Rosjanie anektują półwysep. W efekcie w momencie, gdy na Krymie pojawiły się zielone ludziki, całe niemieckie MSZ było tym bezbrzeżnie zaskoczone i nie wiedziało, jak reagować.

Wróćmy do drugiej wojny światowej. Zaraz po odkryciu grobów w Katyniu Churchill mówił Sikorskiemu wprost: „Wiemy, że bolszewicy są zdolni do okrucieństwa. Ale martwcie się o żyjących, a nie o martwych”. On – przed

wojną znany z antykomunizmu – chyba doskonale zdawał sobie sprawę z tego, kto zabijał w Katyniu?

Churchill na pewno miał mniej złudzeń co do Stalina niż Roosevelt. I on nie był jednak pewny na 100 proc. Uważał, że bardziej prawdopodobne jest sprawstwo sowieckie, ale nie miał w ręku rozstrzygających dowodów. Nie mógł



■ więc publicznie zaatakować Sowietów. Oskarżyć ich – bez dowodów – o dokonanie tak straszliwej zbrodni. Dlatego uznali, że Katyń lepiej jest przemilczeć.

Myślę, że uznali tak przede wszystkim z powodu interesów Wielkiej Brytanii. A te były oczywiste. Przede wszystkim należy pobić Niemcy. I najlepiej, żeby zrobił to za nas Związek Sowiecki, żeby Wehrmacht wykrwawił się na wschodzie.

Z dokumentów rzeczywiście wynika, że w kwietniu 1943 r. rząd brytyjski bardzo poważnie obawiał się, iż Stalin może zerwać z aliantami zachodnimi i zawrzeć separatystyczny pokój z Hitlerem. Czyli wrócić do koncepcji paktu Ribbentrop-Mołotow. To dla Anglosasów byłoby prawdziwą katastrofą.

W książce cytuje pan słowa Churchilla wypowiedziane do ambasadora sowieckiego w Londynie Iwana Majskiego: „Musimy pokonać Hitlera, nie czas na klótnie”.

Churchill bez wątpienia miał dylemat moralny. Co zrobić w tak trudnej sytuacji? Opowiedzieć się po stronie Polaków czy bronić jedności koalicji antyniemieckiej. Przecież Goebbelsowi, gdy odpalił bombę katyńską, chodziło właśnie o zdruzgotanie tej koalicji. Churchill wybrał jedność koalicji. Zmusił Sikorskiego do wycofania wniosku o wyjaśnienie masakry katyńskiej złożonego do Czerwonego Krzyża. Jego ambasador przy rządzie polskim na uchodźstwie Owen O'Malley pisał o tym po wojnie wprost: musieliśmy publicznie atakować Polaków w sprawie Katynia, żeby utrzymać sojusz ze Stalinem.

W styczniu 1944 r. w Katyniu swoje śledztwo przeprowadziła sowiecka łże-komisja Nikołaja Burdenki. Jakie stanowisko wobec jej ustaleń zajęli Amerykanie?

Uwierzyli jej bez zastrzeżeń. Biały Dom ogłosił: mamy już teraz rozstrzygające dowody. W Katyniu strzelali Niemcy. Koniec kropka.

Żadnych wątpliwości?
Żadnych.

No tak, skoro bolszewicy mówią, że nie zamordowali Polaków, to znaczy, że tak musiało być.

(Śmiech) Już to panu mówiłem – Amerykanie byli bardzo naiwni. W Wielkiej Brytanii było nieco inaczej. Ambasador O'Malley napisał raport, w którym wyliczył nieścisłości i absurdy, od których



roilo się w raporcie komisji Burdenki. Rząd Jego Królewskiej Mości ten raport jednak zignorował. Ministerstwo spraw zagranicznych uznało, że O'Malley ma zbyt wielu polskich przyjaciół, a co za tym idzie – nie jest obiektywny. Ostatecznie Brytyjczycy również uznali kłamstwa komisji Burdenki za prawdę.

W 1945 r. Sowieci tak się rozbisurmanili, że próbowali dołączyć sprawę Katynia do aktu oskarżenia na procesach norymberskich. To im się jednak nie udało.

Początkowo Amerykanie i Brytyjczycy gotowi byli się na to zgodzić. Na szczęście jednak zostało to zablokowane. Była to zasługa niemieckiego oficera Armii „Środek”, członka konserwatywnej opozycji antyhitlerowskiej – Fabiana von Schlabendorffa. Ponieważ był zaangażowany w dwa – choć nieudane – zamachy na Hitlera, był wiarygodną postacią dla szefa OSS, gen. Williama Donovana. Napisał raport o Katyniu dla Donovana, który nie pozostawiał wątpliwości, że mordercami byli funkcjonariusze NKWD. W tej sytuacji dołączenie Katynia do aktu oskarżenia byłoby kompromitacją Trybunału.

Wkrótce wojna z Hitlerem dobiegła końca. Zaczęła się za to zimna wojna. Stalin nie był już sojusznikiem. I nagle – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – Amerykanie przestali wierzyć w sowieckie kłamstwo o Katyniu.

Tak, choć to się nie stało od razu. Nikt nie siedział na górze z wajchą ani nie nakazał natychmiastowej zmiany narracji o masakrze polskich oficerów. Rzeczywiście, klimat polityczny po wojnie się jednak zmienił. W 1951 r. została powołana komisja kongresmena Raya Maddena ds. wyjaśnienia zbrodni katyńskiej. Przesłuchiwała ona wielu świadków, przeanalizowała cały dostępny materiał

dowodowy. I oczywiście doszła do wniosku, że polskich oficerów zamordowało jednak NKWD.

Rok 1951. Początek wojny w Korei. Komuniści nie są już sojusznikami, tylko wrogami Ameryki. Stalin nie jest już „Wujkiem Joe”, tylko paskudnym dyktatorem. I nagle o Katyniu można mówić prawdę. To chyba kwintesencja politycznego cynizmu.

Zgoda. To nie wygląda dobrze. Jednakże proszę pamiętać, że dziennikarze, którzy w trakcie wojny pisali, iż w Katyniu mordowali Niemcy, podtrzymali swoją linię. Zapewniali, że w 1943 r. byli święcie przekonani, iż to Niemcy zamordowali Polaków. Mówił tak m.in. wspomniany Elmer Davis, który zawsze był liberałem i wcale nie był nastawiony prosowiecko. Myślę, że mówił prawdę.

A jak potoczyły się losy Kathleen Harriman?

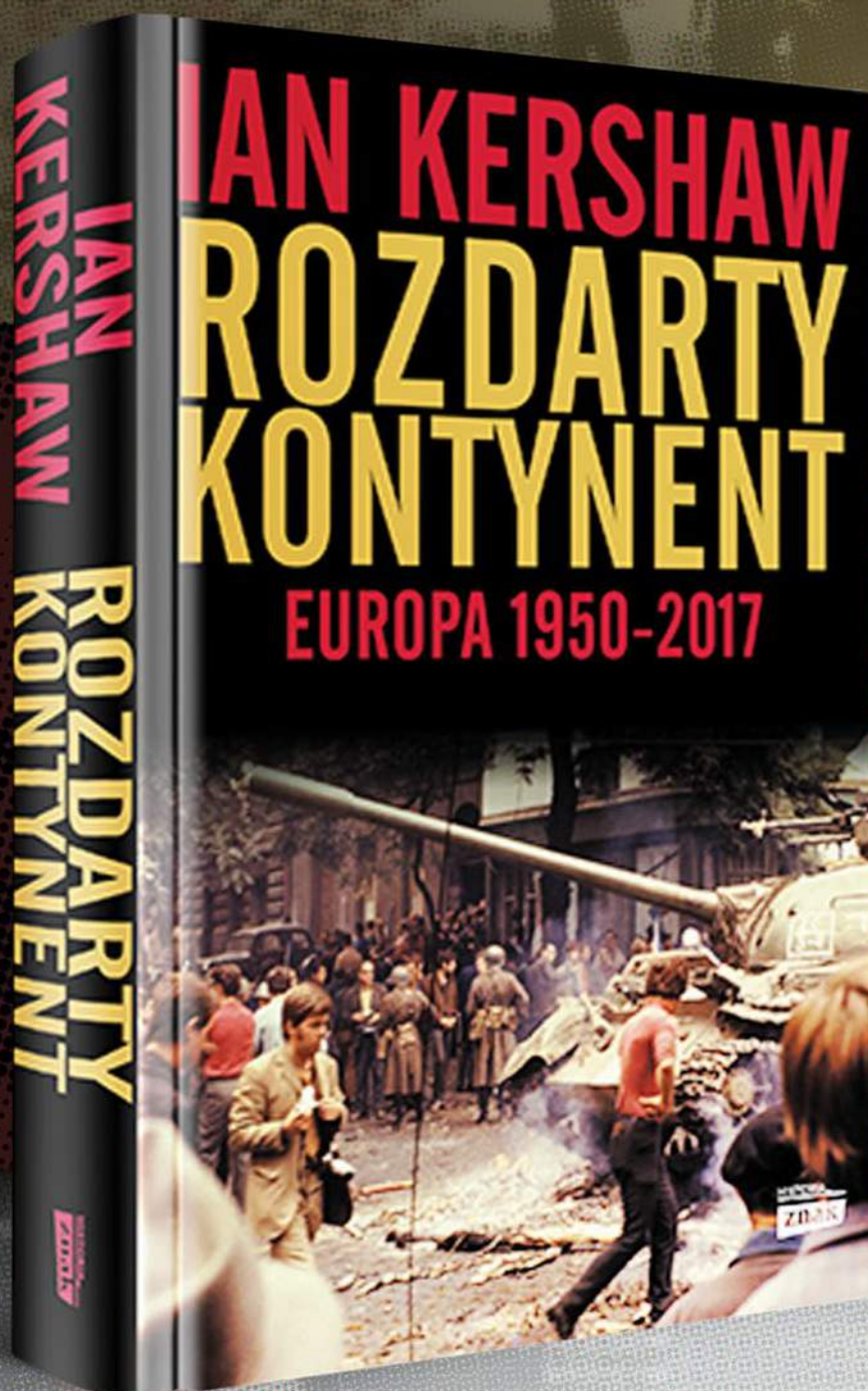
W 1951 r. również stanęła przed komisją Maddena. Miała już 34 lata i straciła wiele ze swojego uroku. Wyszła za mąż za bardzo bogatego potentata naftowego. To było bardzo nieudane, nieszczęśliwe małżeństwo. Kathleen była przez komisję ostro grillowana. Starła się zasłaniać niepamięcią. W końcu załamała się i przyznała, że nie miała żadnych kompetencji do ferowania wniosków na temat tego, kto zamordował polskich oficerów w Katyniu. A mimo to w swoim raporcie z niebywałą pewnością siebie twierdziła, że wina Niemców jest bezdyskusyjna. Kathleen na obecnych na sali zrobiła fatalne wrażenie. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Thomas Urban

jest niemieckim dziennikarzem i historykiem. Autorem wielu książek i artykułów. Był korespondentem „Süddeutsche Zeitung” w Warszawie i Moskwie. Jego żona jest Polką. Brat jej dziadka – Piotr Mormul – został zamordowany przez NKWD w czasie zbrodni katyńskiej. Z kolei ojciec Thomasa Urbana, jako kapral Wehrmachtu, w trakcie wojny był w Katyniu i był świadkiem ekshumacji polskich oficerów.

DOKĄD ZMIERZA EUROPA?



KWIECIEŃ 2020

Religia w niewoli / Duchowni wszystkich wyznań a zbrodnia katyńska



Patryk Pleskot

NKWD zamordowało 31 kapłanów. Katolickich księży, pastorów, popów i rabin

Zapewne 2 marca 1940 r. z obozu w Starobielsku do więzień NKWD w Moskwie wyruszył osobliwy transport. W 10-osobowej grupie jeńców znaleźli się rabin, prawosławny i greckokatolicki pop, kalwiński pastor oraz kilku księży katolickich. Wkrótce wszyscy zginą od strzału w tył głowy w katyńskim lasu. Eksterminacja polskich elit, realizowana przez Sowietów wiosną 1940 r., oznaczała również śmierć wielokulturowości II Rzeczypospolitej.

Postawny chłop z Podkarpacia, muzykalny franciszkanin w wojskowej pelerynie, ochotnik z 1920 r., gospodarny proboszcz, syn rzemieślnika o słabym wzroku, Ukrainiec i były poseł do Sejmu, pop spod Sanoka, potomek rodu rabinackiego z kilkusetletnią tradycją, więzień carskiej Rosji i emigrant... Połączyło ich jedno: jesienią 1939 r. trafili do sowieckiej niewoli, a kilka miesięcy później zostali zamordowani w Katyniu, Charkowie i Twerze. Dotychczas udało się zidentyfikować 31 nazwiska duchownych różnych wyznań, którzy podzielili ten los – oprócz rzymskokatolickich księży znalazło się wśród nich dwóch protestantów (kalwin i luteranin), dwóch prawosławnych oraz po jednym grekokatoliku i rabinie.

Większość albo pełniła funkcję zawodowych kapelanów wojskowych, albo – w wyniku mobilizacji przeprowadzonej wiosną 1939 r. – znalazła się w kilkusetosobowej grupie kapłanów powołanych do służby w charakterze kapelanów rezerwy. Niektórzy jednak (np. kleryk Ignacy Drabczyński) zostali zaliczeni do grona oficerów WP w przypadkowy sposób. Ostatnie miesiące ich życia znikają zresz-



Kapłani zgładzeni w Katyniu

tą z radarów wiedzy historycznej: nawet data wspomnianego na początku ekumenicznego transportu nie jest oczywista (według niektórych źródeł mogło się to wydarzyć już w końcu grudnia 1939 r.).

Msza w konspiracji

Jedno jest pewne: na przełomie lat 1939 i 1940, w mniejszym lub większym stopniu, cała ta grupa zaangażowała się w organizowanie tajnego, katakumbowego życia religijnego w ekstremalnych warunkach trzech największych obozów jenieckich dla polskich oficerów (w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie). Wzbronione tam było posiadanie i noszenie jakichkolwiek symboli religijnych, o głośnych modlitwach, śpiewach, udzielaniu sakramentów czy sprawowaniu mszy świętych nawet nie wspominając.

Mimo to wielu żołnierzy – i duchownych – omijało te zakazy. Własnoręcznie strugano krzyżyki, improwizowano skromne ołtarze. Ze strzępków pamiętników, notatek, wspomnień nielicznych ocalałych z trudem można odtworzyć obraz cichych, ascetycznych mszy, ukradkiem intonowanych modłów, rozdawanych w ukryciu komunikantów zrobionych z okruszków chleba i wina mszalnego wyciśniętego z przemyconych rodzynek (za przyzwoleniem przekupionych strażników). Spowiedź odbywano pod pozorem spacerów lub... czytania propagandowej prasy sowieckiej. Strażnicy, obserwując dwóch żołnierzy pograżonych w spokojnej rozmowie, nie domyślali się, o co chodzi.

Jak wspomina Bronisław Młynarski, jeden z ocalałych ze starobielskiego klasztoru-obozu, księży „przywdziewali na siebie biedniutki, cudem uratowane insygnia kapłańskie i liturgiczne i przed ołtarzami zbitymi z paru desek i przykrytymi kawałkiem białego płótna odprawiali modły solenne, tak piękne, tak wzniosłe, tak bliskie Wszechmogącego, jakich chyba żadna świątynia na świecie nie zdołała osiągnąć. Płomienne kazania o myśli najczystszej i kierunku najprostszym, wyzwolonym z odcieni klerykalnego pouczenia, porywały wiernych w królestwo wiary i miłości. Nigdy nie widziałem tylu serdecznych łez, co spływały po twarzach młodych i starych, słabych i silnych, i tych najtwardszych, zahartowanych w bojach, których zdawałoby się nic nie wzruszy”.



Ksiądz Zdzisław Peszkowski, jeden z ocalałych, nad czaszkami kolegów z Kozielska. FOT. ARCHIWUM

Zdarzało się, że ludzie, którzy nie zaliczali się przed wojną do praktykujących katolików, odbywali teraz, pod wpływem obozowej rzeczywistości, spowiedź z całego życia.

Strzępki notatek odnalezione w katyńskim lesku stanowią nieliczne ślady potwierdzające, że obozowa rzeczywistość w Kozielsku wyglądała podobnie. Wśród zapisków można znaleźć takie: „msza św. – spowiedź – katakumby!”, „msza św. jak w katakumbach, smutny nastrój”, „zabrali dwóch księży za odprawianie mszy”, „ks. Ziółkowski zamknięty do tury [karceru] na 7 dni”, „życie duchowe... grobowe”, „nabożeństwo i spow[iedź] – samotnie”. Te lakoniczne komunikaty odzwierciedlają rozgrywający się w Kozielsku dramat.

Wymieniony przed chwilą ks. Jan Ziółkowski był szczególnie aktywny w organizowaniu życia religijnego. Ten

energiczny kapłan, związany z wojskiem jeszcze od czasów Legionów, jako jeden z bardzo nielicznych duchownych przetrwał w Kozielsku całe pół roku. Działał na wszystkie możliwe – i niemożliwe – sposoby. Najwięcej pracy miał w marcu 1940 r., kiedy to najprawdopodobniej w pojedynkę usiłował zapewnić kolegom możliwość wypowiadania się w Wielkim Poście.

Ziółkowskiemu udało mu się przemyścić do Kozielska książeczkę „O naśladowaniu Chrystusa” Tomasza à Kempis. Cały czas krążyła ona między oficerami – ten poradnik życia duchowego, mówiący m.in. o ukojeniu wewnętrznym, okazał się niezwykle aktualny. Napisane w początkach XV w. dzieło niejednego więźnia doprowadziło na drogę wiary. Znamienne, że lekturę tej właśnie książki polecał swoim najbliższym rtm. Witold Pilecki, ■



Symbole czterech religii na cmentarzu w Katyniu FOT. FEDERACJA RODZIN KATYŃSKICH

■ więzień Auschwitz, w ostatniej rozmowie z żoną, tuż przed swoją śmiercią w komunistycznym więzieniu w 1948 r.

Obaj okupanci – sowiecki i nazistowski – zdawali sobie sprawę, jak niebezpieczni mogą być kapelani, niezależnie od wyznania. Dlatego tuż przed świętami Bożego Narodzenia zarówno w obozach jenieckich nadzorowanych przez Niemców, jak i obozach nadzorowanych przez Sowieców starano się identyfikować duchownych i ich wyrzucać – oczywiście nie na wolność. Tak też działo się w trzech głównych obozach dla polskich oficerów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie. Nie jest zresztą wykluczone, że Berlin i Moskwa mogły konsultować ze sobą tę eksterminacyjną politykę: do roboczych spotkań między komunistami a nazistami doszło właśnie w grudniu 1939 r. w Zakopanem.

Ponad dogmatami

Niesamowitości tajemnemu życiu religijnemu w obozach sowieckich dodawało to, że wszystkie trzy zostały umieszczone w ruinach poklasztornych. W centrum obozów stały zapuszczone cerkwie z przetrąconymi krzyżami, otoczone zdewastowanymi zabudowaniami zamienionymi na więzienie. Ruiny budynków sakralnych, w myśl komunistycznej ideologii stanowiące co najwyżej relikwety religii, którą sowiecki ustrój pokonał, zaczynały na nowo wypełniać się sferą sacrum. Sacrum do pewnego stopnia pierwotnego, katakumbowego. Oto cud, którego Sowietci nie rozumieli.

Gdy każdego dnia ok. godz. 21 z jakiegoś ciemnego kąta czy z chóru poklasztornych budynków rozbrzmiewał władczy, rozkazujący głos: „Zarządzam trzyminutową ciszę”, ustawał nagle wszelki ruch i zamierały wszystkie rozmowy. Każdy pozostawał tam, gdzie go ten głos zastał: na pryczy czy na podłodze. Zdumiewające milczenie tłumu zakłócały tylko dobiegające z zewnątrz, stłumione grubymi cerkiewnymi murami obozowe odgłosy.

W ciszy stali, leżeli lub siedzieli gorliwi i „letni” katolicy, prawosławni, protestanci, Żydzi, agnostycy i ateści. Narodowcy, ludowcy, socjaliści. W tej ciszy chodziło bowiem nie tyle o manifestację konkretnej religii i przekonań, ile o doświadczenie wewnętrznej wolności, a zarazem swego rodzaju ucieczki od niechcianej rzeczywistości.



Rabin Baruch Steinberg przemawia przed Wielką Synagogą w Warszawie podczas apelu poległych, 1933 r. FOT. ARCHIWUM

stości. Cisza była krzykiem ludzkiej godności. Oczywiście nie wszyscy poddawali się tej atmosferze, była ona jednak jak najbardziej realnym zjawiskiem.

W katakumbowym życiu religijnym katolicy uczestniczyli w tajnych nabożeństwach żydowskich, prawosławni w katolickich itp. Cytowany już Bronisław Młynarski – Polak-katolik – nie miał z tym problemu: „Szliliśmy w piątkowe wieczory pod przyzbę mizernej szopy, oznaczonej numerem 17, gdzie setki Żydów w najwyższym skupieniu, graniczącym niemal z ekstazą, wznosiło gorące modły po hebrajsku pod przewodem kapelana [...] Steinberga, naczelnego rabina armii polskiej”. I oni, i katolicy, i protestanci, i prawosławni szukali w modlitwie pocieszenia, ale pewnie również zadawali Bogu te same pytania: Dlaczego? Co dalej?

W Kozielsku doszło do jeszcze jednego niezwykłego zjawiska. Stłoczenie setek jeńców w pomieszczeniach cerkiewnych dawnej Pustelni Optyńskiej wywołało niespodziewany skutek: parujące oddechy dzień po dniu powodowały odpadanie ze ścian coraz większych połaci białej farby, którą bolszewicy naprędce zamalowali klasztorny wystrój. Teraz jeńcom



PATRYK PLESKOT
KSIĘŻA Z KATYNIA
ZNAK HORYZONT

ukazywały się fragmenty zakrytych wcześniej malowideł: zarysy figur świętych, ikon, ornamentów. Musiało być to przejmujące doświadczenie. Czy znak ten mógł przynieść choć odrobinę pocieszenia? Czy odsłaniane postacie świętych na ścianach pozwalały przypomnieć jeńcom, że wciąż istnieje przecież jeszcze inna, transcendentna rzeczywistość, zakryta obozową farbą; że Ktoś jednak dostrzega rozgrywający się właśnie dramat?

Bez wątpienia głębokie doświadczenie ekumenizmu to jedna z najważniejszych cech obozowego życia religijnego. W obliczu sowieckiego totalitaryzmu, utożsamianego przez niektórych z wcielonym Złem, w obliczu bestialskich warunków życia (i śmierci), ciągłego zagrożenia, niepewności jutra, brutalnej indoktrynacji uprawianej przez obozowe władze – zanikały podziały religijne i spory światopoglądowe. Ofiary jednoczyły się w walce o zwykłą, ludzką godność. A na

taką (niemą) siłę żaden totalitaryzm nie mógł wiele poradzić.

Walec historii

Warto w tym kontekście pamiętać, że przedwojenne Wojsko Polskie posiadało nawet własnego mułę: jedyny oficjalny duszpasterz polskich Tatarów, Ali Ismail Woronowicz (formalnie imam mużułmańskiej gminy warszawskiej), uniknął zatrzymania we wrześniu 1939 r. Jednak po kilkunastu miesiącach został aresztowany w Olecku przez NKWD pod sfigowanym zarzutem szpiegostwa. Nie jest pewne, co stało się z nim dalej: prawdopodobnie zginął w czasie ewakuacji po tym, jak Niemcy w czerwcu 1941 r. zaatakowali Rosjan.

Chociaż więc Woronowicz nie trafił do któregoś z masowych grobów oficerów zamordowanych w ramach zbrodni katyńskiej, to nie przeżył wiele dłużej od nich. Okazuje się, że walec historii, który zmiażdżył wielokulturowy fenomen II Rzeczypospolitej, także miał specyficznie „ekumeniczny” charakter: nie oszczędzał żadnego z wyznań. © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



Wojciecha Dutkę fotografował Maciej Zienkiewicz

Cudem uniknął Katynia. Nauczył się zabijać, aby samemu nie zostać zabitym...

KURIER Z TEHERANU

WOJCIECH DUTKA

Autor bestsellerowego „Kuriera z Toledo”

LIRA
WYDAWNICTWO

LIRA
WYDAWNICTWO

Sprawa katyńska,
walka wywiadów
i epicka opowieść
o Polsce podczas
II wojny światowej!

„Kurier z Teheranu” to najnowsza powieść **WOJCIECHA DUTKI**, autora bestsellerowego „Kuriera z Toledo”



www.wydawnictwolira.pl

Patronat medialny:  



Groby generałów
Smorawińskiego
i Bohaterewicza w 1943 r.
i obecnie FOT. WIKIPEDIA



1940 r. / Najwyżsi stopniem – ofiary zbrodni katyńskiej

Mord generałów



Maciej Rosalak

/ W ramach zbrodni katyńskiej NKWD zgładziło 12 polskich generałów. Między innymi brata Józefa Hallera – Stanisława

Po 17 września 1939 r. niektórzy walczyli z bolszewikami – w obronie, zaskoczeni zdradziecką napaścią. Inni zostali ujęci podczas odwrotu, wykonując fatalny zresztą rozkaz Naczelnego Wodza o niepodjęciu boju z Sowietami, z którymi nie byliśmy w stanie wojny. Najstarszych jednak, którzy zakończyli już służbę wojskową, NKWD aresztowało w prywatnych domach, nie chcąc przepuścić żadnemu z tych, którzy uzyskali najwyższe stopnie w Wojsku Polskim.

Każdemu z tych niewinnych ludzi – liczących na przestrzeganie podstawowych praw jeńca, a tym bardziej internowanego – należała się, zdaniem najwyższych władz w Moskwie, kula w łeb.

Polskie drogi

Przypomina się Kozak, który zerwał Szwejkowi medal i kacapskim zwyczajem dał mu „kułakiem w mordę”, mówiąc przy tym: „Znacził, charaszo naszego brata bił!”. Tak się złożyło, że nasi genera-

łowie nosili najwyższe polskie odznaczenie wojenne – krzyż Virtuti Militari. To oczywiście nie dziwi. Gdyby nie byli gotowi do dokonywania godnych chwał czynów, nie otrzymywaliby ani takich odznaczeń, ani awansów na najwyższe szczeble hierarchii wojskowej. Nie może też dziwić, że wszyscy walczyli na froncie wojny z bolszewikami, bo milion Polaków tam stanął do walki.

Ciekawa – aczkolwiek również niezaskakująca – jest żołnierska proveniencja naszych bohaterów. Otóż większość – siedmiu – zaczynała służbę wojskową w armii Imperium Rosyjskiego, a tylko jeden w c.k. armii austriacko-węgierskiej. Z kolei czterech wstąpiło do Legionów Polskich. Po rozwiązaniu Legionów w 1917 r. trzech wstąpiło do Polskiej Siły Zbrojnej, a jeden znalazł się w szeregach c.k. armii. W latach 1917 i 1918 ci z Rosji – często poprzez oddziały demokratycznego „białego” rządu rosyjskiego i polskich korpusów tworzonych na wschodzie

– dążyli do Polski i współtworzyli jej siły zbrojne. Żaden nie zbłądził po drodze do Armii Czerwonej.

Ta proveniencja była odbiciem proporcji demograficznych w poszczególnych zaborach, a po odzyskaniu niepodległości w całym korpusie oficerskim WP. Jego skład był także wynikiem polityki Prusaków, którzy szczerze blokowali oficerskie awanse Polaków w swej armii, zwłaszcza od majora włącznie wzwyż.

Najstarszy z zamordowanych – Władysław Jędrzejewski – dożył w marcu '40 akurat

77 lat. Z generacji Józefa Piłsudskiego pochodziło jeszcze kilku generałów, przy czym starszym od Marszałka był jeszcze Leonard Skierski. Następnie występowało kilku w wieku pozwalającym im pełnić funkcje oficerskie już na początku XX w. (roczniki lat 80. XIX w.), a wreszcie kilku gotowych do obejmowania niższych stanowisk dowódczych podczas pierwszej wojny światowej, czyli urodzonych w latach 90. XIX w. Najmłodszy – Mieczysław Smorawiński – dożył 47 lat.

Jesienią 1939 r. Sowieci osadzili trzech generałów w Kozielsku, a ośmiu w Starobielsku. Jeden – Władysław Andrzejewski – został aresztowany we Lwowie i w jednym z tamtejszych więzień rozstrzelano go zapewne w marcu 1940 r. Znalazł się na ukraińskiej liście katyńskiej, a pochowano go w 2012 r. na Polskim Cmentarzu Wojennym w Kijowie-Bykowni. Szczątki pozostałych wydobyto po latach z bezimiennych dołów śmierci i w 2000 r. pochowano na Polskich Cmentarzach Wojennych w Charkowie-Piatichatkach oraz w Katyniu. Na pierwszym z nich, wśród 3,8 tys. polskich oficerów, spoczywa ośmiu generałów, a na katyńskim, w otoczeniu 4,4 tys. oficerów – trzech. Zidentyfikowano tylko dwóch...

O tym, że w lesie katyńskim zamordowano również Henryka Minkiewicza – i jego prochy znajdują się wśród innych niezidentyfikowanych oficerów – świadczą przede wszystkim zapiski w kilku ocalałych dziennikach jeńców



Gen. bryg. Bronisław Bohaterewicz



Gen. dyw. Henryk Minkiewicz-Odrowąż



Gen. bryg. Mieczysław Smorawiński



Gen. bryg. Leon Billewicz (brak portretu)



Gen. dyw. Stanisław Haller



Gen. bryg. Aleksander Kowalewski

Kozielska. Jednoznacznie wynika z nich, że generałowie Mieczysław Smorawiński, Bronisław Bohaterewicz i Henryk Minkiewicz oraz ok. 120 wyższych oficerów, w tym także mjr Adam Solksi, zostali wywiezieni z obozu 7 kwietnia 1940 r. Jest bardzo prawdopodobne, że jego i Minkiewicza egzekucja nastąpiła 9 kwietnia 1940 r. Generał znajdował się na jednej liście wywózkowej z Solskim, który prowadził pamiętnik z ostatnim wpisem tego dnia, relacjonującym nawet ostatnie momenty przewiezienia do lasu i rewizji.

Dodajmy jeszcze, że od 2000 r. na Polskim Cmentarzu Wojennym w Miednoje – ok. 200 km na północny zachód od Moskwy – spoczywają szczątki ponad 6,3 tys. ofiar, w tym ok. 5 tys. policjantów, a także funkcjonariuszy Straży Granicznej, Korpusu Ochrony Pogranicza, żołnierzy Żandarmerii Wojskowej i Oddziału II Sztabu Głównego, których w 1939 r. osadzono w Ostaszkowie, a rozstrzeliwano w Kalininie (wcześniej i dziś – Twerze). Generałów Wojska Polskiego oczywiście wśród nich nie było.

Generalskie CV

A oto krótkie curriculum vitae pomordowanych generałów, uszeregowanych wedle miejsca pochówku oraz alfabetycznie. Podaję taki stopień wojskowy, z jakim umierali. Pamiętajmy, że pośmiertnie o jeden stopień niemal wszystkich awansował prezydent RP Lech Kaczyński w 2007 r. (tj. generała brygady na generała dywizji, a generała dywizji na generała broni). Natomiast gen. dyw. Władysława Jędrzejewskiego, na wniosek ówczesnego szefa MON Antoniego Macierewicza, mianował generałem broni prezydent RP Andrzej Duda w 2016 r.

POLSKI CMEN TARZ WOJENNY W KATYNIU

Gen. bryg. BRONISŁAW BOHATEREWICZ przyszedł na świat w szlacheckiej rodzinie o tradycjach wojskowych 26 lutego 1870 r. w Grandzicach na Grodzieńszczyźnie. Po ukończeniu Wileńskiej Szkoły Junkrów Piechoty służył w armii rosyjskiej. Dowodził w 1914 r. batalionem piechoty na froncie niemieckim. Ranny w listopadzie, w niewoli pozostawał do końca wojny. W latach 1918–1919 dowodził samoobroną na Grodzieńszczyźnie, a następnie batalionem i całym pułkiem. Na wojnie 1920 r. odniósł ranę w obronie Warszawy. Wkrótce dowodził największymi oddziałami Litwy Środkowej. ■



Józef Piłsudski z oficerami. Generał Leonard Skierski na prawo, za plecami marszałka FOT. NAC

■ Od 1922 do 1926 r. w Wojsku Polskim służył w randze pułkownika na najwyższych szczeblach dowódczych w Słonimiu (20. DP) i Łomży (18. DP). W 1927 r. przeniesiony w stan spoczynku, osiadł jako osadnik wojskowy na rodzinnej ziemi grodzieńskiej, działając też w organizacjach kombatanckich. Sowieci ujęli 70-letniego, zdemobilizowanego człowieka po 17 września 1939 r., osadzili w obozie jenieckim NKWD w Putywlu, skąd przewieziono go do Kozielska.

Gen. dyw. HENRYK MINKIEWICZ-ODROWĄŻ urodził się 19 stycznia 1880 r. w Suwałkach. Studiował nauki przyrodnicze w Petersburgu, a od 1902 r. medycynę i malarstwo w Krakowie. Żadnych studiów nie ukończył, za to wstąpił do Organizacji Bojowej PPS, a następnie do ZWC i Związku Strzeleckiego. Poróżnił się z Piłsudskim i w Legionach zaciągnął się do II Brygady Hallera. Ranny pod Kostiuchnówką, uciekł z rosyjskiej niewoli i w 1917 r. wstąpił do Polskiej Siły Zbrojnej.

Od listopada 1918 r. kierował rozbrajaniem Niemców w Warszawie, organizował walkę z Ukraińcami, a potem – na czele 2. Dywizji Piechoty Legionów – wojował z bolszewikami. W 1925 r. został mianowany dowódcą Korpusu Ochrony Pogranicza. Sprawdził się. W 1929 r. odwołano go z tego stanowiska i w wieku 54 lat Minkiewicz przeszedł w stan spoczynku. Mimo to w 1939 r. Sowieci osadzili go w Kozielsku. Był najwyższy rangą wśród więzionych i cieszył się dużym autorytetem.

Gen. bryg. MIECZYŚLAW SMORAŃSKI pochodził z Kalisza, gdzie urodził się 25 grudnia 1893 r. W 1911 r. za działalność w Zarzewiu został zesłany na pół roku w głąb Rosji, skąd udał się na studia politechniczne do

Lwowa. Tam przez Drużyny Strzeleckie trafił do II Brygady Legionów, z którą przeszedł cały szlak bojowy, na koniec dowodząc batalionem. Po kryzysie przysięgowym pozostał w wojsku Rady Regencyjnej.

W Wojsku Polskim zajmował stanowiska dowódcze w pułkach piechoty legionowej. Podczas wojny 1920 r. dowodził 4. Pułkiem, a od 4 września – IV Brygadą Piechoty Legionów. Podczas walk na wszystkich frontach został pięciokrotnie ranny. Podczas zamachu majowego opowiedział się po stronie Marszałka. Powierzano mu wysokie stanowiska dowódcze. Po wybuchu wojny organizował armię na Wołyniu. Pertraktacje z bolszewikami zakończyły się 20 września zdradzieckim jego pojmaniem i wysłaniem do Kozielska.

POLSKI CMENTARZ WOJENNY W CHARKOWIE--PIATICHATKACH

Gen. bryg. LEON BILLEWICZ urodził się 25 kwietnia 1870 r. w majątku Werbiczna na Wołyniu. Od 1893 r. był oficerem rosyjskiej piechoty. Walczył z Japończykami na Dalekim Wschodzie, a podczas pierwszej wojny światowej z Niemcami. Ciężko ranny w 1915 r. W armii rosyjskiej wojował do rewolucji bolszewickiej, a następnie wstąpił do polskiego I Korpusu Wschodniego i do POW. W Wojsku Polskim od 1919 r. dowodził 11. Pułkiem Strzelców Wielkopolskich (późniejszy 69. Pułk Piechoty), z którym wyruszył na front ukraiński i dotarł nad Zbrucz.

Podczas wojny polsko-bolszewickiej dowodził XXIII Brygadą Piechoty. Do końca czerwca 1920 r. na linii frontu, następnie w odwodzie. Do 1927 r. komenderował Obszarem Warownym Brześć nad Bugiem. Potem w stanie spoczynku. We wrześniu 1939 r. dowodził

garnizonem w Dubnie. Po napaści sowieckiej na czele kombinowanej grupy operacyjnej przedzierał się w walce na Węgry. 19 września wzięty do sowieckiej niewoli, trafił do Starobielska.

Gen. dyw. STANISŁAW HALLER de HALLENBURG (kuzyn słynnego Józefa) urodzony w 1872 r. we wsi Polanka Hallera pod Krakowem, wybrał karierę wojskową w c.k. armii. Wybił się jako oficer sztabu korpusu, Sztabu Generalnego, a w 1915 r. – Twierdzy Kraków. Od 1916 r. dowodził pułkiem artylerii na froncie włoskim. W Wojsku Polskim został szefem sztabu Okręgu „Kraków”, a potem Sztabu Generalnego.

Podczas wojny bolszewickiej dowodził 13. DP, grupą operacyjną, a wreszcie – od kwietnia do października 1920 r. – 6. Armią we Lwowie. Przyczynił się do pokonania 1. Armii Konnej Budionnego. Od 1923 r. szef Sztabu Generalnego, podczas przewrotu majowego kierował sztabem sił rządowych. Potem przeniesiony w WP w stan spoczynku, aktywny działacz Akcji Katolickiej. W 1939 r. oddał się do dyspozycji Naczelnego Wodza. Ujęty przez Sowieców, został osadzony w Starobielsku.

Gen. bryg. ALEKSANDER KOWALEWSKI, urodzony w 1879 r. w Krasnymstawie, od 1900 r. był zawodowym podoficerem (m.in. inspektorem kucia koni) oraz oficerem armii rosyjskiej. Od 1914 r. na froncie niemieckim w oddziałach artylerii, po dwóch latach dowodził dywizjonem. Po rewolucji lutowej 1917 r. w polskich korpusach (kolejno: w I i w II) na wschodzie, a w 1919 w Wojsku Polskim, jako dowódca pułku artylerii.

Podczas wojny 1920 r. zajmował się sprawami dostaw uzbrojenia, uzupełnień, weryfikacji artylerzystów. Po zakończeniu wojny stopniowo awansował – w 1924 r.

uzyskał stopień generalski, a w 1925 r. stanowisko dowódcy 11. Dywizji Piechoty. Kierował kursem dla dowódców artylerii. Zwolniony ze stanowisk w 1927 r., w 1928 r. przeniesiony w stan spoczynku. W 1939 r. wraz z gen. Billewiczem przyjął 19 września walkę z Sowietami pod Żurawnem. Po kapitulacji trafił do Starobielska.

Gen. bryg. KAZIMIERZ ORLIK-ŁUKOSKI urodzony w 1890 r. w Sokole pod Garwolinem, w latach 1914–1916 służył w Legionach, a następnie w formacjach podporządkowanych Radzie Regencyjnej, w II Korpusie Polskim w Rosji i w Armii Polskiej we Francji. Dowodził tam pułkiem strzelców, który po przybyciu do kraju w 1919 r. został 48. pp Strzelców Kresowych.

Pułkiem tym dowodził do sierpnia 1920 r. Następnie powierzano mu dowództwo brygad (XXI i XXII). Podczas pokoju dowodził piechotą dywizyjną (w 12. DP i w 15. DP), a wreszcie został dowódcą 11. Karpackiej DP w Stanisławowie. We wrześniu 1939 r. stanął na czele Grupy Operacyjnej „Jaskół”. Po agresji sowieckiej ujęto go NKWD i osadziło w Starobielsku.

Gen. bryg. KONSTANTY PLISOWSKI urodzony w 1890 r. w Nowosiółce na Podolu. W wieku 21 lat rozpoczął służbę w armii rosyjskiej. Podczas pierwszej wojny światowej walczył na czele szwadronu huzarów. Na początku 1918 r. po 1400-kilometrowym marszu z kawalerzystami polskimi dotarł do zdobytego przez gen. Dowbora-Muśnickiego Bobrujska, ale po kapitulacji I Korpusu Polskiego wrócił na południe, gdzie na czele polskich oddziałów jazdy walczył z bolszewikami u boku „białych”. W 1919 r. wrócił do Polski i dowodził szarżą pod Jazkowcem, która przypieczętowała zwycięstwo nad zachodnimi Ukraińcami.

W dalszych bojach dowodził 14. Pułkiem Ułanów Jazłowieckich, a w 1920 r. brygadami jazdy (IV i VI). W czasie pokoju był dowódcą kolejnych brygad jazdy, sztabowcem oraz wykładowcą. We wrześniu 1939 r. przerwał „stan spoczynku”, dowodził obroną Twierdzy Brzeskiej, a pod koniec miesiąca – Nowogródzką Brygadą Kawalerii w GO gen. Andersa. Po walkach z Niemcami i Sowietami pojmany do bolszewickiej niewoli. Trafił do Starobielska.

Gen. bryg. FRANCISZEK SIKORSKI, urodzony w 1889 r. we Lwowie, po studiach na tamtejszej Politechnice i na UJ w Krakowie związał się z ruchem niepodległościowym (ZWC, Związek Strzelecki). W latach 1914–1916 walczył w Legionach jako dowódca batalionu w 3. i w 4. pp. Po kryzysie przysięgowym wcielony do c.k. armii, w 1918 r. – najpierw POW, a wkrótce oddziały WP organizowane na południu Rosji.

Z nimi wrócił do kraju, obejmując w 1919 r. dowództwo pułku, a następnie XIX Brygady Piechoty i XX Brygady Piechoty. Na ich czele walczył z bolszewikami do jesieni 1920 r.; na Froncie Północnym; pod Radzyminem; w Małopolsce Wschodniej. Wysokie stanowiska dowódcze w oddziałach piechoty zajmował do 1933 r., zwłaszcza że w 1926 r. opowiedział się po stronie Piłsudskiego. We wrześniu 1939 r. dowodził obroną rodzinnego Lwowa. Zdradziecko pojmany przez Sowietów został wysłany do Starobielska.



Gen. bryg. Kazimierz Orlik-Łukoski



Gen. bryg. Konstanty Plisowski



Gen. bryg. Franciszek Sikorski



Gen. dyw. Leonard Skierski



Gen. bryg. Piotr Skuratowicz



Gen. dyw. Władysław Jędrzejewski

Gen. dyw. LEONARD SKIERSKI urodził się w 1866 r. w świętokrzyskiej Stopnicy, w rodzinie szlacheckiej wyznania kalwińskiego. W latach 80. rozpoczął służbę w armii rosyjskiej, dochodząc w 1906 r. do stanowiska pułkownika artylerii. Podczas pierwszej wojny światowej piął się po szczeblach dowodzenia w brygadach, korpusach i armiach. Podczas rewolucji organizował kombatanów polskich i musiał uciekać przed bolszewikami do II Korpusu Polskiego. W Wojsku Polskim został w 1919 r. przydzielony do armii Hallera.

Brał udział w Wyprawie Kijowskiej, dowodząc dywizją, a następnie grupą operacyjną. Podczas Bitwy Warszawskiej jego 4. Armia nacierała znad Wieprza na lewym skrzydle uderzenia Piłsudskiego. Współuczestniczył w zdobyciu Grodna, co przesądziło o zwycięstwie również w Bitwie nad Niemnem. W 1926 r. stanął po stronie Piłsudskiego, dwukrotnie był inspektorem armii, a w stan spoczynku odesłano go w 1931 r., kiedy miał już 67 lat. Bolszewicy ujęli go 20 września 1939 r., gdy gościł w majątku gen. Sołłohuba-Dowoyno (gospodarka zastrzelili na oczach rodziny). Trafił do Starobielska.

Gen. bryg. PIOTR SKURATOWICZ urodzony w 1891 r. w majątku Filipowicze na Wileńszczyźnie rozpoczął pierwszą wojnę światową od służby w rosyjskim pułku huzarów. W 1916 r. przeszedł do lotnictwa. Samolotem umknął do Murmańska z I Korpusu Polskiego po jego kapitulacji w 1918 r. Przez Anglię i Francję dostał się do gen. Hallera, z którym wrócił do kraju. Pod dowództwem generała walczył do 1920 r., dowodząc szwadronami szwoleżerów.

Jego służbę opromieniła ułańska sława brata Teofila – z 4. Pułku Ułanów Zaniemeńskich – który zginął pod Hrebionką w lipcu 1920 r. Piotr po wojnie bolszewickiej służył w ułanach oraz w strzelcach konnych (dowódcą ich 10. Pułku został w 1929 r.), a także jako dowódca Centrum Wyszolenia Kawalerii. W 1937 r. został szefem Departamentu Kawalerii w Ministerstwie Spraw Wojskowych. We wrześniu 1939 r. dowodził Grupą „Łuck”. Ujęty przez NKWD i wywieziony do obozu w Starobielsku.

POLSKI CMENTARZ WOJENNY W KIJOWIE--BYKOWNI

Gen. dyw. WŁADYSŁAW JĘDRZEJEWSKI, urodzony w majątku na Witebszczyźnie, rozpoczął w 1884 r. karierę w armii rosyjskiej. Doświadczony w wojnie japońskiej z lat 1904–1905 oficer, od 1914 r. dowodził już pułkami, brygadą i dywizją piechoty. W kwietniu 1917 r. mianowano go generałem majorem. Stopień zachował w Wojsku Polskim, walcząc na czele 5. DP o Lwów i Małopolskę Wschodnią.

Podczas wojny z bolszewikami w 1920 r. dowodził 1., a następnie 6. Armią. W latach 1921–1924 był dowódcą okręgów korpusu w Lublinie i we Lwowie. Potem – do września 1939 r. – w stanie spoczynku. Gdy zgłosił się do służby, powierzono mu organizację Straży Obywatelskiej we Lwowie. Tam aresztowali go Sowieci i prawdopodobnie zgładzili w tamtejszym więzieniu podczas dokonywania zbrodni katyńskiej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Moskwa / Komisja Budrenki, Chatyń
i „Antykatyń”

Kłamstwo katyńskie



Pomnik ofiar niemieckiej zbrodni
w Chatyniu FOT. JOHN OLDALE/WIKIMEDIA



Tomasz Stańczyk

**Związek Sowiecki do
końca swego istnienia
zaprzeczał winie
za śmierć polskich
oficerów. Prowadził też
akcję dezinformacyjną**

13 kwietnia 1943 r. Radio Berlin nadało komunikat o odkryciu masowych grobów polskich oficerów w Katyniu. Odpowiedź sowiecka pojawiła się dwa dni później. Sowinformbiuro oświadczyło we właściwym komunistycznej propagandzie stylu, że „niemieckie zbiry faszystowskie nie cofają się w tej swojej nowej potwornej bredni przed najbardziej łajdackim i podłym kłamstwem, za pomocą którego usiłują ukryć niesłychane

zbrodnie, popełnione, jak to teraz widać jasno, przez nich samych”. Przecież – jak beczelnie twierdzili Sowieci – tragiczny los spotkał polskich jeńców wojennych, którzy znajdowali się na robotach budowlanych, z ręki „katów” faszystowskich, gdy latem 1941 r. Armia Czerwona wycofała się z rejonu Smoleńska.

17 kwietnia polski rząd na uchodźstwie wydał oświadczenie, w którym poinformował, że zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o wysłanie misji do Katynia, by zbadała na miejscu stan rzeczy, a oznaczać to będzie „wyświetlenie sprawy i ustalenie odpowiedzialności”. Nikt w polskim Londynie nie miał wątpliwości, że to Sowieci wymordowali polskich oficerów w Katyniu. Minister obrony Marian Kukiel przypomniał w swoim komunikacie, że strona polska nigdy nie dostała informacji o tym, gdzie przebywają oficerowie z obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie.

Rząd reprezentujący Polskę, będącą członkiem koalicji antyhitlerowskiej, tak samo jak Związek Sowiecki, nie mógł z oczywistych względów wskazać wprost sprawców zbrodni.

Jednocześnie komunikat Rady Ministrów odmawiał Niemcom prawa „do czerpania ze zbrodni, którą zarzuca innym” argumentów w obronie własnej.

„Rząd RP z Hitlerem”

W pierwszej reakcji sowieckiej pisano, w gazecie „Prawda”, o „polskich sojusznikach Hitlera”. Zwrócenie się przez polski rząd do MCK o wyjaśnienie zbrodni w Katyniu zostało ocenione jako „bezpośrednia i jawna pomoc hitlerowskiemu prowokatorom”, przez co polski rząd stał się w ten sposób „sojusznikiem Hitlera”. Sowiecka gazeta była pewna, że „naród polski odrzuci hitlerowskie oszczerstwa przeciw bratniemu narodowi sowieckiemu, który pokazał całemu światu cuda bohaterstwa, męstwa i szlachetności”. Co więcej, Polacy odwrócą się od tych, którzy „tak chętnie przechwytyjają hitlerowską fałszywkę” i gotowi są współpracować z katami narodu polskiego. Czyli odwróci się od polskiego rządu.

Była to przygrywka do działań dyplomatycznych, propagandowych i politycznych. Przekaz „Prawdy” był jasny: rząd sowiecki nie może mieć nic wspólnego z rządem polskim – sojusznikiem Hitlera. A Moskwa odmawia temu rządowi prawa do reprezentowania Polaków.

21 kwietnia 1941 r. zabrał głos Stalin. W depeszy do Churchilla i Roosevelta uznał postępowanie polskiego rządu za „nienormalne”, rozdmuchujące niemieckie oszczerstwa. Stalin kłamał, stwierdzając, że polski rząd nie zwrócił się o wyjaśnienia do Moskwy. Nie było zresztą takiej potrzeby. Przecież kilka dni wcześniej „wyjaśnienie” losu polskich oficerów znalazło się w komunikacie Sowinformbiura. A poza tym dzień przed nadaniem depeszy Stalina o takie wyjaśnienia prosił ambasadora sowieckiego w Londynie minister spraw zagranicznych Edward Raczynski.

Co więcej, Stalin twierdził, że między rządem gen. Sikorskiego a Hitlerem istnieje „kontakt i zмова w prowadzeniu tej wrogiej kampanii”(!). Rzecz jasna nie przedstawił dowodów, bo takich być nie mogło. To, że po Polskim Czerwonym Krzyżu do MCK z podobnym wnioskiem zgłosił się Niemiecki Czerwony Krzyż, nie było żadnym dowodem na polsko-niemieckie współdziałanie, lecz na rozgrywanie sprawy Katynia przez propagandę III Rzeszy.

Do wysłania misji MCK do Katynia nie doszło, gdyż zarząd tej instytucji oświadczył, że może to zrobić, jeśli wystąpią o to wszystkie zainteresowane strony. Wiadomo było, że z takim wnioskiem nie wystąpią Sowietci. Churchill zresztą uspokajał Stalina, że Wielka Brytania kategorycznie przeciwstawi się wyjazdowi misji MCK do Katynia lub jakiegokolwiek innej organizacji, bo „śledztwo” na terenie okupowanym przez Niemców „byłoby oszustwem, a wnioski uzyskano by drogą zastraszania”. Z pewnością brytyjski premier nie wierzył sam w to, co napisał... Informował też Stalina, że pod wpływem nacisków Sikorski „zobowiązał się nie upierać przy prośbie o przeprowadzenie śledztwa przez Czerwony Krzyż”. Brytyjski premier i amerykański prezydent uznali w depeszach do Stalina, że Sikorski popełnił błąd, zwracając się do MCK. Polski premier nie mógł jednak przecie-

nić nie zrobić. Nie mógł też przyłączyć się, co oczywiście, do sowieckiej propagandy oskarżającej Niemców.

Stalin doskonale wiedział, że Churchill i Roosevelt nie uwierzą w jego insynuacje o kontakcie i zmovie z Niemcami. Były przeznaczone dla opinii światowej. A jednocześnie stanowiły uzasadnienie następnego kroku. Stalin stwierdzał, że wobec postępowania polskiego rządu Moskwa czuje się zmuszona do konieczności zerwania stosunków z tym rządem. Churchill próbował odwieść Stalina od tej decyzji, argumentując, że skorzystają na tym Niemcy. „Propaganda niemiecka wymyśliła tę historię dokładnie po to, by spowodować wyłom w szeregach Narodów Zjednoczonych”.

Stalin był jednak nieugięty. Informując Churchilla o zerwaniu stosunków z rządem polskim, pozwolił sobie na szczypę humoru i ironii, pisząc: „żądali tego wszyscy moi koledzy”. Może on sam zastanawiałby się jeszcze nad apelem Churchilla, no, ale skoro koledzy naciskali...



Profesor Nikołaj Budrenko, fałszerz z Katynia

FOT. ARCHIWUM

Sowiecka gra toczyła się na wielu płaszczyznach. Jedną z nich pokazywała nota sowieckiego rządu o zerwaniu stosunków z rządem polskim. Sowiecki rząd „wiedział”, że „wroga kampania” przeciw Związkowi Sowieckiemu została podjęta po to, by wykorzystując „oszczerce fałszerstwo hitlerowskie”, wymusić na

Moskwie ustępstwa terytorialne kosztem sowieckich republik Litwy, Ukrainy i Białorusi. Polski rząd replikował, stojąc na gruncie granicy ryskiej, że nigdy nie sięgał ani nie sięga po żadne terytoria sowieckie. Sowieckie stanowisko oznaczało, że Moskwa nie zamierza zrezygnować ani z kawałka ziem polskich zagarniętych we wrześniu 1939 r.

Ambasador Tadeusz Romer odmówił przyjęcia noty sowieckiej, stwierdzając, że absolutnie nie zgadza się na przypisywanie przez Moskwę zekomowanych motywów i działań polskiego rządu w sprawie katyńskiej.

„Osądzić polskich prowokatorów!”

Nie wierząc, oczywiście, we własne propagandowe słowa, że Polacy odrzucają zbrodnię katyńską jako zbrodnię sowiecką, Sowietci postanowili urabiać opinię Polaków w kraju. Dymitrow, sekretarz generalny Kominternu, depeszował do Findera, przywódcy komunistycznej PPR, by ten rozwinął „demaskatorską kampanię” i wezwał „polskich patriotów” do osądzenia „prowokacyjnego postępowania Rządu Polskiego”. A to już była przygrywka do planów zmontowania marionetkowego przedstawicielstwa polskiego w ręku Sowietów lub takiej rekonstrukcji rządu polskiego, który zadowalałby Moskwę. Stalin pisał bowiem do Churchilla, że jest co prawda „zupełnie możliwe”, iż Sikorski nie miał zamiaru współpracować z „hitlerowskimi gangsterami”, ale w rządzie są „pewne elementy pro-hitlerowskie”, które wywarły nacisk na Sikorskiego i rząd – jak łaskawie stwierdzał – może wbrew swojej woli, „stał się narzędziem Hitlera”.

„Trybuna Wolności”, pismo PPR, pisała więc pod dyktando Moskwy, że celem niemieckiej propagandy wokół Katynia jest poróżnienie narodu polskiego z „bratnimi” narodami Związku Sowieckiego. „Każdy zrozumiał, że sprawcami tak potwornego morderstwa mogą być tylko ci sami, którzy posługiwali się i posługują metodą masowych morderstw”. Oczywiście „naród” piętnuje i potępia „tych z Londynu”, którzy dobro- wolnie spieszą z odsieczą chylącemu

■ się ku upadkowi reżimowi hitlerowskiemu. A także tych Polaków, którzy na zaproszenie Niemców jadą do Katynia, by obejrzeć ekshumowane zwłoki oficerów.

Tymczasem na użytek żołnierzy armii polskiej Berlinga pod sowiecką komendą Wanda Wasilewska pisała w „Wolnej Polsce” – swoją drogą co za cyniczny tytuł – „Woła nas krew Katyńskiego lasu głosem mocnym, nakazującym. [...] Kiedy idziecie na zachód, kiedy bijąc w pierś wroga, przez zaciśnięte zęby mówicie sobie: za Warszawę, za Westerplatte, za Kutno – nie zapomnijcie dodać i tego: za Katyń!”.

„Świadkowie” zeznają

Moskwa nie mogła pozostawić bez odpowiedzi wyników ekshumacji i konkluzji międzynarodowej komisji powołanej przez Niemców. We wrześniu 1943 r. Geоргий Aleksandrow, szef zarządu propagandy partii bolszewickiej, informował sekretarza KC Szczerbakowa, że Armia Czerwona jest 30–35 km od Katynia i trzeba stworzyć komisję, która na miejscu rozpocznie prace. „Opublikowanie dobrze przygotowanych materiałów o sprawie katyńskiej, demaskujących prowokacje Niemców, mogłoby mieć duże znaczenie polityczne”.

Na pierwszy ogień poszli „świadkowie”. Informacja ludowego komisarza bezpieczeństwa państwowego Mierkułowa – który jako zastępca szefa NKWD Barii nadzorował akcję rozstrzeliwań polskich oficerów – o rezultatach wstępnego „śledztwa” podawała, że przesłuchano 95 osób. Wszyscy „świadkowie” zapewniali, że „Kozie Góry” (rejon lasu katyńskiego) były nieogrodzonym, ogólnodostępnym miejscem wypoczynku dla mieszkańców Smoleńska oraz okolicznych wsi, zbierano grzyby i jagody, kąpano się w rzece. „O żadnych rozstrzeliwaniach w tym czasie [do czerwca 1941 – przyp. T.S.] nie słyszeliśmy” – tak „zeznała” Polka o nazwisku Czeksnis. Nikt zresztą z „grzybiarzy” nie słyszał strzałów. Mierkułow podkreślał: „Groby polskich oficerów znajdują się niecałe 200 m od szosy Smoleńsk-Witebsk. Trudno przypuszczać, aby tak blisko ruchliwej drogi można było w czasie pokoju rozstrzelać kilka tysięcy ludzi tak, aby nie wiedzieli o tym okoliczni mieszkańcy”.



Profesor Wiktor Prozorowski pokazuje czaszki polskich oficerów prof. Nikolajowi Budrence, 1944 r. FOT. EAST NEWS

I rzeczywiście miał rację... Niemcy przesłuchali wielu okolicznych mieszkańców, którzy potwierdzali fakt rozstrzeliwań Polaków przez NKWD. Mierkułow konkludował: „Jedynie faszystowsko-niemieccy szubrawcy, bez skrupowania stosujący różne sposoby zabijania ludzi, mogli, wykorzystując warunki wojny, dokonać tej zbrodni”.

Polscy jeńcy byli widziani jeszcze, według „świadków”, w sierpniu i we wrześniu 1941 r. „Po tym czasie jeńców wojennych Polaków więcej nikt nie widział”.

Co więc się stało? „Jasną odpowiedź” dają „dokumenty i zeznania świadków”. Kobiety pracujące w willi zajętej przez niemieckich żołnierzy „zauważyły” ruch krytych ciężarówek, Niemców idących z bronią do lasu. Gdy wracali, „sposzregły” krew na mundurach niektórych z nich. „Z wszystkiego tego wysnułam wniosek, że Niemcy przywożą na dachy ludzi i ich rozstrzeliwali”. Dociekliwy śledczy pytał, kim mogli być ci ludzie. W odpowiedzi usłyszał: „Jestem głęboko przekonana, że Niemcy rozstrzeliwali jeńców wojennych Polaków”.

Jeden ze świadków znalazł, gdy Niemcy zatrudnili go przy ekshumacji, trzy łuski od niemieckich naboju. Miał być to rzekomy dowód na to, że to Niemcy rozstrzeliwali. Profesor Bazylewski, mianowany przez Niemców zastępcą burmistrza Smoleńska, „zeznawał”, że rozmawiał z burmistrzem Mienszaginem o tym, co się stało z polskimi jeńcami. Mienszagin odpowiedział „z ociąganiem i żądając zachowania tajemnicy: Z nimi już skończone. Von Schwetz [wojskowy komendant miasta – przyp. T.S.] powiedział mi, że wszyscy zostali rozstrzelani, gdzieś tam niedaleko Smoleńska”. I dodał, że było to ogniwo w łańcuchu antypol-

skiej polityki niemieckiej, szczególnie zaostrej po zawarciu układu polsko-sowieckiego.

Mierkułow pisał w swoim raporcie, że Niemcy zmuszali okoliczną ludność do zeznawania, iż to NKWD rozstrzelało Polaków, a jeden z nich, Kisielow, oświadczył, że był naocznym świadkiem egzekucji. Rzecz jasna, Niemcy kazali mu się nauczyć roli świadka. A pod czujnym okiem oficera NKWD tak mówił: „Moje opowieści były dokładnie kontrolowane i sterowane przez tłumacza gestapo”. Kisielow zapewniał NKWD-zistę: „Wierzcie mi, że cały czas męczyło mnie sumienie, gdyż wiedziałem, że w rzeczywistości polskich oficerów rozstrzelali Niemcy w 1941 r., ale nie miałem innej możliwości, gdyż stale znajdowałem się pod groźbą powtórnego aresztowania i tortur”.

W styczniu 1944 r. sowieckie biuro polityczne powołało komisję specjalną (pod przewodnictwem prof. Budrenki) do spraw zbadania zbrodni przeciwko polskim jeńcom wojennym.

Komisja Budrenki dokonała m.in. „odkrycia” przy jednych zwłokach modlitewnika z notatką datowaną na 4 kwietnia 1941 r., przy innych niewysłaną kartkę pocztową datowaną na 20 czerwca 1941 r., list wysłany z Warszawy w grudniu 1940 r. i kilka innych dokumentów z datami późniejszymi niż kwiecień 1940 r.

Pracowano szybko, bo już 24 stycznia pojawił się komunikat. „Stwierdzono całkowitą identyczność metody rozstrzeliwania jeńców wojennych Polaków i sposobu rozstrzeliwania [przez Niemców – przyp. T.S.] sowieckiej ludności cywilnej i sowieckich jeńców wojennych”.

Rzecz jasna, Sowietci zadbali o ściągnięcie do Katynia dziennikarzy z krajów alianckich, którym przedsta-

wiono „świadców” niemieckiej zbrodni i umożliwiono rozmowy z „ekspertami” z komisji Budrenki. Mniejsza o to, czy dziennikarze ci, opisując pobyt w Katyniu, wykazali się naiwnością, czy stosowali autocenzurę, czy podlegali cenzurze we własnych krajach. Ich relacje były pozbawione cienia wątpliwości i przekazywały na cały świat dokładnie „ustalenia” sowieckie.

Jeden z nich, z „Toronto Star”, pisał, że pokazywano mu kartkę pocztową z 12 czerwca pisaną przez polskiego oficera i wiele innych dokumentów z 1941 r. Inny z „Christian Science Monitor” pisał tylko to, co usłyszał do członków komisji Budrenki, wspominając o „wzruszającym liście” Stanisława Kuczyńskiego do żony w Warszawie, oczywiście z 1941 r. Szczupłość owych „dowodów” tłumaczyli Sowietci tym, że Niemcy rozpruwali kieszenie mundurów ofiar i usuwali materiały kompromitujące, no, ale wszystkie się nie udało... Tak jak „nie udało się” niemieckim „prowokatorom” usunąć rzekomego dowodu hitlerowskiej zbrodni – łusek od naboju wyprodukowanych w niemieckich fabrykach. Rzeczywiście, polskich oficerów zabijały kule wyprodukowane w Niemczech, ale dostarczone Związkowi Sowieckiemu przed wybuchem wojny. Żaden z korespondentów zachodnich nie zastanowił się nawet nad taką możliwością, nie chciał lub bał się tak pomyśleć.

Władze sowieckie trzymały się twardo wersji o niemieckim sprawstwie i reagowały na podniesienie sprawy Katynia, tak jak się to stało w 1971 r. Zaniepokojenie Moskwy wywołała zapowiedź emisji filmu BBC w telewizji. W związku z filmem sowieckiemu ambasadorowi w Londynie nakazano zgłoszenie protestu przeciw możliwej emisji i żądanie do niedopuszczenia do niej. Ambasador uznawał, że wyciąga się na światło dzienne „insynuację goebbelsowskiej propagandy, aby oczerniać Związek Sowiecki”, i nie omieszkął dodać, że „naród sowiecki przelaną krwią uratował Europę do faszystowskiego zniewolenia”.

Na początku lat 70. dyplomacja sowiecka protestowała przeciw planom postawienia pomnika katyńskiego w Londynie przez polsko-angielski komitet, ze względu na „nienawistny, kłamliwy w stosunku do ZRSS napis”, obciążający Moskwę odpowiedzialnością za zagładę 14,5 tys. polskich oficerów.

Foreign Office, dbając o dobre stosunki ze Związkiem Sowieckim, próbowało zablokować wzniesienie pomnika, a jeśli już miałyby powstać, to wywierało presję, by nie było na nim daty 1940, jednoznacznie wskazującej sprawców zbrodni. Naciski sowieckie, a może i jednocześnie brytyjski konformizm wobec Sowietów, spowodowały, że pomnik nie mógł stanąć na żadnym placu czy żadnej ulicy w Londynie. Ostatecznie odsłonięto go w odległej od centrum części miasta, na cmentarzu. Jednak pod wpływem presji władz brytyjskich napis mówił nie o zamordowanych, lecz „zaginionych” w 1940 r. oficerach, spośród których część odnaleziono w dołach katyńskich.

Chatyń i Antykatyń

Skoro Moskwa nie była w stanie doprowadzić do zakazu mówienia o Katyniu w wolnym świecie, uciekła się do akcji dezinformacyjnej. Na terenie sowieckiej Białorusi znajdowała się do lat drugiej wojny światowej wioska Chatyń. Badaczka zbrodni katyńskiej prof. Natalia Lebiediewa stwierdzała: „Spośród kilku tysięcy rzeczywiście zniszczonych przez faszystów białoruskich wsi na budowę pomnika wybrano osiedle o podobnej nazwie [co Katyń – przyp. T.S.], jak gdyby starając się na zawsze powiązać w świadomości ludzi zbrodnię katyńską z niemieckimi najeźdźcami” („Zeszyty Katyńskie” nr 23).

W 1943 r. oddział SS-Sonderkommando Oskara Dirlewangera (późniejszego kata ludności Woli podczas powstania warszawskiego) wraz z batalionem policyjnym złożonym z kolaborantów-obywateli sowieckich, w odwecie za śmierć niemieckiego oficera zabitego przez komunistycznych partyzantów, dokonał zbrodni we wsi Chatyń, w któ-

rej ci partyzanci się zatrzymywali. 149 mieszkańców, kobiety i dzieci także, zapędzono do stodoły, którą podpalamo. W 1969 r. powstał „memoriał” – pomnik ku czci ofiar zbrodni niemieckiej.

Chatyń, Katyń – te nazwy brzmią bardzo podobnie, po angielsku pisane są jako Khatyn i Katyn. Do Chatynia zapraszano więc delegacje zagraniczne. Składali tam kwiaty prezydent Richard Nixon i przewodniczący ONZ Javier Pérez de Cuéllar.

Skoro po upadku Związku Sowieckiego Moskwa musiała przyznać, że to NKWD zgładziło polskich oficerów, szukano w Moskwie pewnej przeciwwagi – a zlecił to Michaił Gorbaczow – by szukać faktów i dokumentów, które mogłyby obciążyć stronę polską.

Podniesiono więc sprawę śmierci jeńców – żołnierzy Armii Czerwonej wziętych do niewoli podczas wojny Polski z bolszewicką Rosją. W obozach jenieckich zmarło 16–18 tys. czerwonoarmistów spośród ok. 82–84 tys. jeńców. Śmiertelność była wysoka – ok. 20 proc. Rosyjska propaganda od lat 90. mówiła nawet o 60 tys.

„zamordowanych”, o „brutalnie zamęczonych”.

Jednak, podczas gdy śmierć polskich oficerów była wynikiem zimniej premedytacji Stalina i jego otoczenia, śmierć czerwonoarmistów spowodowały

epidemie różnych chorób, głównie tyfusu i czerwienki, a także cholery. Wojskowe inspekcje sanitarne zauważały złe warunki w obozach sprzyjające epidemiom, zaniedbania i zaniechania, i starały się przeciwdziałać.

Jednak także los polskich jeńców w niewoli bolszewickiej był tragiczny. W obozach w Rosji sowieckiej zmarło na skutek chorób i złych warunków prawdopodobnie ok. 15 tys. Polaków, spośród ok. 35–45 tys. jeńców, śmiertelność była więc jeszcze wyższa niż w obozach jenieckich dla bolszewickich żołnierzy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Mark Strong jako
kpt. Smith FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Pierwsza wojna światowa / „1917” w reżyserii Sama Mendesa

Rzeź w błocie



Jakub Ostromecki

Reżyser stworzył sugestywny obraz krwawej „wojny w okopach” na podstawie wspomnień własnego dziadka



Jest 6 kwietnia 1917 r. Dwóch brytyjskich kaprali – William Schofield i Tom Blake – stacjonujących w okolicy Arras we Francji otrzymuje dość nietypowe i niebezpieczne zadanie. Mają ostrzec dowódcę pułku Devonshire, aby pod żadnym pozorem nie atakował niemieckich pozycji. Ci bowiem przygotowali pułapkę na Brytyjczyków, cofając się o kilkadziesiąt kilometrów ku znakomicie umocnionej Llinii Hindenburga (operacja „Alberek”). Jeśli pułk Devonshire zaatakuje, wówczas zostanie zmasakrowany. Czasu nie ma, linie telefoniczne są zerwane, a najszybsza droga do nieświadomego niebezpieczeństwa pułku wiedzie nie wzdłuż powyginanej linii okopów, ale wprost przez ziemię niczyją, gdzie mogą cziąć się niemieckie

patrole. Film inspirowany jest wspomnieniami Alfreda Mendesa, dziadka reżysera, który służył w czasie wielkiej wojny w 1. Brygadzie Strzelców.

Wiosną 1917 r. na przedstawionym w filmie odcinku frontu toczyły się dwie bitwy: pod Vimy i Arras. Alfred Mendes nie bił się jednak w żadnej z nich, lecz kilkadziesiąt kilometrów na północ, w starciu, które powszechnie znane jest jako bitwa o Passchendaele czy trzecia bitwa o Ieper (franc. Ypres), a w Niemczech jako trzecia bitwa flandryjska. Obszar walk był potwornie podmokły i w czasie pokoju tylko ciężka harówka flandryjskich melioratorów czyniła go zdarnym do życia. Wojna, a w szczególności ostrzał artyleryjski, obróciła jednak kanały w ruinę. Żołnierze brnęli więc po pas w błocie, walczyli przez długie

tygodnie w ogromnych kałużach. Mendes wyszedł z tego w jednym kawałku, ale do końca życia będzie jednak mył dłonie co kilkanaście minut.

Batalion Mendesa atakował leżącą na pagórku wieś Poelkapelle. Utknął jednak w morderczym bocznym ogniu niemieckich kaemów i wnet jedna trzecia żołnierzy batalionu nie żyła lub była rana. Pozostali kryli się w lejach po pociskach, nie mogąc nawiązać łączności z resztą wojsk. Dowódca jednej z kompanii stwierdził wówczas, że trzeba kogoś wysłać na pole walki i zlokalizować żołnierzy co do jednego. Alfred Mendes zgłosił się na ochotnika. Miał niecałe 160 cm wzrostu – idealnie, aby skryć się w zwykłej o tej porze roku mgłę, której warstwa kończyła się nad jego głową. „Mimo snajperów, kaemów i odłamków

George MacKay jako kpr. Schofield

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



ny Krzyżem Wiktorii za akcję pod Vid Gavrelle, gdzie za pomocą kilku granatów powstrzymał wraz z trzema żołnierzami atak całej niemieckiej kompanii. Wykrycie skutków niemieckiego odwrotu 7 lutego 1917 r. opisał Peter Englund w „Pięknie i smutku wojny”: „Na śniegu Pollard zauważa ślady oddziału niemieckiego, który zaatakował ludzi w okopie. To strzał w dziesiątkę, ponieważ idąc po tych śladach przez zamrożone bagno, dochodzą do rzeki. [...] z wyciągniętym rewolwerem przechodzi na drugą stronę jako pierwszy – jak zawsze. Kiwa na pozostałych żołnierzach z patrolu. Krok za krokiem skradają się do pokrytej śniegiem wioski. Jest cicho. Raporty są prawdziwe. Niemcy opuścili wieś”.

W kwietniu 1917 r. każdy dowódca brytyjskiego pułku powinien zatem wiedzieć o nowych pozycjach Niemców. Historia z nieświadomym zagrożenia pułkiem Devonshire, do którego nie docierają żadne wiadomości, jest fikcyjna, choć oczywiście w czasie wielkiej wojny na innych frontach, gdy łączność bywała jeszcze w powijakach, takie historie się wydarzały. Pułk Devonshire nie walczył wówczas tak blisko Arras. W ogóle rzadko w historii wielkiej wojny zdarzało się, aby brytyjski pułk bił się gdzieś w pełnym składzie, czyli ze wszystkimi batalionami. W Wielkiej Brytanii pułk jest bowiem wojskową jednostką organizacyjną i terytorialną, odpowiadającą za szkolenie i esprit de corps wojska. Bywało, że bataliony pułków wysyłano na front osobno i dołączały one potem do różnych brygad. Tak było w przypadku Devonshire. Jeden z jego batalionów walczył pod Ieper, drugi zaś daleko na południe pod Aisne, gdzie zresztą wslawił się prawdziwie spartańską obroną.

Okopy

Schofield i Blake wkraczają do opuszczonych niemieckich okopów. Różnica między umocnieniami przeciwników jest kolosalna. Bohaterowie opuścili bowiem

rodzime okopy o dość siermiężnym wystroju, a wkraczają w świat, gdzie każdy worek i każda belka ustawione są według planu. Nic się nie osypuje, nie ma błota, ściany okopu podtrzymuje solidna betonowa konstrukcja. Jeszcze większy podziw budzi niemiecki schron. Jakże inny jest od ordynarnych i ciasnych brytyjskich ziemianek. Przestronne korytarze, instalacja elektryczna, wygodne prycze. „Nawet szczury są tu większe” – mówi z niekłamany podziwem jeden z bohaterów.

Nie ma co marszczyć brwi w niedowierzaniu, zarzucać reżyserowi grania na stereotypach. O ile Niemcy nie marnowali oczywiście betonu na wzmacnianie najbardziej wysuniętych ku wrogowi okopów, o tyle ich podziemne schrony były rzeczywiście imponujące. Wynikało to z odmiennego podejścia do wojny pozycyjnej po obu stronach frontu. Francuzi i Brytyjczycy uznawali okopy za punkt wyjścia do ataków; nie traktowali ich jak stałych mieszkań dla swojej piechoty.

W filmie bohaterowie nie dochodzą do Linii Hindenburga, ale wypowiedź brytyjskiego oficera sztabowego mówi wiele o niemieckiej technologii fortyfikacyjnej: „System ten stanowił wedle wszelkiego prawdopodobieństwa najpotężniejsze umocnienia skonstruowane podczas tej wojny. [...] Okopy były szerokie i głębokie, i dobrze umocnione. Schody, podpory i szalunki użyte do skonstruowania schronów zostały wyprodukowane tysiącami według określonych wzorów. Było to pierwsze udane zastosowanie masowej produkcji przy konstruowaniu schronów ziemnych”.

W monografii Simona Jonesa „Wojna pod ziemią” znajdują się fragmenty wspomnień Ernsta Jungera. Tak opisywał on swój schron, w którym mieszkał od zimy 1915 do wiosny 1916 r. koło Monchy-au-Bois: „Nasze schrony, z korytarzami tak długimi i wygodnymi jak powieść Dickens’a [...]”. I dalej:

„W tych dniach, zabezpieczony pasem zasieków z drutu kolczastego szerokim na 50 m, człowiek mógł ryzykować śpienie w pidżamie, a automatyczny

wróciłem do dowództwa kompanii w jednym kawałku, choć z bagażem mrozących krew w żyłach przeżyć i opowieści, którymi straszylem potem po nocach moje wnuki i prawnuki”. Jednym z takich małych słuchaczy był późniejszy reżyser Sam Mendes.

Alberek

W filmie niemiecki odwrot jest dla większości żołnierzów brytyjskich olbrzymim zaskoczeniem. W kwietniu 1917 r. operacja „Alberek” była już jednak dawno zakończona. Odwrot trwał bowiem w lutym i marcu. Brytyjskie lotnictwo, a w ślad za nim piechota wykryły ów ruch już w lutym. Jednym z takich patroli dowodził ppor. Alfred Pollard odznaczony



Żołnierz brytyjski w okopach pod Oivillers-la-Boisselle, podczas bitwy nad Sommą FOT. WIKIPEDIA

■ mauser, który leżał obok popielniczki, używany był tylko wtedy, gdy chciało się przerwać monotonię wyjść na patrol". Niemieckie schrony wyposażone były w kantyny, gdzie można było dostać papierosy i wino, miały „łóżka wielkie jak łóżka-szafy w westfalskich chatkach” i posiadały nawet dzienne oświetlenie pochodzące z szybu zamykanego na wypadek ostrzału. Także Niemcy w czasie odwrotu nie zostawiali swoich okopów w takim porządku, jak przedstawiono to w filmie. Wspomnienia Brytyjczyków mówią o stosach szmat, puszek po amunicji, odpadków czy odchodów.

Po alianckiej stronie frontu zdarzały się oczywiście solidne podziemne schrony, ale – jak pisze Simon Jones – służyły jako „punkty opatrunkowe, kwatery dowództwa kompanii i batalionów, stanowiska łączności oraz składy amunicji królewskich saperów”. Budowano je przy daleko położonych od frontu okopach. W rejonie, w którym toczy się akcja filmu, Brytyjczycy wykorzystywali również stare katakumby znajdujące się pod Arras czy nieużywane kopalnie.

Niemieckie schrony miały jednak potężne wady, z których bohaterowie filmu powinni zdawać sobie sprawę. W 1917 r.,

po opanowaniu dawnego niemieckiego okopu, oficerowie brytyjscy stwierdzili: „Wyprowadzenie z nich żołnierzy na czas, by zdołali odeprzeć zaskakujący wypad, było niemożliwe. W istocie ziemianki te okazałyby się pułapkami, tak więc użycie ich zostało zakazane, a wejścia zamknięto płataniną drutu kolczastego”. Mieli rację. W latach 1915 i 1916 – jak pisze Jones – zdarzyło się nieraz, że „Francuzi i Brytyjczycy zaskoczyli Niemców, zanim ci zdołali opuścić schrony i ziemianki, używając ognia artyleryjskiego przenoszonego naprzód, nad niemieckimi pozycjami i za nie. [...] Ostrzał nie był w stanie całkowicie zniszczyć głęboko położonych schronów, ale uniemożliwił Niemcom ich opuszczenie i otwarcie ognia do nacierającej piechoty”. [...] „Niemieckie dowództwo zaczęło zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństw, które zaczynały stwarzać głębokie schrony, ale dopiero po alianckich ofensywach w maju i kwietniu [1917 r., czyli po czasie akcji filmu – przyp. J.O.] Niemcy zakazali ich konstruowania na pierwszej linii”.

W latach 30. odkopano niemieckie schrony z bitwy pod Cornillet w 1917 r. Wyjścia zatkałe były stosami ciał. Wielu żołnierzy miało na sobie maski gazowe,

które nie chroniły jednak przed tlenkiem węgla. Co było przyczyną tak morderczej pułapki? Francuzi nauczyli się bardzo precyzyjnie naprowadzać ogień artylerii. Ich zwiad lotniczy na bieżąco korygował ogień tak, że pociski zaczęły wpadać do schronów przez szyby wentylacyjne.

Mendes pokazał horror wojny pozycyjnej, zwłoki żołnierzy obu armii zalegające miesiącami w lejach po bombach, wystające z błota członki, wzdęte truchła zwierząt i wszędobylskie szczury. Pomiął jednak skutki działania istot, które dla żołnierzy były najbardziej dokuczliwe, sprawiając, że niejeden był na skraju załamania nerwowego. Wszy.

Szeregowy Quinton w monografii frontu zachodniego autorstwa Andrew Wiesta wspominał: „Nie zwracaliśmy zbyt uwagi na wszy, gdy staliśmy, umierając z zimna na naszych stanowiskach obserwacyjnych. Ale gdy wchodziliśmy do naszych maleńkich ziemianek i nasze ciała zaczynały się rozgrzewać, wtedy wszy wychodziły z ukrycia w naszych mundurach, formowały się w kolumny czwórkami i zaczynały maszerować po naszych ciałach. Tak! Były naszymi nieodłącznymi towarzyszami i choć żartowaliśmy sobie z nich, zdarzały się momenty, gdy kompletnie wyczerpani, zarówno psychicznie, jak i fizycznie, leżałem bez ruchu i nie mogłem zasnąć z powodu wszy; słyszałem jęki i urągania innych żołnierzy, którzy przeklinali insekty i ich stwórcę”.

Brak higieny miał katastrofalne skutki. Na początku swojej epopei Schofield przez przypadek wsadza skaleczoną rękę w rozkładające się ciało niemieckiego żołnierza. Reżyser, być może przez niedopatrzenie, nie kontynuuje tego pobocznego wątku. Pod koniec filmu Schofield, dotarłszy do pułku Devonshire, powinien mieć już wysoką gorączkę.

Spalona ziemia

Obszar, z którego wycofali się Niemcy, przypomina krąg piekła. Poćcinane drzewa w poprzek dróg, pozabijane zwierzęta gospodarskie, spalone farmy, powysadzane mosty. Matki z dziećmi pozostawiane same sobie w ruinach domów. Tak było naprawdę. Ernst Junger cytowany w monografii Wiesta wspominał: „Wioski, które mijaliśmy, wyglądały jak [...] opuszczone przytułki

dla obłąkanych. Całe oddziały burzyły ściany, siadały na dachach domów i zrzucały dachówki. Drzewa zostały poćcinane, okiennice wyłamane, dym i chmury kurzu unosiły się ze stert śmieci. Żołnierze ganiili dookoła z jakimś chorobliwym zapałem ubrani w stroje pozostawione przez okoliczną ludność: w kobiecych sukniach, w cylindrach na głowach. [...] Każda wioska na drodze do linii Zygfryda zmieniała się w jeden wielki stos śmieci. Żołnierze ścinali wszystkie drzewa, minowali drogi, zatruli studnie, zasypywali je, wysadzali w powietrze domy, zakładali śmiertelne pułapki, rozgrabiali wszystko, co napotkali na swojej drodze, niszczyli tory kolejowe, linie telefoniczne”.

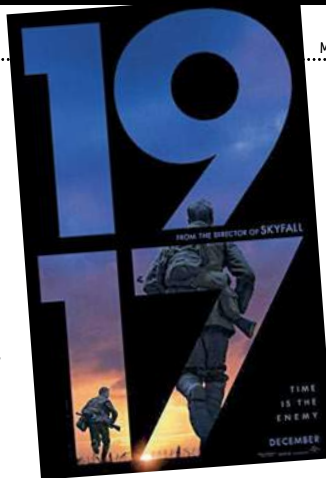
Widząc okropności niemieckiej maszyny wojennej, musimy mieć jednak świadomość, że Brytyjczycy byli zdolni do podobnych działań, choć pod inną szerokością geograficzną. Wszak to oni byli pionierami w zastosowaniu obozów koncentracyjnych podczas wojny z Burami.

W filmie niemal fantastycznym epicentrum owego zniszczenia jest miasto

Ecust. W rzeczywistości jednak jest to mała, senna wioska, przez którą nie płynie żaden kanał, ale zanikający wśród pól strumyczek. Trudno szukać tam również rwących strumieni czy wodosпадów.

Tragiczny atak pułku Devonshire na linie niemieckie stał się wizytówką filmu. Schofield, już bez broni i oporządzenia, chcąc jak najszybciej dostać się do dowódcy pułku, pędzi desperacko w poprzek nacierającej ku zatraceniu jednolitej masy wojska. Zdeżra się tu i ówdzie z żołnierzami, co – jak ujawnił Mendes – było wynikiem czystej improwizacji.

Nie chodziło jednak w owym finale o to, aby dokładnie oddawać realia pola walki z wiosny 1917 r. Wszak pierwsza fala Brytyjczyków, choć punktualna, naciera kupą, straceńczo, obłądnie, aby wzmocnić przekonanie widza, że atak skończy się śmiercią większości żołnierzy. W lutym 1917 r. wszedł jednak



nowy regulamin piechoty Armii Brytyjskiej zwany enigmatycznie SS 143.

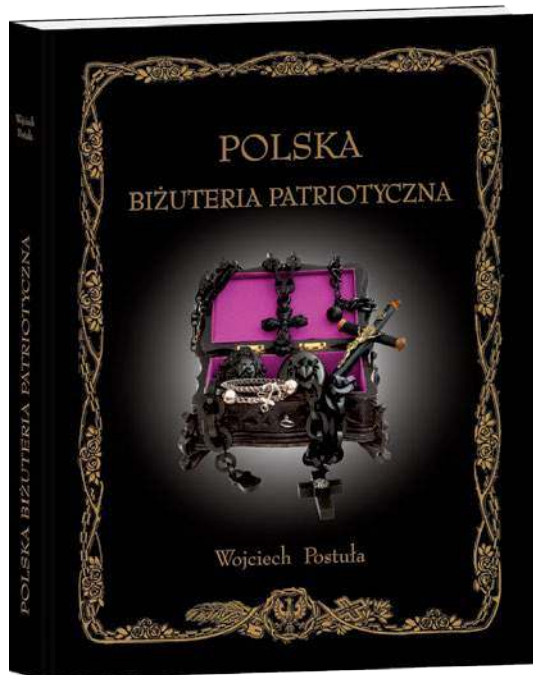
Plutony nie nacierały już archaiczną tyralierą, ale były podzielone na wyspecjalizowane sekcje: pierwsze miały skupić się odpowiednio na rzucaniu granatami i ostrzale z broni ręcznej lub

snajperskiej, dwie kolejne – na wsparciu ogniem rkm i miotaniu granatów nasadkowych. Czasem owo ugrupowanie formowano w romb.

O ile straceńczy szturm jest symbolem niebezpieczeństwa, o tyle słońce i sięgająca kolan trawa pod koniec filmu mają ukoić skołatane nerwy widza. W końcu rozkaz został doręczony, a większość pułku, w tym brat poległego Blake’a, uratowana. Na początku kwietnia w północnej Francji łąki i drzewa nie wyglądają jednak jak w pełni lata. Wysunięty punkt opatrunkowy nie mógł też mieścić się pod chmurką, lecz w ciemnym podziemnym schronie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



Wojciech Postuła

Polska Biżuteria Patriotyczna i pamiątki historyczne XIX i XX wieku

Bogato ilustrowany album z ponad 600 kolorowymi fotografiami eksponatów biżuterii patriotycznej, przenoszący nas w czasie do wydarzeń sprzed ponad 150 lat - od okresu Manifestacji Warszawskich do odzyskania przez Polskę niepodległości. Pamiątki były odpowiedzią na bieżące wydarzenia, pełniąc rolę nośników emocji patriotycznych narodu, a dzięki temu albumowi ocalamy tę piękną biżuterię od zapomnienia.



Wydawnictwo Graf_ika

tel. 664-172-032, e-mail: sklep@graf-ika.pl

www.sklep.graf-ika.pl

1797 r. / „Insurekcja” Deniski i Dąbrowskiego-Powaty

Zapomniane powstanie



Ósmym był Fryderyk Melfort, potomek hrabiowskiej rodziny angielskiej, która z Jakubem Stuartem opuściła ojczyznę; urodzony w Warszawie, był major przy gwardii [pieszej] koronnej, pod Dobronowcami miał nad strzelcami komendę. Jako najciężej winny, bo jeden z dowódców, patrzeć musiał na



Marek Gałęzowski

Po klęsce powstania kościuszkowskiego część oficerów i żołnierzy schroniła się na tureckiej Wołoszczyźnie. W 1797 r. wkroczyli na teren zaboru austriackiego, aby rozpocząć nową insurekcję

zgon wszystkich towarzyszy. Na niego zwrócone były oczy całego tłumu. Zachowywał się mężnie. Dopiero, gdy ujrzał, że siódmego powieszono, dreszcz przeszedł ręce i nogi skazańca; zbladł śmiertelnie. W tej chwili spoczęły na nim ręce kata. Przyszedł do siebie i patrzył przez chwilę spokojnie na widzów. Po chwili tragedia dobiegła końca. Władze pozostały na miejscu do następnego rana, czekając zapewne na zdjęcie i zakopanie trupów”. Tak śmiercią wziętych do niewoli polskich patriotów została okupiona pierwsza próba powstańcza, wszczęta po trzecim rozbiore Rzeczypospolitej. Zadali ją Austriacy, którzy z trzech zaborców uchodzili za najłagodniejszych.

Jeszcze nie upadło powstanie kościuszkowskie, a już pewna część rozbitków ostatniej armii Rzeczypospolitej znalazła się w Besarabii, w tzw. rai chocimskiej między Dniestrem a Prutem. Wówczas obszar ten znajdował się pod władzą Turcji, na pograniczu z Austrią. Najbardziej zwały oddział przyprowadził tam Joachim Denisko. Latem 1794 r. ten dobiegający czterdziestki szlachcic zaproponował Tadeuszowi Kościuszce wywołanie powstania na Wołyniu, skąd pochodził i gdzie miał pewne wpływy wśród szlachty. Naczelnik powstania nie wiedział, że Denisko w przeszłości był skazany za zlecenie zabójstwa w czasie konfliktu sąsiedzkiego i w ogóle miał opinię awanturnika. Nie służył też wcześniej w wojsku.

Uzyskawszy zgodę na realizację swojego planu i stopień brygadiera, Denisko zaczął formować oddział na Lubelszczyźnie. Trwało to długo i pochłaniało znaczne sumy, powodując zniecierpliwienie Kościuszki, który w końcu zarzucił mu złamanie słowa i marnotrawstwo grosza publicznego. Dopiero wtedy, a było to już w dniach klęski maciejowickiej, Denisko z setką ludzi, skutecznie omijając straż austriackie, przekradł się na Wołyń. „Odznaczył” się jedynie licznymi konfiskatami, przekraczającymi potrzeby niewielkiego oddziału, a wobec kontrakcji Rosjan i Austriaków jeszcze w październiku 1794 r. znalazł się za granicą turecką. Jego majątek – osobistą decyzją carycy Katarzyny II – został skonfiskowany.

W następnym roku Denisko wysunął się na czoło wojskowego uchodźstwa polskiego na pograniczu turecko

-austriackim. W porozumieniu z konspiracją patriotyczną, zawiązaną pod nazwą Centralizacji we Lwowie, zaczął snuć plany wywołania kolejnej insurekcji. Wszyscy liczyli na wsparcie Turcji, która od początku XVIII w. znajdowała się w stałym konflikcie z Rosją.

Dąbrowski „Powala”

Akcję powstańczą zdynamizowało przybycie z Paryża latem 1796 r. gen. Ksawerego Dąbrowskiego, w czasie niedawnej insurekcji jednego z dowódców partyzanckich w Wielkopolsce, który zaprzestał walki z Prusakami dopiero po upadku powstania w zaborze rosyjskim. Został on wysłany na Wołoszczyznę przez radykalną organizację Deputacja, zrzeszającą lewicowy odłam polskiej emigracji, wrogi działalności wojskowej, prowadzonej we Włoszech przez gen. Jana H. Dąbrowskiego. Deputacja promowała innego Dąbrowskiego, licząc, że stworzy on konkurencyjne legiony, które przy wsparciu Turcji i Francji wkroczą do zaboru austriackiego.

Dąbrowski, który swoją siedzibę ulokował w Bukareszcie, stolicy Wołoszczyzny, szybko potrafił usunąć Deniskę i przejąć kontrolę nad uchodźstwem wojskowym, znajdującym się w rai chocimskiej. Pod pseudonimem Powala rozpoczął energiczną akcję organizacyjną i dyplomatyczną, znajdując wsparcie dla swoich planów w osobie ambasadora francuskiego w Stambule. „Kto kocha Ojczyznę, niech idzie na Wołoszczyznę” – głosiło hasło, które zyskało popularność na ziemiach pod zaborem rosyjskim i austriackim. Odpowiedziała na nie pewna liczba ochotników, których w 1796 r. liczone na przeszło 1,6 tys. We wrześniu oficerowie z otoczenia Dąbrowskiego podpisali w Bukareszcie akt konfederacji narodu w celu zbrojnego wyzwolenia ojczyzny spod władzy zaborców. Marszałkiem generalnym konfederacji został gen. „Powala”, który ponadto otrzymał naczelne dowództwo nad „wszystkimi armiami Rzeczypospolitej”. Przekonywał on, że akcję powstańczą należy rozpocząć szybko, ponieważ garnizony austriackie w Galicji są bardzo słabe, a społeczeństwo polskie w tym zaborze czeka jedynie na podniesienie sztandaru



Generał Karol Kniaziewicz FOT. WIKIPEDIA

powstańczego. Dla siebie „rezerwował” zajęcie Lwowa.

Jednak przywódcy emigracji polskiej w Paryżu wykazali więcej realizmu w ocenie tych planów. Zdawali oni sobie sprawę, że nawet gdyby udało się opanować Galicję, to następnie trzeba byłoby prowadzić walkę z dwoma pozostałymi mocarstwami rozbiorowymi. Bez pewnego wsparcia militarnego Francji i Turcji była ona skazana na klęskę. Zaczęto wątpić w powagę dowódcy – to wtedy jeden z polityków emigracyjnych, bardziej znany jako autor polonezów, Michał Kleofas Ogiński, spolszczył wersję pseudonimu, którego Dąbrowski używał w kontaktach z Francuzami – z „Powala” na „Powalał”.

Chociaż akcja werbunkowa, wspierana przez francuską ambasadę w Stambule, się rozwijała, a część uczestników ruchu otrzymała mundury, przybrane w trójkolorową francuską kokardę, oraz czapki na złą wróżbę nazywane „desperatkami”, to gwiazda Dąbrowskiego jak szybko zabłysła, tak szybko zaczęła gasnąć. Poza trącącym awanturnictwem planem insurekcyjnym wpłynęły na to także oskarżenia o przywłaszczenie części sum zebranych na działalność organizacyjną oraz sprawa niejakiego ppłk. Leopolda Sierpińskiego.

Oficer ten – „postać szmatława”, jak ocenia Marian Brandys w szkicu „Generał Powalał” – wychowany na dworze Stanisława Augusta Poniatowskiego (i ściśle związany z ostatnim królem Polski), przyczynił się do aresztowań

■ w środowisku przygotowującym powstanie 1794 r. Przybył on do Bukaresztu krótko po Dąbrowskim, „niewątpliwie jako szpieg, jeżeli nie Rosjan, to przebywającego w Petersburgu Stanisława Augusta” (Brandys). Pisarz ocenił jednak, że nie usprawiedliwia to metod, jakie „Powała” nakazał zastosować wobec Sierpińskiego. Najpierw uwięziono go w jakiejś piwnicy, a następnie, wedle pogłosek, ludzie z otoczenia Dąbrowskiego mieli pozbawić go życia, „wbijając mu w czaszkę hufnale”. Hufnał to duży gwóźdź, służący do przybijania podkowy koniowi...

Ostatecznie, wskutek powyższych zarzutów, Ogiński doprowadził do usunięcia Dąbrowskiego z kierownictwa organizacji wojskowej. Kiedy w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia 1796 r. „Powała” zaczął domagać się rozpoczęcia akcji powstańczej, większość podlegających mu oficerów odmówiła. Dąbrowski musiał ustąpić. Na jego miejsce wrócił Denisko, rekomendowany przez Ogińskiego.

Desperacki atak

„Nie tak urzekający i wykształcony jak jego poprzednik, ale równie jak on kłamiwy i wygadany patriotycznie – zapewniał swych podwładnych o rychłym już wybuchu powstania w całym kraju oraz o mających nadejść posiłkowych korpusach tureckich i francuskich [...]” – pisał Brandys. Wątpliwości zgłaszał m.in. mjr Fryderyk Melfort, dawny uczeń Szkoły Rycerskiej, jeden z czołowych organizatorów i uczestników zrywu powstańczego w Warszawie w kwietniu 1794 r. Przekonał go jednak Denisko, podobnie jak pozostałych, że pomoc jest pewna i gdy tylko dotrą do Horodenki (na południowy wschód od Stanisławowa), zastaną wszystko przygotowane i otwartą drogę do Lwowa.

Świtem 26 czerwca 1797 r. nad granicznym Dniestrem rozległy się strzały, które sygnalizowały wkroczenie powstańców do zaboru austriackiego. Było ich niespełna 200, podzielonych na kilka grup liczących każda od 20 do 30 konnych. „Napaśli na czartaki strażnicze, komory [celne] i wioski w Trupczynie, Witkowcach, Olchowicach w obwodzie zaleszczyckim, a w Toporowcach i Dobronowcach na Bukowinie; przyszło do utarczek z różnym wynikiem; zostawili



Zamek w Chocimiu FOT. WIKIPEDIA

powstańcy paru zabitych i rannych” (ten i pozostałe cytaty, o ile nie zaznaczono inaczej, za: Marian Kukiel, „Próby powstańcze po III rozbiórze 1795–1797”, Poznań 2006, reprint wydania z 1912 r.).

Po całej akcji insurgencki cofnęli się na terytorium tureckie, ale już następnego dnia napadli na komorę skarbową w Onucie, gdzie spodziewano się znaleźć jakieś pieniądze (te w porę zostały ukryte). Akcja zakończyła się odczytaniem odezw y powstańczej, w której ogłoszono chłopom wolność od wszystkich powinności pańszczyźnianych i zadeklarowano opiekę brygadiera Deniski, występującego jako naczelnik powstania. Oddział zaraz cofnął się znów na Besarabię. „Jakim był taktyczny cel całej owej akcji, trudno powiedzieć; okazał się Denisko szalonym może straceńcem, ale dowódcą złym. Sądząc, jak się zdaje, że rozprasza uwagę nieprzyjaciela i siły jego rozdrabnia, w istocie ostrzegł go tylko”.

28 lub 29 czerwca powstańcy w liczbie ok. 200 ruszyli na Dobronowce. Przeważała jazda, dowództwo nielicznej piechoty objął Melfort. Jak pisał Kukiel, „kasę konfederacką i papiery wieziono za oddziałem przez Dobronowce, gdzie spodziewali się mieć do czynienia z 25 dragonami; nie wiedział Denisko, że w nocy z 29 na 30 czerwca nadszedł tam komendant pogranicza major Novack, z półkompanią piechoty, trzema plutonami dragonów i jednym działem. Wieczorem 30 czerwca nastąpiło starcie. Wynik był fatalny. Za-

chwalili się podobno dwukrotnie dragoni austriaccy pod szarżą konnicy powstańczej. Jednocześnie śmiały atak Melforta rzucił podobno popłoch między piechotę austriacką – byli to, jak się zdaje, plajasze [strzelcy krajowi]. Nie wytrzymali jednak wolontariusze Deniski uporczywej walki z regularnym żołnierzem; konnica zła mała się i pierzchała. Dowódca jej, Iliński, z trudem zdołał wyrwać się z pośród dragonów. Ranny był późniejszy generał, Julian Sierawski, Rzodkiewicz dostał siedm cięć pałasza i pchnięcie bagnetem; uniesiono go z placu boju. Pozostała piechota. Melfort, ciężko ranny, był już jeńcem. Żołnierze bronili się po bohaterstwu i wyginęli wszyscy pod cięciami pałaszów. Brygadier uszedł wraz z konnicą, porzucając kasę i papiery [...]”.

Dziesięć dni później siedmiu wziętych do niewoli powstańców i wynajęty przewodnik, chłop mołdawski, stanęło przed sądem doraźnym, który odbył się w jakiejś wiosce w pobliżu Toporowiec, na północny wschód od Czerniowiec. „Wieczorem zjechał sędzia kryminalny [...] i starosta v. Balsch wraz z tłumem ciekawych. Przez całą noc trwały badania; zakończono je dopiero następnego dnia po południu; o 4 godzinie odczytano pod sądny wyrok śmierci; o piątej rozpoczęła się egzekucja. Przerwana, jak się zdaje, przez burzę i deszcz ulewny, wlokła się parę godzin. »Ponieważ mistrz Grün nie przybył ze Lwowa – pisze jeden z komisarzy policji do swego kolegi – podjął się



przeniknięty uwielbieniem dla czułego i szlachetnego serca Jego Cesarskiej Mości”. Kiedy Denisko czynił ostatnie przygotowania do swojej desperackiej akcji, Dąbrowski właśnie wjeżdżał do Petersburga. Rosjanie przez pewien czas byli przekonani, że oto zjawił się nad Nową sam twórca polskich Legionów we Włoszech, a „Powała” temu nie zaprzeczał. Dopiero po pewnym czasie przebywający w Petersburgu Polacy rozpoznali go – wezwany przez cara Pawła I, musiał przyznać, że z gen. Janem H. Dąbrowskim nie ma nic wspólnego.

Oszustwo uznano chyba za dość niewinne, ponieważ wkrótce Dąbrowski otrzymał dowództwo pułku dragonów w Wilnie. Niedługo się na nim utrzymał, sięgając zbyt nachalnie do kasy pułkowej i prowadząc ostentacyjnie rozpustne życie. Znowu wpadł w niełaskę i powędrował do celi. Amnestionowany po śmierci Pawła I, „dzięki swoim nieodpartym urokom” (Brandys) wkradł się szybko w łaski jego następcy, Aleksandra I, który mianował go generałem lejtnantem z odpowiednio wysoką pensją. Dąbrowski osiadł w Moskwie, gdzie po 10 latach uwikłał się w kolejny skandal kryminalno-obyczajowy – porwał pewną dziewczynę, chcąc ją zmusić do małżeństwa, za co utracił rangę i powędrował na zesłanie. Po utworzeniu Królestwa Polskiego wrócił do kraju i osiadł w majątku Wrząca Mała na Kujawach.

W życiu politycznym objawił się znowu po nocy listopadowej, kreując się na zdecydowanego zwolennika sprawy narodowej. W radykalnej powstańczej „Gazecie Polskiej” pisano o nim jako o mężu niepospolitych zdolności i wielkich zasług. Krótko trwała ta kariera – szybko zdemaskowany, zbiegł do Prus. Wypłynął – po raz ostatni – w czasie ofensywy rosyjskiej, mianowany w lipcu 1831 r. przez dowódcę armii carskiej feldmarszałka Iwana Paskiewicza naczelnikiem rządu tymczasowego oswobodzonych prowincji Królestwa Polskiego. W pierwszej odezwie wyzywał rodaków: „Przybiegaj-

cie z ufnością do waszego prawego króla [czyli cara Mikołaja I], w nim znajdziecie Ojca narodu!” (cyt. za: M. Brandys). Umarł w końcu lat 30. w swoim majątku w powiecie konińskim i został pochowany w miejscowym klasztorze.

Chociaż obaj dowódcy polscy na Wołoszczyźnie okazali się ludźmi małego charakteru, swoją postawą dostarczając argumentów przeciwnikom powstań narodowych, którzy wskazywali na krótką czasem odległość od radykalnej opcji niepodległościowej do radykalnej zdrady insurekcyjnych haseł, to przynajmniej niektórych ich podkomendnych widzimy później w Legionach Polskich. Takim był wspomniany już Julian Sierawski, który jako 17-latek, w stopniu oficerskim, brał udział w powstaniu Kościuszki, po katastrofie Deniski służył pod komendą Jana H. Dąbrowskiego, uczestniczył w wojnach napoleońskich, był pułkownikiem w armii Księstwa Warszawskiego, uczestnikiem wojny z Austrią w 1809 r. i wyprawy Napoleona na Rosję trzy lata później, gdzie odznaczył się w bitwie pod Borysowem i był ranny nad Berezyną. W czasie powstania listopadowego w stopniu generała dowodził dywizją, bez powodzenia niestety walcząc z Rosjanami na Lubelszczyźnie, a później dzielił los większości innych wyższych oficerów pobitej armii na emigracji we Francji.

Mimo że w historii pierwszego zrywu narodowego po trzecim rozbiorze, a także w późniejszych, zdecydowanie przeważają ludzie szlachetni, a nie zaprzańcy, to warto przytoczyć w zakończeniu naszej opowieści trafne spostrzeżenie Mariana Brandysa: „Na zacne dusze spragnione wolnej ojczyzny nie ma groźniejszej i chytrzejszej pułapki jak patriotyczna frazeologia sprężona z perfidną prowokacją”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



dozorca więzienny Garsky ekspedycji i, jak słyszę, wywiązał się ze swego zadania, jak na początkującego, wcale dobrze i pozostanie chyba katem...”. Pierwszego powieszono przewodnika, później kolejnych uczestników tragicznej wyprawy. Najstarszym był Józef Kamiński z Szarogrodu na Podolu, mający 54 lata, najmłodszym 18-letni Stefan Narodosławski z Wołynia.

Carska łaska

Losy Deniski, który dowodził wyprawą, potoczyły się całkiem inaczej. Nie minął nawet rok od egzekucji podwładnych brygadiera, kiedy ten w ambasadzie rosyjskiej w Konstantynopolu zwrócił się o łaskę do cara Pawła I. Uzyskawszy ją, odpłacił się informacjami o armii tureckiej, po czym wrócił na Wołyn, gdzie odzyskał skonfiskowane wcześniej dobra. Jego dalsze losy nie są pewne. Otoczony niechęcią, podobno rozpił się i zmarł w Petersburgu w roku, w którym cesarz Napoleon wyruszył na Moskwę. Informujący o ostatnich latach życia Deniski pamiętnikarz przyczynę pijaństwa widział w wyrzutach sumienia przywódcy wołoskiego legionu. Takie wyjaśnienie wydaje się jednak bardzo wątpliwe.

Znacznie większą karierę w Rosji zrobił „Powała” Dąbrowski. W końcu marca 1797 r. zjawił się w Jassach u rosyjskiego konsula, któremu złożył „list błagalny,

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.

/ – Razem z kolegami z podziemia uwalnialiśmy Polaków z rąk okupanta i wykonywaliśmy egzekucje na zdrajcach. Gdy sam wpadłem w ręce UB, przyjaciele z konspiracji nie zapomnieli o mnie – mówi Sergiusz Papliński

PIOTR WŁOCZYK: 9 września 1945 r. obchodził pan swoje 18. urodziny, a przy okazji imieniny. Koledzy z podziemia nie mogli chyba panu sprawić lepszego prezentu?

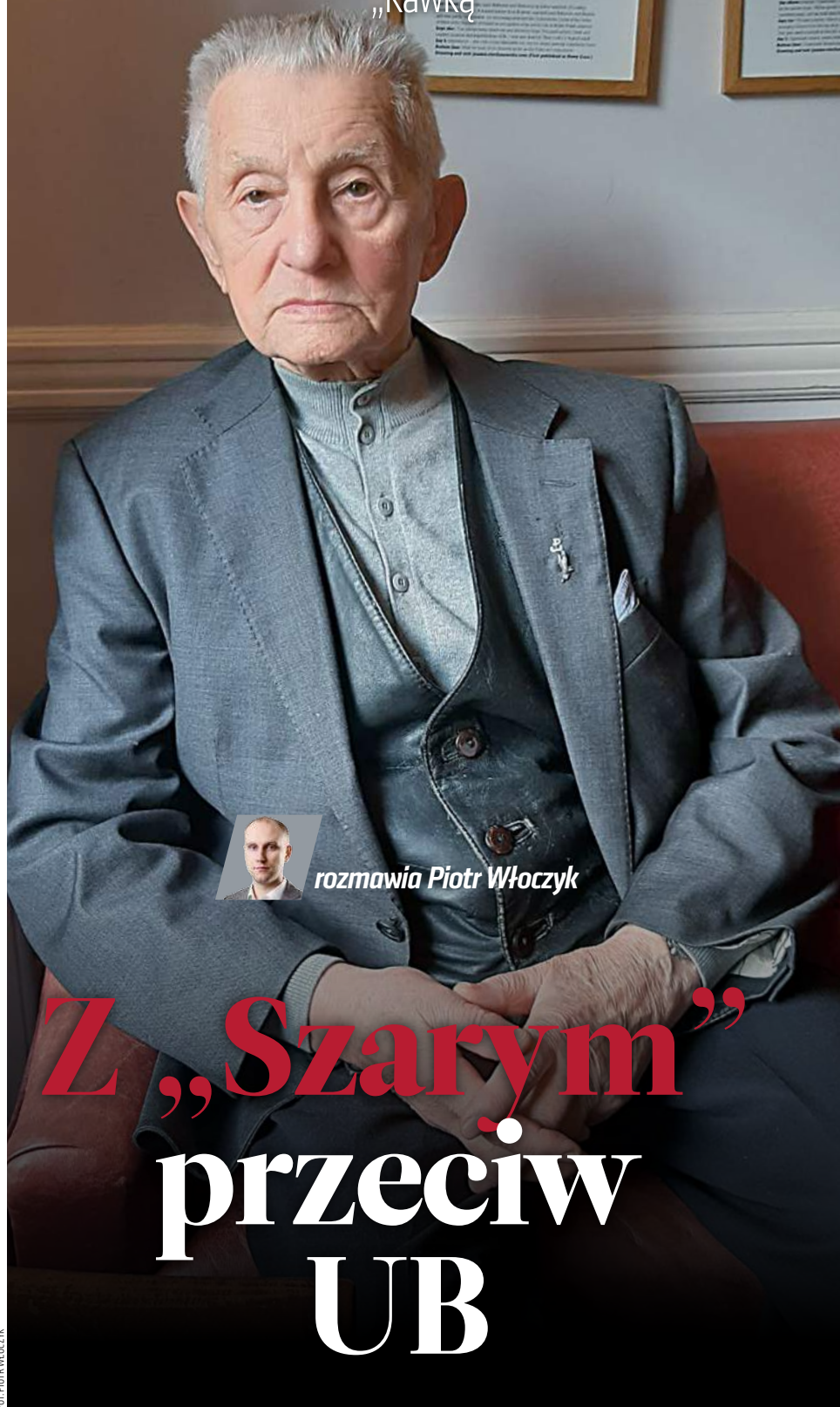
SERGIUSZ PAPLIŃSKI: (śmiech) Tamten dzień zaczął się dla mnie w ubeckiej katowni w Radomiu, w której trzymali mnie od prawie dziewięciu miesięcy, a wieczorem byłem już wolnym człowiekiem, wyrwanym z więzienia przez kolegów z podziemia, z którymi tyle przeżyłem... Szykowałem się już na najgorsze, bo ubek, który się na mnie uwiązał, zapowiedział mi: „Papliński, twoje godziny są policzone. Niedługo z tobą skończymy”.

Akcja zaczęła się ok. godz. 20. Jak wyglądała z pańskiej perspektywy?

Najpierw był wybuch. Potem walnęło po raz drugi. Znaczyło to, że brama wyleciała w powietrze. Wiedziałem, co się święci, bo wcześniej sam brałem udział w rozbijaniu więzień. Rok wcześniej to ja podkładałem ładunek wybuchowy pod bramę więzienia w Końskich, ale to było jeszcze za Niemca. Po wybuchach rozpoczęła się strzelanina. W celi było nas kilku. Złapaliśmy za ławy i zaczęliśmy wywierać nimi drzwi.

Po chwili słyszę, jak z korytarza dobiega wołanie: „»Kawka«, »Szczodryk! Gdzie jesteście?”. To był „Stan”, mój zastępca w sekcji szturmowo-minerskiej w oddziale kpt. Antoniego Hedy „Szarego”. Braliśmy razem udział w dziesiątkach akcji. Padliśmy sobie w ramiona. Byłem wolny i wśród swoich! Czy gdy ubecy wprowadzali mnie do więzienia dziewięć miesięcy wcześniej, mogłem podejrzewać, że wyjdę stamtąd z pistoletem ma-

Świadek historii / Z Sergiuszem Paplińskim „Kawką”



rozmawia Piotr Włoczyk

**Z „Szarym”
przeciw
UB**

szynowym przewieszonym przez ramię? (śmiej). Dostałem go od „Stana”, który zabrał go po drodze jakiemuś bezpieczniakowi.

W wyniku ataku na więzienie Urzędu Bezpieczeństwa w Radomiu uwolniono ponad 300 osób, w tym 60 żołnierzy podziemia. Zabitych zostało dwóch milicjantów, dwóch czerwonarmistów i jeden funkcjonariusz UB. W czasie akcji zginęło też dwóch żołnierzy podziemia z ok. 150, którzy brali w niej udział. Radom został na moment odbity z rąk komunistów, którzy – jak szacują historycy – mieli tam w sumie ok. 3 tys. uzbrojonych ludzi.

Stefan Bembiński „Harnaś” dowodził tą akcją, a „Szary” opracował plan. On był mistrzem rozbijania więzień. Miesiąc wcześniej bezbłędnie przeprowadził akcję na więzienie w Kielcach, która pozostaje najśłynniejszą akcją tego typu. Został wtedy jednak ranny i nie mógł dowodzić akcją w Radomiu. Tuż przed atakiem na więzienie „Szary” wysłał swoich ludzi w teren, w promieniu kilkudziesięciu kilometrów od miejsca akcji, by dokonywali tam mniejszych uderzeń mających stanowić „zasłonę dymną” dla głównej akcji. Ubecja wyjeżdżała z miasta, a potem partyzanci blokowali drogi, żeby czerwoni nie mogli wrócić do miasta. Tak też było zorganizowane odbicie więźniów z Radomia.

Miał pan okazję strzelić ze zdobycznej ubeckiej broni?

Nie, bo po drodze nie było problemów. A wręcz przeciwnie, zrobiło się nawet bardzo sympatycznie. Do Radomia przyjechał akurat cyrk. Ludzie wyszli z namiotu, stali przy ulicy, bili nam brawo, usłyszeliśmy wtedy dużo ciepłych słów. To była bardzo wzruszająca scena. Ulicami Radomia, na chwilę wyzwolonego spod komuny, znów szli polscy żołnierze. My się jednak spieszyliśmy, bo już czekały na nas ciężarówki.

Pod komendę „Szarego” już pan nie wrócił.

Nie. Razem z Franciszkiem Sławińskim ps. Szczodry pojechałem zasilić podziemie poakowskie na Pomorzu. Brałem tam udział w akcjach rekwizycyjnych na komunie, egzekucjach na zdrajcach. Robiłem to do momentu, aż zostałem wybrany razem ze „Szczodrym” do przerzutu na Zachód.

Zanim o tym porozmawiamy – szczególnie ciekawie brzmi wątek waszej ewakuacji w mun-

Na pierwszym planie:
Sergiusz Papliński

FOT. ZBIORY SERGIUSZA PAPLIŃSKIEGO



„Kawka” Zgrupowanie „Szarego”
Podoficer służbowy Lato 1944 roku

durach NKWD – przenieśmy się na moment do radomskiej fabryki broni, gdzie wszystko się dla pana na dobre zaczęło.

Tam się skończył jeden rozdział mojej okupacyjnej historii, a zaczął drugi, który doprowadził mnie do „Szarego”. Jesienią 1943 r. musiałem uciekać z domu. Chodziłem wtedy do I klasy gimnazjum technicznego i musiałem odbyć praktyki w fabryce broni w Radomiu. Pracujący tam robotnicy byli skrupulatnie rewidowani, ale uczniowie byli traktowani pobłaźliwie i nikt na nas nie zwracał większej uwagi. Wynosiliśmy więc broń w kałach (śmiej). Znosiłem to potem w jedno miejsce w parku Kościuszki i ktoś to odbierał. Trochę się tego wyniosło... W każdym razie Niemcy dowiedzieli się w końcu, że coś takiego się dzieje.

Ktoregoś dnia podszedł do mnie w fabryce człowiek z organizacji i powiedział, żebym wyszedł na obiad i już tu nie wracał. Przykazał mi też, żebym z nikim nie rozmawiał. Dostałem instrukcje co dalej. Nie będę ukrywał, zrobiło mi się nieswojo. Skierowali mnie na wieś pod Szydłowic. Kilka tygodni byłem na melinie. Tylko jak długo można nic nie robić? Nosiło mnie, byłem młody, miałem 16 lat i chciałem działać.

Jednak był pan równocześnie „spalony”.

Dlatego możliwość była w zasadzie tylko jedna – las. Dowiedziałem się, że w okolicy przebywa oddział AK. Tak się złożyło, że to był właśnie oddział „Szarego”. Nie namyślając się długo, postanowiłem do niego dotrzeć. „Ubezpieczenie” mnie zatrzymało, ale poprosiłem tych żołnierzy, żeby mnie zaprowadzili do dowódcy. Powiedziałem, że jestem z Armii Krajowej, że złożyłem już przysięgę. Zaprowadzili mnie do „Szarego” i do jego zastępcy „Krzyka”, czyli Zygmunta Kiepaśa.

Chyba nietrudno sobie wyobrazić, jak obaj oficerowie patrzyli na pana, drobnego 16-latkę...

No cóż... Początkowo nie było miło. „Szary” powiedział z poważną miną, że trzeba przekazać dowództwu informację, iż jeśli przysyłają dzieci, to powinni też dosyłać dla nich racje mleka. Trudno było o bardziej wymowną odpowiedź na moją prośbę o przyjęcie do oddziału. Strasznie mnie to zdenerwowało. Zagotowałem się, zresztą tak już mam, że nie lubię owijać w bawełnę. Odpowiedziałem „Szaremu”, pamiętam to do dziś: „Jedyna różnica między nami jest taka, że ja jestem młodym chłopakiem, a pan wyszkolonym oficerem. Ale jeżeli chwycimy za pistolety, to zobaczymy, kto będzie lepszy...”

Brama więzienia w Radomiu FOT. ARCHIWUM



■ Chce mi pan powiedzieć, że odezwał się pan w ten sposób do kpt. Antoniego Hedy?

Jak Boga Kocham, tak powiedziałem. Wiem, że to się wydaje nie do pomyślenia. To był jedyny raz, gdy mu się postawiłem, ale to były emocje. Poza tym zawsze go słuchałem, bo doskonale wiedział, co robi. To był wspaniały dowódca.

Kątem oka zobaczyłem, jak „Krzyk” odwraca głowę i zaczyna się śmiać... „Szary” zawsze wiedział, co powiedzieć, był mistrzem szybkiej riposty, ale ten jeden raz jakby zaniemówił. Popatrzył na mnie, pomyślał chwilę i powiedział: „Dobrze, zostajesz przyjęty do oddziału, ale pamiętaj, że tu nie ma mamusi ani tatusia i nie ma do kogo płakać”. Ja jednak nigdy nie byłem beksą, potrafiłem znosić trudy, a poza tym mój ojciec już nie żył. W ten sposób z końcem 1943 r. dołączyłem do zgrupowania „Szarego”.

Byłem u niego w ministerstwie, brałem udział w egzekucjach. Pomagałem w wysadzaniu torów kolejowych i zdobyłem doświadczenie w rozbijaniu więzień. Podłożyłem ładunek pod drzwiami więzienia w Końskich. To był niezapomniany 5 czerwca 1944 r. Wtedy też zdobyłem pistolet Bergmann. Kilkadzieciąt osób uwolniliśmy z tej niemieckiej katowni.

Wspomniał pan, że przed pierwszą rozmową z „Szarym” był pan już po przysiędze.

Tak, ale tamte akcje były zupełnie innego typu. Robiliśmy w Radomiu to, co zazwyczaj robili ludzie w naszym wieku działający w konspiracji. Poza wynoszeniem broni z fabryki, wrzucałem też śmierdzące bomby do kina przy Mo-

nuszką puszczającego niemieckie filmy propagandowe. Zapalaliśmy je z kolegą, szybko wychodziliśmy z sali, a za chwilę całe kino za nami wybiegało (śmiejch).

Jak pan wpadł w ręce Urzędu Bezpieczeństwa?

Na początku 1945 r. przyjechałem do Radomia. To już było po wejściu ruskich. Ze „Szczodrym” i z „Sępem” (Jan Jurek) byliśmy obstawą „Szarego”, który miał w Radomiu spotkanie ze swoim dowódcą. „Szczodry” dowodził ochroną „Szarego”. Osiem razy był ranny! W Radomiu zostawiłem mamę z młodszym rodzeństwem – siostrą i bratem. Ojciec już nie żył, a starszy brat wyjechał. Postanowiłem, że zatrzymam się z kolegami u mamy.

Tego dnia zobaczył mnie na ulicy kolega z dzieciństwa i spytał zaciekawiony, czy ja przypadkiem nie jestem w partyzantce... Ja oczywiście zaprzeczyłem, powiedziałem, że cały czas byłem u ciotki na wsi. Zdziwiło mnie, że kolega miał zasłonięte jedno oko. Mówił, że się podrapał, ale – jak to sobie wszystko potem analizowałem – to pewnie nowe władze tak go załatwiły... Pogadaliśmy chwilę i wróciłem do domu. Spaliśmy w dużym pokoju – ja, „Szczodry” i „Sęp”. Oczywiście mieliśmy przy sobie broń. Nad ranem budzi mnie stukanie do drzwi.

A przecież w domu oprócz was byli jeszcze pańska mama i rodzeństwo...

Tak. Od razu różne niepokojące myśli przychodzą człowiekowi do głowy... Mama poszła otworzyć. W drzwiach stali ubecy pod komendą kobiety. „Podobno pani syn wrócił z partyzantki” – słyszę



Odsłonięcie tablicy pamiątkowej na murze więzienia w Kielcach. Przemawia Antoni Heda ps. Szary FOT. WIKIPEDIA

przez drzwi. Mama odpowiedziała, że gdzieś tam się podziewałem przez te lata, ale teraz w końcu wróciłem, mam zamiar zameldować się na UB i wyjaśnić całą sprawę. Co miałem zrobić? Wyszedłem grzecznie i potwierdziłem wersję matki. Pokazałem pistolet i powiedziałem, że chcę go oddać. Poprosiłem tylko, żeby nie wchodzili dalej, bo moje młodsze rodzeństwo śpi i nie ma potrzeby go niepokoić. Żeby jak najszybciej zabrać ubecę z domu, dodałem jeszcze, że w lesie ukryłem karabin i jeśli tam pojedziemy, to pokażę, gdzie on jest. Ubeczka popatrzyła na mnie, pomyślała chwilę i powiedziała, żeby tamci zostawili moją rodzinę w spokoju! To naprawdę cud, że oni nie weszli do środka. „Szczodry” i „Sęp” stali za drzwiami do pokoju z bronią gotową do strzału. To byłaby krwawa jatka...

Ale przez to musiał pan pojechać z nimi do lasu i szukać nieistniejącego karabinu. Ubecy chyba nie za bardzo lubili, kiedy robiło się z nich durniów...

Trudno. Powiedziałem im, że karabin zostawiłem w lesie, żeby z nim nie paradować po Radomiu. Potem udawałem głupiego, że jednak nie wiem, gdzie on jest. Wtedy po raz pierwszy mnie uderzyli. To było jednak nic w porównaniu z biciem, które potem mi zgotowali. Zawieźli mnie prosto do aresztu w Radomiu.

Najpierw od tamtejszego głównego ubeka dostałem propozycję, żeby pójść do bezpieczeniackiej szkoły, że „mam szansę swojego życia”. Ubek twierdził, że jeszcze nikt tak wspaniałomyślniej propozycji od nich nie dostał. Ja jednak nie za bardzo

byłem zainteresowany takim zwrotem w życiu. Złe mnie ocenił, bo nie znał mojej matki. Nie widział, jakie wychowanie odebrałem w domu. Mama powiedziała mi kiedyś trzy zdania, które na zawsze już utkwiły mi w pamięci. „Każda kobieta za wszelką cenę będzie broniła życia swojego dziecka. Stracić je to dla niej najstraszniejsza rzecz. Ale jest jeden jedyny przypadek, kiedy Polka jest w stanie to sobie wytłumaczyć – gdy dziecko ginie w walce za ojczyznę”. Walka za ojczyznę. To było dla mnie coś zupełnie naturalnego, co wysłałem z mlekiem matki.

Jak bardzo tam pana obili?

Ze wszystkich stron mnie łomotali, to trwało tygodniami. Większość zębów mi połamali i dlatego już jako młody człowiek musiałem sobie załatwić protezę. Nawiasem mówiąc, cztery miesiące przed oswobodzeniem więzienia w Radomiu sami próbowaliśmy stamtąd uciec z kolegami, ale strażnicy niestety szybko się połapali i udaremniłi nasz plan. Trafiłem za to na długi czas do karceru.

Po uwolnieniu z więzienia w Radomiu pojechał pan na Pomorze.

„Sęp” dowodził na Pomorzu małym oddziałem partyzanckim i wraz ze „Szczodrym” dołączyliśmy do niego. Warunki do działalności podziemnej były już jednak bardzo złe. Czerwoni coraz częściej nas osaczali, stawaliśmy się zwierzyną łowną. Za Niemca oddziały liczyły po kilkadziesiąt chłopów, ale już w latach 1945 i 1946 stopniały do zaledwie kilkudziesięciu, kilkunastu żołnierzy. W niedługim czasie po przyjeździe na Pomorze zdaliśmy sobie sprawę, że czeka nas zagłada. Śmierć wydawała się pewna, komuna była już po prostu zbyt silna. Nietrudno było odnieść wrażenie, że wojujemy z całym światem, choć oczywiście nie brakowało też w terenie ludzi nam przychylnych. Na początku 1946 r. zostałem wytypowany

wraz z kolegą przez dowództwo WiN do przerzutu na Zachód.

Chyba niewielu zostało ewakuowanych w taki sposób...

Organizacja załatwiła dla nas mundury NKWD. Nałożyliśmy je i wsiedliśmy do pociągu relacji Szczecin–Berlin.



Sergiusz Papliński mierzy z pistoletu maszynowego Thompsona. FOT. ZBIORY SERGIUSZA PAPLIŃSKIEGO

Nikt was nie pytał o papiery?

Kto by podchodził do oficera i podoficera NKWD? Pod tym względem w ogóle się nie stresowałem.

Łatwo sobie jednak wyobrazić, że mogliście wpaść choćby podczas zwykłej rozmowy. Dobrze pan zna rosyjski?

Po niemiecku umiem tylko „Hände hoch!”, a po rosyjsku znam jedynie: „Ruki w wierzch!”. Wtedy nam to jednak w zupełności wystarczało do działania (śmiech). Siedzieliśmy w przedziale z sa-

mymi Polakami. Nic się przez całą drogę nie odzywaliśmy. W Berlinie czekali już na nas łącznicy i zaprowadzili nas na melinę. Zrzuciliśmy obrzydliwe mundury NKWD i przekradliśmy się do strefy angielskiej, a potem do strefy amerykańskiej w zachodnich Niemczech. Służyłem tam kilka miesięcy w kompanii wartowniczej. Chciałem jednak pójść do Włoch do II Korpusu. W grupie kilku Polaków, którzy też chcieli dostać się do II Korpusu, przeszliśmy zieloną granicą przez Alpy.

We Włoszech poszedłem do szkoły kadeckiej II Korpusu przy 14. Wielkopolskiej Brygadzie Pancernej. W niedługim czasie razem z całą szkołą kadecką trafiłem do Wielkiej Brytanii. Tutaj przeszedłem jeszcze specjalne przeszkolenie „na wypadek wybuchu trzeciej wojny światowej”. Gdyby wybuchł kolejny wielki konflikt, mieliśmy zostać przerzuceni z Zachodu do Polski i tam mieliśmy się zamęć na zapleczu Armii Czerwonej. Zimna wojna stała się jednak dziwnym pokojem między Zachodem a blokiem wschodnim i trzeba się było na stałe urządzić w Londynie.

Skąd się wziął pański pseudonim? Chodziło o pańskie gabaryty z okre- su nastoletniego?

Musimy się tu cofnąć do momentu, kiedy mnie „Szary” i „Krzyk” przyjęli do partyzantki. Na gałęzi drzewa, pod którym wtedy staliśmy, przysiadł na chwilę ptak. „Krzyk” spojrzał na niego i powiedział: „No proszę, pseudonim sam ci przyleciał”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Sergiusz Papliński ps. Kawka (ur. 1927 r.) jest najmłodszym żołnierzem batalionu kpt. Antoniego Hedy ps. Szary. Od 1946 r. mieszka w Londynie.

III Rzesza i PRL / „Złoto Wrocławia” oraz tajemnica góry Sobiesz

Wejście do sztolni
w masywie góry Sobiesz

FOT. TOMASZ MATYSIK

Bezpieka na tropie złotego pociągu

Mieszkańcy niewielkich podjeleniogórskich Piechowic musieli być w szoku, kiedy wiosną 1998 r. od strony niedalekiej góry Sobiesz zaczęły dobiegać odgłosy wybuchów. Na zbocza góry wjechały koparki i ciężki sprzęt górniczy. Jeśli ktoś – nie bacząc na ustawione znaki zakazu i płot – podszedł bliżej, to wówczas mógł dostrzec zięjące w ziemi olbrzymie dziury i dziesiątki odwiertów w skałach. Po Piechowicach i innych podsudeckich miejscowościach od dawna krążyły legendy o ukrytych przez Niemców skarbach. Teraz można się było przekonać na własne oczy, ile jest w nich prawdy.

Dolny Śląsk w czasie drugiej wojny światowej był wyjątkowo bezpiecznym rejonem III Rzeszy. Alianckie naloty zdarzały się rzadko. Sowieci w sudeckich kotlinach pojawili się dopiero w maju 1945 r. A Niemcy już w 1942 r., w obawie przed nalotami, zaczęli tam gromadzić



Grzegorz Janiszewski

/ General Kiszczak zorganizował specjalną grupę poszukiwawczą, która przetrząsała Karkonosze. Co znalazła?

dzieła sztuki z całych Niemiec. Zajmował się tym konserwator zabytków prowincji Günther Grundmann. Najcenniejsze przedmioty były wywożone do mniejszych miasteczek i na wieś. Ukrywano je w skrytkach przygotowanych w dworach, pałacach i kościołach. Grundmann założył ponad 100 takich magazynów.

Trafiały tam też polskie zbiory. Przez którąś ze skrytek Grundmanna przeszedł najcenniejszy obraz zrabowany w Polsce przez Niemców – „Portret młodzieńca” Rafaela Santiogo, do dziś nie odnaleziony po wojennej zawierusze. Większość tych miejsc została spenetrowana przez

żołnierzy Armii Czerwonej, miejscową i napływającą ludność, a potem przez polskie władze, które odzyskały część zabytków. Skrytki Grundmanna dały początek legendom o niewyobrażalnych skarbach ukrytych przez Niemców.

Złoto Wrocławia

Jednak to ukryte złoto najbardziej rozpałało wyobraźnię. Pod koniec wojny w stolicy Dolnego Śląska mogło znajdować się kilkadziesiąt ton tego kruszcu. Oprócz zapasów wrocławskich i często-



Poszukiwania dotyczyły półtoniej tony złota FOT. ARCHIWUM

chowskich banków również depozyty ludności, zobowiązanej przez władze do oddawania kosztowności. Historie o wywiezionym z miasta „złocie Wrocławia” zaczęły krążyć zaraz po wojnie. Na trop takiego transportu w latach 50. trafili funkcjonariusze wrocławskiego Urzędu Bezpieczeństwa.

Rozpoznając środowiska Niemców, którzy pozostali po wojnie na Dolnym Śląsku, zwrócili uwagę na niepozornego weterynarza – Herberta Klosego, który po wojnie osiedlił się pod górą Wielisławką niedaleko Złotoryi. Klose w czasie wojny służył w niemieckiej policji w Belgii i Holandii. W 1942 r. znalazł się we Wrocławiu, a w 1945 r. został szefem jednej z działających u podnóża Sudetów grup Wehrwolu. Aresztowany w 1953 r. i przyciśnięty przez ubeków, którzy znali jego przeszłość, zaczął snuć im opowieści o skarbach. Miał być członkiem specjalnej grupy, która jesienią i zimą 1944 r. przeprowadzała rekonesans w kilkunastu miejscach na Dolnym Śląsku, gdzie

miało zostać ukryte „złoto Wrocławia”. Między innymi w okolicach Białego Jaru pod Śnieżką, Wielisławki, klasztoru w Lubiążu i Piechowic.

W połowie grudnia 1944 r. na rozkaz tajemniczego SS-Standartenführera Ollenhauera Klose miał brać udział w ewakuacji ok. 1,5 tony złota z piwnic wrocławskiego prezydium policji. Konwój czterech ciężarówek ruszył w kierunku Karpacza, gdzie złoto zostało przeładowane na sanie. Oficerowie ruszyli za nimi konno w kierunku schroniska Samotnia. Pech chciał, że Klose podczas drogi spadł z konia, uderzył się w głowę i stracił przytomność, przez co nie dowiedział się, gdzie został ukryty skarb.

KiszczaK wchodzi do akcji

Klose szybko wyszedł z aresztu, ale pozostawał pod obserwacją organów bezpieczeństwa. Później jeszcze wielokrotnie opowiadał różne wersje swojej historii, klucząc, zasłaniając się niepamięcią i zmieniając fakty. W latach 60. jego opowieści ponownie zainteresował się funkcjonariusz wrocławskiej Służby Bezpieczeństwa Stanisław Siorek. Zawodowo zajmował się tropieniem niemieckich szpiegów i przy okazji nasłuchiwał się też opowieści o ukrytych niemieckich skarbach. Z czasem ich poszukiwanie stało się jego pasją.

Raporty, którymi esbek bombardował przełożonych, w końcu padły na podatny grunt. Sabotażyści z Wehrwolu nie spędzali już PRL-owskim decydom snu z powiek. Wielkimi krokami zbliżał się natomiast kryzys ekonomiczny. Kierownictwo polskich tajnych służb nie gardziło złotem rabowanym podczas

operacji „Żelazo”, więc wizja odnalezienia kilkudziesięciu ton ponemieckiego kruszcu musiała robić na nim ogromne wrażenie. Zwłaszcza że można by z tego uszczknąć coś dla siebie.

Sprawą zainteresował się minister spraw wewnętrznych Czesław KiszczaK, który o ponemieckich skarbach słyszał jeszcze w czasach, kiedy kierował Wojskową Służbą Wewnętrzną Śląskiego Okręgu Wojskowego. W czerwcu 1981 r. razem z szefem Głównego Zarządu Szkolenia Bojowego WP gen. Wojciechem Barańskim powołał mieszaną, składającą się z żołnierzy i funkcjonariuszy MSW grupę „Karkonosze”. Na jej czele stanął mjr Jerzy Liwski z Oddziału III Zarządu IV WSW, zajmującego się m.in. techniką operacyjną i przedsięwzięciami specjalnymi. Do grupy został również oddelegowany Siorek.

Na początku 1982 r. wytypowano sześć (potem 11) miejsc, w których mogły zostać ukryte skarby. Wydawało się, że dysponując zebranymi przez Siorka przez wiele lat poszukiwań informacjami i wojskowym sprzętem, sukces będzie w zasięgu ręki. Tymczasem prace skupiły się na terenie pocysterskiego klasztoru w Lubiążu nad Odrą. Siorek od dawna był przekonany, że znajduje się tam podziemna fabryka zbrojeniowa. W prowadzeniu poszukiwań pomagali pracownicy Wojewódzkiego Ośrodka Archeologiczno-Konserwatorskiego i różdkarze.

W końcu udało się odnaleźć „skarb”. W miejscu wskazanym przez radiestęte wykopano metalową tubę zawierającą 1290 srebrnych monet i 64 złote. Na pewno nie były one „złotem Wrocławia”. Bliższe badania monet ujawniły, że zostały ukryte w połowie XVIII w., najpewniej podczas wojen śląskich. Tylko 89 srebrnych monet trafiło później do Muzeum Narodowego we Wrocławiu. Pozostałe zostały sprzedane w kraju i za granicą, a część dochodów zasilila fundusz operacyjny WSW.

Penetracja pozostałych miejsc nie przyniosła – przynajmniej oficjalnie – żadnych rezultatów. Oficerowie służb jeszcze kilka lat mamili swoich przełożonych mirażami ogromnych skarbow, od których wydobyć są o krok, albo pięćrzyli trudności. Major Liwski pisał w jednej z notatek, że „teren Wałbrzycha i Gór Sowich jest pod ciągłą obserwacją i systematyczną penetracją ze strony wywiadu radzieckiego, nawet przy

użyciu jednostek komandosów. Udokumentowane są próby zawerbowania przez wywiad radziecki informatorów SB". Major Siorek został całkowicie oślawdnięty przez poszukiwania. Z tego powodu w 1987 r. został wysłany na resortowe badania psychiatryczne, a potem zwolniony ze służby ze względów zdrowotnych.

Fiasko poszukiwań

Być może ubeckie informacje były też przyczyną bodaj największych po 1989 r. poszukiwań niemieckich skarbów na Dolnym Śląsku. Podwarszawski przedsiębiorca Władysław Podsiński miał w latach 70. poznać w Sudetach emerytowanego generała UB. Opowiedział mu on o trzech wagonach kolejowych, które pod koniec wojny przyjechały z Prus Wschodnich i mimo poszukiwań prowadzonych przez Sowieców rozpułyły się w powietrzu w okolicach Piechowic.

Zaintrygowany opowieścią Podsiński rozpoczął własne poszukiwania i trafił na ślad Niemki, która pod koniec lat 40. wyjechała z Ziemi Odzyskanych do Boliwii. Od niej otrzymał kontakt do żołnierza Wehrmachtu, który miał posiadać plany kryjówki, a w listopadzie 1944 r. brał udział w akcji ukrycia skarbów. Wtedy do Piechowic miał przyjechać pociąg składający się z 12 wagonów. Było w nich „złoto Wrocławia”, skarby z Prus Wschodnich, a nawet skrzynie z „Bursztynową Komnatą”. Specjalnie wybudowaną bocznica przy fabryce Dynamit Nobel AG Untersuchstation Werk Petersdorf, w której produkowano torpedy, pociąg miał wjechać do podziemnych zakładów, wykutych pod górą Sobiesz. Akcja musiała być dobrze przygotowana – na końcu składu przymocowana była metalowa płyta, doskonale pasująca do wjazdu do tunelu. Potem wejście zasypiano i zamaskowano, a tory rozebrano. Potwierdzeniem istnienia podziemi miały być istniejąca do dziś u podnóża góry wartownia i studzienki systemu odwadniającego.

Tak duże poszukiwania prowadzone przez osobę prywatną stały się możliwe dopiero po 1989 r., jednak Podsiński potrzebował zgody nadleśnictwa na ich prowadzenie. Obawiał się też, że znalezisko zostanie zgodnie z prawem przejęte przez Skarb Państwa, w którego imieniu



Czesław Kiszczak, szef MSW, był zainteresowany poszukiwaniami wrocławskiego złota FOT. WIKIPEDIA

zamiast złota dostanie skromne podziękowanie. Rewelacjami o skarbie starał się zainteresować władzę, żeby zabezpieczyć swój interes. Chociaż dysponował jedynie odręcznie wykonanym szkicem podziemi, był tak sugestywny (szacował wartość znaleziska na 40 mln dol.), że sprawa stanęła na posiedzeniu Rady Ministrów. Ówczesny minister ochrony środowiska Stanisław Żelichowski zgodził się na poszukiwania, a w maju 1995 r. podpisana została umowa z ministrem finansów przewidująca odstąpienie przedsiębiorcy 10 proc. wartości znalezionych skarbów. Jak dotąd pierwsza i jedyna taka umowa w Polsce.

Sprawą zainteresowały się też służby specjalne. Do informatora Podsińskiego miał dotrzeć oficer UOP i zmusić go do wydania dokumentów. Mimo tego Podsiński kontynuuje poszukiwania. Na wiosnę 1998 r. pod Sobieszem pojawia się duża ekipa z eksploratorem niemieckich podziemi w Górach Sowich dr. Jackiem Wilczurem i archeologiem Jackiem Przeniosłą. Sprawą zaczynają się interesować media. Podsiński podkreśla atmosferę, serwując dziennikarzom opowieści o rozległej podziemnej fabryce, i tłumaczy, że zostały już przeprowadzone badania termowizyjne, radarowe, elektrooporowe i magnetometrem protonowym. Na miejsce wjeżdża ciężki sprzęt, używane są materiały wybuchowe. W końcu na zboczach powstaje ogromna dziura, która powoli wypełnia się wodą.

Poszukiwacze niczego nie mogą odnaleźć. Podsiński tłumaczy, że trafili na betonowy strop nie do przebicia, co ma potwierdzać, że są na właściwym tropie. Ostatecznie ekipa wycofuje się, niczego nie znajdując – przynajmniej oficjalnie. W następnych latach jeszcze kilkakrotnie teren jest odgradzany i prowadzone są tam mniejsze lub większe prace ziemne,

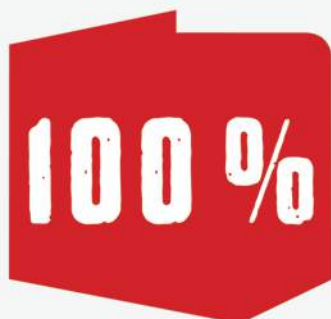
ale brak jest doniesień o spektakularnych sukcesach. Podsiński pisze jeszcze listy do prezydenta USA i kanclerza Niemiec, żeby nie przeszkadzali w pracach. Poszukiwania „złota Wrocławia” doprowadziły go do finansowej i zdrowotnej ruiny. Z zamożnego przedsiębiorcy stał się schorowanym emerytem pozostającym na garnuszku żony.

Sprawa wrocławskiego złota odżywa jeszcze kilkakrotnie. Podczas procesu w sprawie inwigilacji prawnicy przez płk. Jana Lesiaka w 2006 r. okazuje się, że w jego słynnej szafie leżą również dokumenty związane z piechowickim złotym pociągiem. UOP miał prowadzić sprawę o kryptonimie T w celu sprawdzenia wiarygodności oferentów, którzy proponowali wskazanie miejsc ukrycia skarbów. To właśnie Lesiak był oficerem UOP, który miał odebrać dokumenty informatorowi Podsińskiemu.

Pociąg widmo

Inni poszukiwacze z rezerwą podchodzą do skarbu ukrytego w podziemnej fabryce pod górą Sobiesz. Zdjęcia lotnicze wykonane w podczerwieni i ultrafiolecie na początku lat 90. nie wskazywały na prowadzenie na jej zboczach jakichkolwiek prac ziemnych w ostatnich kilkudziesięciu latach. Na temat podziemnej fabryki nie było też żadnych relacji pracujących w okolicach Piechowic jeńców wojennych. Historię o „złotym pociągu” Podsiński prawdopodobnie usłyszał od przyjeżdżającego do jego zakładu zaopatrzeniowca z jeleniogórskiego PKS.

Niewykluczone, że „złoto Wrocławia” czeka gdzieś na swojego odkrywcę. Niewykluczone też, że zostało już dawno odnalezione, a skarby wywiezione czy to przez zagraniczne, czy też polskie służby specjalne, które cały czas trzymały w tej sprawie rękę na pulsie, wrzucając co jakiś czas do mediów mylące informacje o odnalezieniu niemieckich skarbów. Jednak sprawa ciągle wywołuje emocje. Najlepiej świadczy o tym medialna histeria, która wybuchła po ogłoszeniu w 2015 r., że „złoty pociąg” został odnaleziony na 65. km trasy kolejowej nr 274 niedaleko Wałbrzycha. Mimo poszukiwań prowadzonych na wielką skalę i przy użyciu zaawansowanego technicznie sprzętu pociągu po raz kolejny nie udało się odnaleźć. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



**polski
produkt**

**V EDYCJA
KONKURSU**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



PARTNER GŁÓWNY





Sławomir Koper

/ Amerykański elektryk polskiego pochodzenia przez 16 lat terroryzował Nowy Jork. W miejscach publicznych podłożył kilkadziesiąt ładunków wybuchowych

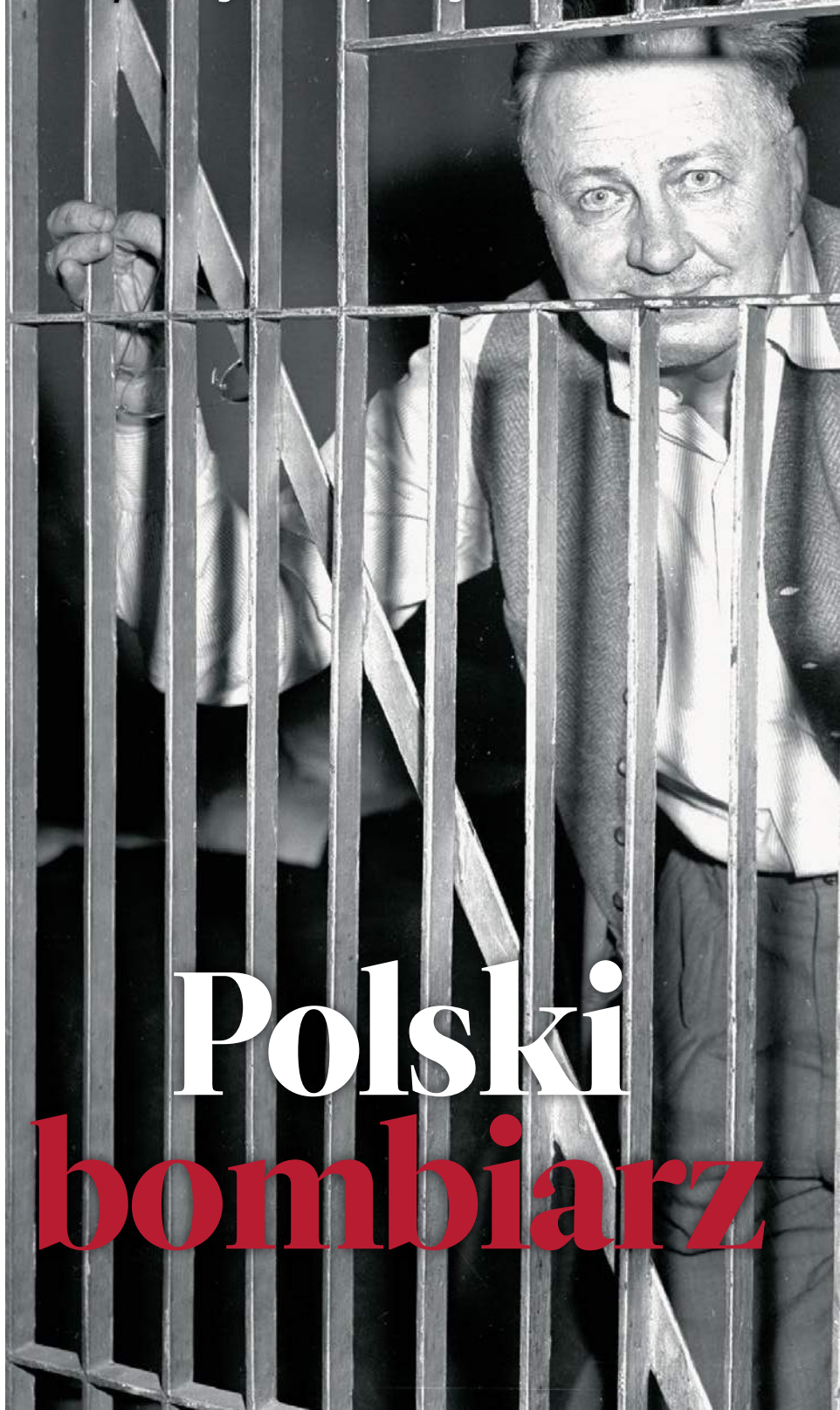
16 listopada 1940 r. miał przejść do dziejów światowej kryminalistyki. Tego dnia na parapecie biura firmy Consolidated Edison na Manhattanie znaleziono bombę. Wprawdzie ładunek nie eksplodował, jednak jego podłożenie zapoczątkowało ciąg zdarzeń, dzięki którym profilowanie psychologiczne przestępców stało się pełnoprawną metodą prowadzenia śledztwa.

Sprawa początkowo nie zwróciła uwagi opinii publicznej, podobnie jak przytwierdzony do bomby list zawierający pogrożki pod adresem konsorcjum. Uznano, że zamachowiec w ogóle nie zamierzał detonować ładunku, skoro przymocował do niego swoje przesłanie. Identyczna sytuacja zdarzyła się 10 miesięcy później w pobliżu budynków Consolidated Edison na Irving's Place w Nowym Jorku. Na żadnym z ładunków nie znaleziono też śladów mogących ujawnić terrorystę.

Consolidated Edison była jedną z największych amerykańskich firm dostarczających energię elektryczną. Zatrudniała tysiące pracowników i stosowała metody godne „dzikiego kapitalizmu”. Liczył się wyłącznie zysk, nieważne były koszty pracownicze. Osoby uznane za niezdolne do pracy bez skrupułów zwalniano, a prawnicy firmy dbali o to, by nie było to zbyt kosztowne dla pracodawców.

Tymczasem po wybuchu wojny z Japonią (grudzień 1941 r.) zamachowiec ponownie dał o sobie znać. Przysłał do policji list złożony z wyciętych fragmentów gazet, na którym także nie było

USA / George Metesky, wróg Consolidated Edison



Polski bombiarz



George Metesky FOT. GETTY IMAGES

żadnych
odcisków palców.

„Dopóki trwa wojna, nie będę więcej atakował za pomocą bomb – informował terrorysta – taką decyzję dyktują mi moje uczucia patriotyczne – później wymierzę sprawiedliwość tym z Con Edison – zapłacą za swoją nikczemność. F.P.”

Policja uznała temat za zakończony, chociaż zamachowiec wysłał jeszcze kilkanaście listów, w których zapowiadał wznowienie działalności terrorystycznej po wojnie. Przestano się nią interesować, co przyniosło fatalne skutki, gdyż w marcu 1951 r. podłożona bomba po raz pierwszy eksplodowała. Terrorysta umieścił ją na największym nowojorskim dworcu kolejowym, Grand Central Terminal. Miesiąc później doszło do wybuchu ładunku w budce telefonicznej Nowojorskiej Biblioteki Publicznej. W sierpniu zanotowano kolejną eksplozję, a następne zamachy poszły już lawinowo. Do końca grudnia zamachowiec zdetonował jeszcze 12 bomb, a w ciągu następnego roku kolejne cztery. Do tego doszły jeszcze dwa odnalezione niewybuchy.

W tym czasie zamachowiec wysyłał listy do prasy, najczęściej były one złożone ze słów wyciętych z różnych gazet, a gdy pisał ręcznie, używał wyłącznie dużych liter. W korespondencji szczególną nie-

nawieść żywił do firmy Consolidated Edison. „Będę kontynuować zamachy bombowe, dopóki Consolidated Edison nie zostanie dostatecznie ukarana za swoje winy przeciwko mnie. Dlatego zamierzam używać nie tylko bomb, ale również wszelkich innych możliwych środków, by stała się sprawiedliwość”.

Policja była bezradna – właściwie ustalono tylko, że ładunki były przygotowywane w domowych warunkach, a do ich transportu używano grubych skarpet. Oczywiście domyślano się również, że zamachowcem jest były pracownik Consolidated Edison, ale firma zatrudniała tak wiele osób, że trop ten wydawał się poszukiwaniem igły w stogu siana. Tym bardziej że konsorcjum oświadczyło, iż akta zwolnionych pracowników zostały już zniszczone. Później miało się to okazać nieprawdą – firma nie chciała bowiem dopuścić policji do spraw, które mogły ukazać jej praktyki w niekorzystnym świetle. Nawet jeżeli groziło to dalszymi zamachami...

Profil w akcji

Tymczasem „Szalony Bombiarz” rozpoczął grę z policją – czasami wysyłał listy kierujące do miejsca, gdzie faktycznie znajdował się ładunek, innym razem funkcjonariusze nic nie znajdowali. Na domiar złego eksplozje zaczęły przynosić pierwsze ofiary, szczególnie groźny okazał się zamach na Radio City Music

■ Hall na Manhattanie. Do detonacji doszło podczas projekcji filmu „Gospoda święteczna” z Bingiem Crosbym, wybuch spowodował obrażenia pięciu osób, a kolejna została ciężko ranna. Dodatkowo terrorysta poinformował prasę, że umieszcza ładunki także „na zapas” i zamierza je zdetonować w wybranym dla siebie terminie. Łącznie w latach 1951–1956 podłożył ponad 30 bomb.

W Nowym Jorku zapanowała panika, jej kulminacją okazał się zamach z początku grudnia 1956 r. przy Paramount Theatre na Brooklynie. Ponownie została rannych sześć osób, media prześcigały się w krytyce policji. Tym bardziej że tuż przed świętami znaleziono kolejny ładunek, który jednak szczęśliwie udało się unieszkodliwić. Podobnie jak następny odkryty kilka dni później.

Przerażeni obywatele Nowego Jorku informowali o każdym podejrzanym przedmiocie, co dodatkowo rozpraszało działania funkcjonariuszy. Nie zabrakło też zwykłych „dowcipów”, np. po anonimowym telefonie przeszukano wszystkie pomieszczenia na 102 piętrach Empire State Building. 28 grudnia 1956 r. policja zarejestrowała 50 fałszywych alarmów bombowych, a następnego dnia 20. Nic zatem dziwnego, że wyznaczono nagrodę w wysokości 26 tys. dol. (ok. 230 tys. euro) za pomoc w ujęciu zamachowca.

Zanotowano też pierwszą ofiarę śmiertelną – przy okazji kolejnego zamachu zatrzymano 63-letniego kolejarza. Mężczyzna zmarł na atak serca podczas przesłuchania, a późniejsze śledztwo wykazało, że był niewinny.

W tym czasie z policją współpracował już psychiatra, dr James Brussel. Przekazano mu wszystkie dostępne materiały, a opracowany przez niego profil zamachowca wprowadził śledczych w osłupienie.

„Jest to mężczyzna – pisał Brussel – gdyż większość zamachowców była płci męskiej. Dobrze zbudowany, ale średniego wzrostu – paranoicy są z reguły takiej budowy ciała. Ma od czterdziestu do pięćdziesięciu lat, gdyż choroba ta rozwija się bardzo wolno. Precyzyjny, czysty i uporządkowany, co można wywnioskować z treści jego listów i ze sposobu konstrukcji bomb. Dobry pracownik, punktualny i kulturalny. Zapewne Słowianin, gdyż

bomby były najbardziej popularnymi środkami terroru w Europie Środkowej. Katolik, bowiem większość słowiańskich emigrantów do USA jest katolikami.

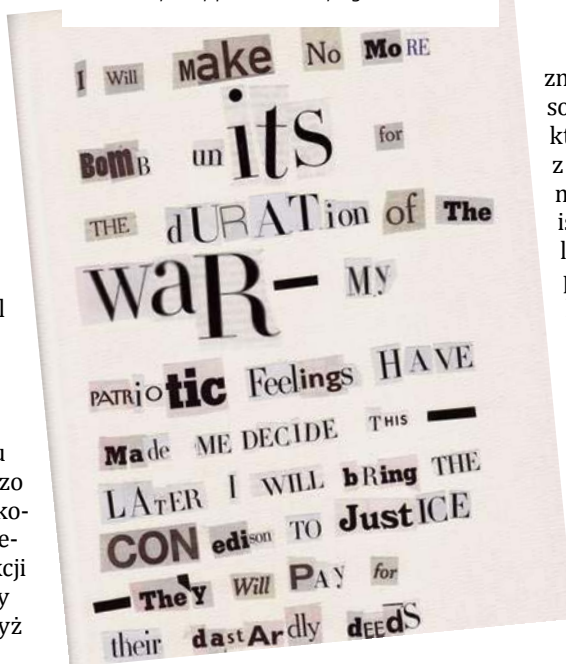
Posiada przyzwoite wykształcenie, ale nie skończył studiów. Prawdopodobnie urodził się poza Stanami Zjednoczonymi, ewentualnie żyje we wspólnocie emigrantów, gdyż jego listy sprawiały wrażenie napisanych w innym języku i dopiero później przetłumaczonych na angielski. Zaokrąglona litera »w« przypominająca z kształtu kobiece piersi świadczy o problemach z seksem. Zatem jest to typ samotnika, być może mieszkający ze starszą krewną płci żeńskiej; możliwe, że z siostrą lub matką. Prawdopodobnie jest z Connecticut, gdyż tam mieszka wielu słowiańskich imigrantów, a duża część listów została wysłana w hrabstwie Westchester, czyli w połowie drogi między Connecticut a Nowym Jorkiem”.

Na koniec profiler potwierdził głęboką nienawiść zamachowca do Consolidated Edison, a także dodał, że gdy policja go wreszcie aresztuje, zapewne będzie miał na sobie dwurzędowy garnitur. Zauważył również, że „Szalony Bombiarz” prawdopodobnie cierpi na poważną i przewlekłą chorobę, być może schorzenie serca.

W tej sytuacji przygotowano pułapkę na zamachowca. Pod koniec grudnia prasa opublikowała jego profil, a dzień póź-

niej „New York Journal-American” zamieścił list otwarty do terrorysty. Wzywano go do zaprzestania ataków, obiecywano uczciwe postępowanie sądowe i zaproponowano, by przedstawił swoje zarzuty wobec Consolidated Edison. Policja miała nadzieję, że zamachowiec da się sprowokować, i dzięki uzyskanym w ten sposób informacjom będzie możliwa jego identyfikacja. Tak faktycznie się stało – nazi jutrz do redakcji gazety przyszedł list podpisany „F.P.”. Terrorysta stwierdził, że nie zamierza przerwać podkładania bomb dopóty, dopóki nie zmusi Consolidated Edison do uczciwego postępowania wobec swoich pracowników. Przy okazji wymienił lokalizacje dotychczas podłożonych ładunków, oznajmił także, że jest ciężko chory i pozostało mu już niewiele życia. „New York Journal-American” opublikował list 10 stycznia 1957 r. Przy okazji poproszono też „Bombiarza” o więcej szczegółów na temat jego pretekstu pod adresem Consolidated Edison. Na to tylko czekał terrorysta – w dwóch kolejnych listach zapowiedział rozejm do 1 marca i podał kilka szczegółów ze swojego życia zawodowego. Przyznał, że był zatrudniony jako robotnik w Consolidated Edison, uległ wypadkowi podczas pracy i nie dostał odszkodowania, chociaż właściwie stał się kaleką. Od tej chwili los terrorysty właściwie był już przesądzony...

List wysłany przez Metesky'ego. FOT. ARCHIWUM



George Metesky

Podstawą identyfikacji było zapoznanie się z aktami osobowymi Consolidated Edison i odnalezienie ludzi, którzy przed 1940 r. zostali zwolnieni z firmy po wypadku podczas pracy. Pod naciskiem władz firma przyznała, że istnieją takie dokumenty, ale wydelegowano do ich oględzin swojego pracownika. Poszukiwania trwały kilka dni, na właściwą teczke trafiono dopiero w ostatniej partii. 18 stycznia 1957 r. zwrócono uwagę na sprawę George'a Metesky'ego, który 26 lat wcześniej został ranny w wyniku wypadku. Teczka zawierała jego korespondencję z firmą, a używane w niej sformułowania („trwała niesprawiedliwość”, „nikczemne postępowanie”) bardzo przypominały te z listów „Szalonego Bombiarza”. Natychmiast poinformowano

o tym policję, która nakazała obserwację podejrzanego zamieszkującego w Waterbury w Connecticut.

Funkcjonariusze wkroczyli do domu Metesky'ego cztery dni później, tuż przed północą. Podejrzany przyjął policję w szlafroku, zaraz jednak przebrał się w... dwurzędowy garnitur. Nie stawiał oporu, zaprowadził funkcjonariuszy do garażu, gdzie znaleziono materiały do produkcji bomb. W schowku w mieszkaniu znajdował się także niemal gotowy ładunek, znacznie potężniejszy od wcześniejszych, który miał zostać użyty do zamachu na centrum kongresowe New York Coliseum. Przy okazji Metesky wyjaśnił, że podpis „F.P.” oznaczał fair play.

George Metesky był synem polskiego emigranta, urodził się w listopadzie 1903 r. Z zawodu był elektrykiem, miał za sobą służbę wojskową w oddziałach piechoty morskiej. Nigdy nie założył rodziny, mieszkał z dwoma niezamężnymi siostrami. Pracował w firmie należącej do Consolidated Edison i właśnie tam we wrześniu 1931 r. podczas eksplozji kotła został poturbowany, szczególnie groźne okazały się oparzenia układu oddechowego. Trafił na zwolnienie lekarskie, a po 26 tygodniach, zgodnie z obowiązującym prawem, zwolniono go z pracy. Według dokumentacji lekarskiej (kwestionowanej przez Consolidated Edison) wypadek spowodował, że z czasem rozwinęła się u niego gruźlica, niestety było już za późno na złożenie skutecznego wniosku o rentę i odszkodowanie (dopuszczano dochodzenie roszczeń w terminie dwóch lat od wypadku).

Metesky postanowił osobiście ukarać konsorcjum. Przyznał, że poza wspomnianymi wcześniej 33 ładunkami podłożył dodatkowo jeszcze 15 bomb na terenie różnych oddziałów firmy. Nie doszło jednak do eksplozji, a dyrekcja Consolidated Edison ukryła ten fakt przed policją...

Akt oskarżenia

Postawiono mu aż 47 zarzutów: od próby wielokrotnego morderstwa do noszenia przy sobie broni (tzn. bomb) bez zezwolenia. W sądzie pojawił się jednak wyłączenie po to, by wysłuchać aktu oskarżenia, gdyż niemal od razu po przesłuchaniu skierowano go na obserwację psychiatryczną do Bellevue Hospital.

Jeden z budynków, w którym Metesky podłożył bombę FOT. WIKIPEDIA



Lekarze byli jednomyślni – według nich Metesky cierpiał na schizofrenię paranoidalną, a do tego faktycznie był ciężko chory na gruźlicę. Określili go jako „przypadek beznadziejny zarówno pod względem psychicznym, jak i fizycznym”. W tej sytuacji oficjalnie uznano go za obłąkanego i w kwietniu 1957 r. skierowano do Matteawan State Hospital for the Criminally Insane w Beacon w stanie Nowy Jork. Była to placówka specjalizująca się w leczeniu lub obserwacji skazanych, wobec których orzeczono zaburzenia psychiczne. Zgodnie z decyzją sądu Metesky miał tam przebywać minimum 25 lat, uważano jednak, że z powodu zaawansowanej gruźlicy ma przed sobą tylko kilka miesięcy życia.

Podjęto jednak leczenie i ku osłupieniu lekarzy Metesky wyzdrowiał. Siedem lat później przeniesiono go do Creedmoor Psychiatric Center w Queens, placówki pozostającej poza systemem penitencjarnym USA. Po wnikliwej obserwacji

psychiatrzy orzekli, że skazany nie stanowi już zagrożenia, a wobec tego, że odbył dwie trzecie orzeczonego odosobnienia, uznano, iż kwalifikuje się do zwolnienia. Faktycznie, w grudniu 1973 r. Metesky wyszedł na wolność i powrócił do Waterbury. Jedyną orzeczoną mu sankcją były wówczas regularne wizyty w Connecticut Department of Mental Hygiene Clinic położonej w pobliżu jego miejsca zamieszkania. W wywiadzie prasowym oznajmił, że wyrzekł się używania przemocy, ale nigdy nie wybaczył Consolidated Edison. Dożył 90 lat (!), co jak na terrorystę – gruźlika i paranoika – było wyjątkowym osiągnięciem. Zmarł w maju 1994 r.

Sprawa Metesky'ego zapoczątkowała psychologiczne profilowanie przestępców, co niebawem w USA stało się normą. Nieco później metoda ta trafiła do Europy, od dłuższego czasu stosowana jest również w Polsce.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Grecja / Oko za oko – ząb za ząb

Niemieccy żołnierze w Atenach

FOT. BUNDESARCHIV BILD

Operacja „Kalavryta”



Arkadiusz Karbowski

Komunistyczni greccy partyzanci zamordowali niemieckich jeńców. W odwecie Wehrmacht dokonał krwawej pacyfikacji

Upadek państwa greckiego, który nastąpił w związku z klęską poniesioną w wyniku inwazji państw Osi, doprowadził do podziału terytorium Królestwa Grecji na trzy strefy okupacyjne: niemiecką, bułgarską i włoską. Ta ostatnia obejmowała swym zasięgiem obszary Półwyspu Peloponeskiego podlegające dowództwu włoskiego VIII Korpusu Armijnego. Bezpieczeństwa w północnej części Peloponezu, gdzie znajdowała się m.in. prowincja Kalavryta, strzegli żołnierze 29. Dywizji Piechoty „Piemont-

te” (w południowej części półwyspu stacjonowała 59. Dywizja Górską „Calgari”). Wiosną 1943 r. uaktywniły się tam oddziały komunistycznego Greckiego Ludowego Wojska Wyzwoleńczego (Ellinikos Laikos Apelefterotikos Stratos, ELAS). Wzrost aktywności partyzantów odczuli zaatakowani przez nich pod koniec maja 1943 r., stacjonujący w miejscowości Mazeika włoscy karabinierzy. Po tym zdarzeniu wzmocnione oddziały włoskie z dużą intensywnością zaczęły przeczesać obszary prowincji w poszukiwaniu partyzantów.

W okolicach wsi Karnesi natknęli się na kilku wypasających owce młodych pasterzy, z których dwóch miało przy sobie ulotki ruchu oporu. Obu pechowców zabrano, torturowano, po czym jednego rozstrzelano na cmentarzu w Mazeice, a drugiego dzień później w Kalavrycie. Podobny los spotkał Sotrios Valachosa, u którego znaleziono XIX-wieczną strzelbę. Tymczasem andartes, czyli greccy partyzanci pod wodzą byłego pułkownika lotnictwa Dimitrios Michosa, 20 lipca 1943 r. wkroczyli do wsi Fila. O tym fakcie dowiedzieli się Włosi. Przybyła na miejsce

ekspedycja antypartyzancka starła się z ELAS-owcami, ponosząc znaczne straty – 20 zabitych i 25 rannych, przy stratach komunistów wynoszących dwóch zabitych i pięciu rannych. Włoscy okupanci w ramach retorsji rozstrzelali wtedy sześciu mieszkańców wioski i spalili część domostw.

Po Włochach – Niemcy

We wrześniu 1943 r., po wycofaniu się Włoch z wojny, kontrolę nad peloponeskim półwyspem przejęły władze niemieckie. Niemcy podobnie jak wcześniej Włosi zakwaterowali w osadzie Mazeika. Komunikację z tą właśnie miejscowością postanowili odciąć członkowie komunistycznego ruchu oporu. 16 września 1943 r. oddział ELAS zakwaterował się w osadzie Agios Nikolaos. Na wezwanie przybyli tam również zmobilizowani mężczyźni z okolicznych wsi Krinofyta, Lykouria, Fila, Pangrati. Po zapadnięciu zmierzchu partyzanci i ich pomocnicy wyruszyli, by zniszczyć drogę wraz z linią telefoniczną łączącą



Mazeikę i Tripoli. Ponieważ uczestniczący w akcji nie potrafili zachować należytých środków ostrożności, paląc min.

papierosy, zostali dostrzeżeni przez żołnierzy z pobliskiego niemieckiego garnizonu. Interweniujący pododdział Wehrmachtu ostrzelał partyzantów i ich pomocników, którzy rozpieczęli się we wszystkie strony. Niemcy ruszyli za nimi w pościg, próbując dopaść sabotażystów w miejscowości Agios Nikolaos. Jednak mieszkańcy wsi – zarówno ci współpracujący z ELAS, jak i ci niewspółpracujący – zauważywszy nadchodzących żołnierzy, uciekli. Nie wszystkim się udało, bo kilka osób zostało zastrzelonych. Jednym z zabitych był nastoletni chłopiec Kostas Panopoulos. Część ludności – głównie starcy, kobiety i dzieci – pozostała we wsi. Niemcy podczas przeszukiwania domostw znaleźli sześciu ukrywających się mężczyzn, których zabrali ze sobą. Podczas marszu do Mazeiki jeden z zatrzymanych uciekł, pozostałych trzymano pod strażą, ale ostatecznie zwolniono. Aby utrudnić działalność greckiego ruchu oporu, Niemcy zaczęli wysyłać na teren patrol.

Jednostką, której pododdziały stacjonowały w prowincji Kalavryta, była 117. Dywizja Strzelców (117. Jäger-Division). Powstała ona 11 kwietnia 1941 r. w Wiedniu (część żołnierzy była z pochodzenia Austriakami) w ramach tzw. 15. fali mobilizacyjnej jako 717. Dywizja Piechoty (717. Infanterie-Division). Już w czerwcu tego samego roku skierowaną ją na Bałkany do okupowanej Serbii. Potem została przesunięta do Chorwacji, gdzie wypełniała zadania okupacyjne. Po wybuchu powstania komunistycznego dywizję zaangażowano do walk z rebeliantami. 16 września 1941 r. Oberkommando der Wehrmacht wydało rozkaz podpisany przez feldmarszałka Wilhelma Keitela nakazujący stłumienie komunistycznego zbrojnego ruchu oporu na terenach okupowanych. Zawarto w nim wytyczne o rozstrzelaniu 100 zakładników za jednego zabitego niemieckiego żołnierza i 50 za ранnego. Na jego podstawie w październiku 1941 r. żołnierze dywizji z III Batalionu

749. Pułku Piechoty dokonali egzekucji odwetowych, zabijając w okolicach Kraljeva 1736 mężczyzn i 19 kobiet (w samym mieście rozstrzelano 300 osób) oraz w Kragujevacu, rozstrzelując 2794 osoby (byli to głównie Serbowie i Żydzi). W 1943 r. jednostka wzięła udział w operacjach antypartyzanckich „Weiss I” i „Weiss II”, ponosząc poważne straty – 227 zabitych, 580 rannych i 23 zaginionych. 1 kwietnia 1943 r. dywizję przekształcono w 117. Dywizję Strzelców. Poza zmianą nazwy jednostkę

do 24-godzinnej bitwy. Po wyczerpaniu amunicji Niemcy się poddali. W trakcie walki czterech z nich zginęło, czterech zostało ciężko rannych, a 11 udało się uciec i dotrzeć do swoich, przekazując informację o zasadzce. Po stronie andartes było dziewięciu zabitych. Do niewoli dostało się 82 żołnierzy na czele z dowódcą. Jeńców początkowo zabrano do Kalavryty i zakwaterowano w szkole, a potem przetransportowano ich do Mazeiki. Jednego z rannych, nie mogącego chodzić, zostawiono w Kerpini.



wzmocniono i doposażono. Jej dowódcą został generał wojsk górskich Karl von Le Suire.

15 października 1943 r. na zwiad rekonesansowy z miejscowości Eighon wyruszył dywizyjny 97-osobowy oddział składający się z żołnierzy 1. i 5. kompanii I Batalionu 749. Pułku Strzelców, pod dowództwem kpt. Johanesa Schobera. Dwa dni później, kiedy wehrmachtowcy patrolowali tereny w okolicach miejscowości Kerpini, wpadli w zasadzkę oddziału ELAS. Doszło

Trzech pozostałych, ułokowanych w szpitalu w Kalavrycie, zamordował jeden z partyzanckich lekarzy, Andreas Pavlopoulos, w zemście za powieszenie przez Niemców kilka tygodni wcześniej członka swej rodziny 16-letniego Dino Pavlopoulosa. Według innej wersji zamordowali ich członkowie OPLA, komunistycznej służby bezpieczeństwa zajmującej się głównie egzekucjami jeńców i przeciwników politycznych.

Tymczasem dowódca LXVIII Korpusu Armijnego, któremu podlegała 117.



Sprawcy i ofiary
zbrodni w Kalavryta
FOT. DOMENA PUBLICZNA

■ JD, gen. Hellmuth Felmy, zwrócił się do metropolity Eighonu i Kalavryty Theokliotosa z prośbą o przyjęcie funkcji mediatora w negocjacjach z partyzantami, mającymi na celu uwolnienie jeńców. Duchowny co prawda odmówił, ale wyznaczył do ich prowadzenia jednego z kapłanów – Konstantinosa Chronisa. Niebawem przekazał on żądania ELAS-owców, którzy domagali się uwolnienia za każdego żołnierza 50 greckich zakładników przebywających w niemieckich więzieniach oraz zwolnienia przebywających w obozach koncentracyjnych kilku wysokich rangą członków KKE Komunistycznej Partii Grecji (część z nich już wtedy nie żyła). W listopadzie doszło do zerwania negocjacji, bo w miejscowości Monodendri koło Sparty Niemcy w odpowiedzi na zabicie w zasadzce na drodze Tripolis – Sparta ośmiu (dziewięciu zaginęło, a 22 odniosło rany) swych żołnierzy z kolumny transportowej rozstrzelali 118 zakładników.

Odwet Wehrmachtu

Wobec takiej sytuacji gen. Karl von Le Suire wydał rozkaz rozpoczęcia operacji „Kalavryta”. Jej celem było oczyszczenie terytorium prowincji z partyzantów oraz znalezienie i uwolnienie jeńców. Siły niemieckie podzielono na dwie Kampfgruppen noszące nazwy od nazwisk dowódców „Gnass” (dowódca kpt. Albert Gnass) i „Ebersberger” (do-

wódca mjr Hans Ebersberger). W związku z otrzymanymi wiadomościami o zbliżającej się niemieckiej oblacie Andreas Asimakopoulos dowodzący grupą konwojentów, zapewne po wcześniejszym uzgodnieniu tego kroku z dowódcą ELAS, podjął decyzję o likwidacji wszystkich jeńców. Zamordowano ich 7 grudnia 1943 r. w okolicach monasteru Agia Lavra, rozstrzelując nad urwiskiem skalnym (według innej wersji po prostu ich zrzucono). Dwóm udało się uciec i powiadomić o zbrodni swoje dowództwo. Pięć dni po egzekucji złożona ze strzelców grupa poszukiwawcza, poruszająca się z 12 greckimi przewodnikami z wioski Mazeika, wśród których znajdował się lekarz dr Karkoulas, odnalazła ciała pomordowanych towarzyszy broni (wszystkich przewodników poza lekarzem zabito). Dopiero ponad miesiąc później udało się wyciągnąć zwłoki, załadować na ciężarówkę i wywieźć do Tripoli, gdzie żołnierzy ostatecznie pochowano. Dzieci lat po wojnie ich szczątki przeniesiono na niemiecki cmentarz wojenny w Dionysos koło Aten.

Doktor Karkoulas – zwolniony przez Niemców za udział w powitaniu z białą flagą wkraczających do Mazeiki wehrmachtowców oraz aktywne uczestnictwo w poszukiwaniu zwłok pomordowanych jeńców – został potem przez ELAS zabity. Nie był jedyną grecką ofiarą komunistycznych partyzantów. W podobny sposób potraktowany został Alexandros Kazanis – burmistrz Eighon. Jemu z kolei „sąd ludowy” postawił zarzut kolaboracji, bo pełnił funkcję

burmistrza z nadania greckiego rządu narodowego Ioannisa Rallisa (był to rząd współpracujący z władzami niemieckimi). Oczywiście sformułowane wobec niego zarzuty były fikcyjne, jego zabójstwo bowiem tak naprawdę miało związek z udziałem w negocjacjach w sprawie zwolnienia jeńców.

Zbrodnia przeciwko niemieckim jeńcom w opinii gen. Karla von Le Suire musiała zostać pomszczona przez przeprowadzenie odwetu na wspierającej masowo partyzantów, pod przymusem, a czasami z własnej woli, męskiej populacji zamieszkującej prowincję Kalavryta. Dowódca dywizji po uprzedniej aprobacie gen. Wilhelma Speidela (gen. Felmy był wówczas na urlopie), pełniącego funkcję Militärbefehlshaber (dowódcy niemieckich sił wojskowych) w Grecji, wydał płk. Juliusowi Wölfingerowi rozkaz przeprowadzenia akcji odwetowej. Pułkownik miał co do tej sprawy poważne wątpliwości, ale ostatecznie nie musiał się nimi trapić, w międzyczasie uległ bowiem wypadkowi. Wykonanie zadania spadło na mjr. Hansa Ebersbergera, dowódcę batalionu, z którego pochodzili wymordowani jeńcy. Kampfgruppe pod jego dowództwem przybyła do wsi Kerpini 8 grudnia 1943 r., zastrzeliła 37 mieszkańców i spaliła część wsi. Tego samego dnia we wsi Rogoi zabito w większości przed kościołem (cztery osoby zginęły wewnątrz świątyni) kolejne 58 osób (ofiarami egzekucji w każdej z wymienionych wsi padali tylko mężczyźni). Zdarzało się, że poszczególni dowódcy pododdziałów okazywali litość mieszkańcom. Tak było we wsiach Agios Nikolaos i Tourlada, które przed spaleniem i egzekucjami cywili uratował mówiący po niemiecku Kostas Domopoulos. Zdecydowanemu Grekowi udało się przekonać niemieckiego oficera dowodzącego, że wsie z partyzantami nie miały nic wspólnego.

Peloponez we krwi

Najtragiczniejszy akt dramatu rozegrał się w Kalavrycie. Przybyła do miasteczka Grupa Bojowa „Ebersberger” zaczęła początkowo przesłuchiwać mieszkańców na okoliczność śmierci rannych niemieckich żołnierzy. Przesłuchiwanie, bojąc się wyjawic

prawdziwe przyczyny zgonów jeńców, poinformowali Niemców, że zmarli oni w wyniku odniesionych w bitwie ran. Niestety, żołnierze w te zapewnienia nie uwierzyli. Ekshumacja zwłok oraz przeprowadzona autopsja ujawniły zamordowanie rannych za pomocą „tępych narzędzi”. Być może to zdarzenie przesądziło o skali zastosowanych przez Niemców represji. Rankiem 13 grudnia mieszkańców zaniepokoiło intensywne bicie w kościelne dzwony. Wszystkim kazano wziąć prowiant i koce oraz udać się do szkoły. Tam kobiety i dzieci zamknięto w trzech salach, natomiast mężczyzn w wieku 15–65 po dokonaniu selekcji (oceniano wiek na oko, stąd wśród przeznaczonych do egzekucji znaleźli się chłopcy w wieku 12, 13 i 14 lat) wyprowadzono z budyn-

ku 681 osób (część przeżyła egzekucje niemieckie, stąd zapewne różnica liczbowa w stosunku do niemieckich dokumentów). Za nieprawdziwe należy potraktować stwierdzenia sugerujące, że celem akcji odwetowej miały być kobiety i dzieci. Untermeinem „Kalavryta” była pod względem liczby ofiar najkrwawszą operacją odwetową, jaką na obszarach okupowanej Grecji przeprowadziły władze niemieckie, jednak zastosowane represje dotknęły wyłącznie męskiej części populacji. Nie dotyczyły natomiast kobiet ani dzieci poniżej 15. roku życia (poza wspomnianymi wyżej kilkoma przypadkami). W tym kontekście wypada wspomnieć, że wiele wsi w Grecji padło ofiarą znacznie brutalniejszych działań. Można tutaj wymienić spaloną 10 czerwca 1944 r. przez dowodzoną

1944 r. w okolicach Agios Nikolaos przez partyzantów 27 niemieckich jeńców, zabójstwo 32 innych dokonane w kwietniu 1943 r. w okolicach Lamii czy rozstrzelanie 75 kolejnych ujętych w okolicach Sarantoporos latem 1943 r. Nie ulega wątpliwości, że oprócz wpisanej w ideologię i praktykę komunizmu zbrodniczości te posunięcia miały na celu sprowokowanie Niemców do dokonywania operacji odwetowych. Komuniści nie mieli żadnej litości dla swych rodaków, narażając ich celowo na niemieckie represje. Nie należy zapominać, że ofiarami zbrodni ELAS padali także Grecy. Byli to żołnierze – a także ich rodziny – utworzonych w 1943 r. przez rząd grecki Batalionów Bezpieczeństwa (Tagmata Asfaleias), członkowie niekomunistycznych ugrupowań partyzanckich (EDES, EKKA) oraz cywile generalnie nieutożsamiający się z ideologią komunistyczną. Niedaleko Kalavryty, w klasztorze św. Jerzego w Feneos, po uprzednim zabiciu sześciu mnichów, ELAS utworzyło w 1943 r. własny obóz koncentracyjny. W jego pobliżu komuniści stracili do końca niemieckiej okupacji co najmniej 1,8 tys. osób.

Te konstatacje naturalnie nie zmniejszają krytycznego osądu niemieckiej akcji represyjnej. Nie powinna się ona w ogóle wydarzyć, a jeśli już, to jej ofiarami nie powinni paść przypadkowi cywile, lecz osoby wywodzące się ze środowisk wspierających komunistyczną partyzantkę. Akcja odwetowa w prowincji Kalavryta, podobnie jak inne podobne wyczyny jednostek Wehrmachtu i Waffen-SS w Grecji, szkodziły próbom stworzenia przez specjalnego pełnomocnika MSZ Hermannu Neubachera w Grecji i na całych Bałkanach możliwie szerokiego frontu antykomunistycznego i stawiały w bardzo trudnym położeniu politycznym współpracujące z Niemcami środowiska antykomunistyczne. Masowe egzekucje wzmagaly tylko nienawiść do okupantów ze strony greckiego społeczeństwa i skutkowały zwiększaniem się sympatii dla ELAS oraz wzrostem liczby ochotników chcących walczyć w szeregach tej organizacji. Odwet zatem w zasadzie przynosił odwrotne do zamierzonych efekty. Tym bardziej że trudno było raczej oczekiwać, by prowadzący brutalną i bezwzględłą wojnę partyzancką komuniści przejęli się niemieckimi represjami, skoro dostrzegali, że de facto służą one ich interesom.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Pomnik ofiar w Kalavryta FOT. WIKIPEDIA

ku na pobliskie pole. O godz. 12.15 na sygnał wystrzelonych flar do stojących otworzono ogień z karabinów maszynowych. Tylko 11 udało się przeżyć egzekucję (według innej wersji 13). Śmierć poniosło 497 osób. W niemieckim raporcie z akcji pacyfikacyjnej zamieszczono dane wskazujące, że spalono 24 wsie, trzy klasztory oraz rozstrzelano 696 greckich mężczyzn.

W sumie podczas niemieckiej okupacji na Peloponezie Niemcy stracili 2319 zakładników. Z ręki ELAS zginęło lub zostało zamordowanych 370 niemieckich żołnierzy. Po wojnie z przyczyn propagandowych próbowano sztucznie zawyżyć liczbę ofiar akcji odwetowej w prowincji Kalavryta do 1,3 tys. osób. Ostatecznie historycy ustalili, że w wyniku działań represyjnych zginę-

przez SS-Hauptsturmführera Fritzta Lautenbacha 2. Kompanię I Batalionu 7. Pułku 4. Dywizji Policyjnej Grenadierów Pancernych SS (4. SS-Polizei-Panzer-grenadier-Division) wieś Distomo, gdzie zamordowano 228 osób, w tym 53 dzieci poniżej 16. roku życia, i 117 kobiet, czy spacyfikowaną 16 sierpnia 1943 r. pod dowództwem por. Williego Rösera 12. Kompanię III Batalionu 98. Pułku 1. Dywizji Górskiej (1. Gebirgs-Division) wieś Kommeno. Śmierć poniosło wtedy 317 osób, w tym aż 97 dzieci poniżej 15 lat.

W pewnej mierze przyczyną wielu morderczych ekscesów niemieckich żołnierzy była bezmyślna brutalność greckich komunistów spod znaku ELAS, którzy wsławili się niejedną egzekucją niemieckich jeńców wojennych. Przykładem były: likwidacja wiosną

1972 r. / Vesna Vulović z Księgi rekordów Guinnessa

McDonnell Douglas DC-9
linii JAT FOT. WIKIPEDIA

Tajemnica lotu JAT 367



Piotr Włoczyk

To jedna z najbardziej zagadkowych katastrof w historii lotnictwa.

Co doprowadziło do tej tragedii i jakim sposobem stewardesa przeżyła upadek z wysokości 10 km?

McDonnell Douglas DC-9 spokojnie sunął po niebie nad Niemiecką Republiką Demokratyczną. Za kilka minut samolot linii Jugosłowenski Aerotransport miał przeciąć granicę z Czechosłowacją. Był 26 stycznia 1972 r., dochodziła godz. 16. Czterdzieści pięć minut wcześniej samolot wystartował z Kopenhagi. Była to mniej więcej połowa trasy do Zagrzebia. Kapitan Ludvik Razdrih i pierwszy oficer Ratko Mihić po raz ostatni połączyli się z NRD-owską kontrolą lotów, za moment prowadzenie ich samolotu z 28 osobami na pokładzie mieli przejąć Czesi.

– Tu JAT 367, przelatujemy nad Boxberg, utrzymuję 10 050 m. Zgłoszę się obok Hermsdorf – powiedział spokojnym głosem kapitan.

– Cottbus, przyjąłem – odpowiedział niemiecki kontroler.

– JAT 367, jesteście nad Hermsdorf – zameldował kapitan o godz. 16.

– Cottbus, przyjąłem. Zmień kurs na Pragę na 127. Do usłyszenia.

– Do usłyszenia – odpowiedział kapitan i zaczął się powoli przygotowywać do zmiany kursu. JAT 367 właśnie wlatywał w przestrzeń powietrzną Czechosłowacji.

Ciszę i spokój przerwała potężna eksplozja. Przeciążenie było tak wielkie, że obaj piloci momentalnie stracili przy-



Szczątki samolotu DC-9 FOT. ARCHIWUM

tomność. Maszyna w jednej sekundzie rozpadła się na trzy części. Z wnętrza kadłuba wyrzuceni zostali wszyscy, którzy nie byli przypięci. Wraz z nimi wyleciały bagaże oraz kawałki porwanego poszycia i elementy konstrukcyjne.

„Usłyszałem huk, jak gdyby lądowały samoloty myśliwskie” – mówił 35 lat później Zdenko Kubik, strażak z Srbskiej Kamenicy – wioski, nad którą doszło do tragedii. Miejscowość leży około 50 km na zachód od Bogatyni. „Spojrzałem w górę i zobaczyłem ciała, walizki i kawałki samolotu spadające na ziemię”.

Okoliczni mieszkańcy ruszyli na ratunek. Porozrzucane na dużym obszarze szczątki maszyny nie pozostawiały jednak wątpliwości – z tej katastrofy nikt nie miał prawa wyjść z życiem.

Jęki z kadłuba

Dobiegający sześćdziesiątki Bruno Honke jako jeden z pierwszych dotarł do największego fragmentu kadłuba, który runął na pokryte grubą warstwą śniegu zalesione zbocze góry. Widok był porażający. Honke bezradnie rozglądał się po miejscu katastrofy. Nagle do jego uszu doszedł cichy jęk. Wydawało mu się, że się przesłyszał, ale jęk stawał się coraz wyraźniejszy. Mężczyzna przedarł się jak najbliżej źródła dźwięku i... osłupiał. Przypięta do wywróconego fotela kobieta w turkusowym, zakrwawionym uniformie stewardesy dawała oznaki życia! Honke natychmiast rzucił się do jej ratowania. Żeby się jednak do niej dostać, musiał najpierw usunąć zwłoki mężczyzny.

„Gdy zostałam odnaleziona, moje nogi znajdowały się w samolocie, a górna część ciała leżała na ziemi. Na mnie leżał inny członek załogi. Mężczyzna, który mnie znalazł, powiedział, że miałam bardzo dużo szczęścia. Służył w niemieckiej armii jako lekarz podczas drugiej wojny światowej i wiedział, jak się mną zająć na miejscu katastrofy” – opowiadała później Vesna Vulović.

Dwudziestodwuletnia stewardesa miała połamane nogi, miednicę, trzy kręgi i doznała poważnych obrażeń głowy. Przez miesiąc była w śpiączce. Po wybudzeniu okazało się, że nie czuje nóg. Paraliż ustąpił jednak dosyć szybko i w ciągu kilku miesięcy kobieta wróciła do zdrowia. Wszyscy zadawali sobie



Vesna Vulović w szpitalu FOT. ARCHIWUM

■ pytanie: Jakim cudem Vesna Vulović przeżyła upadek z wysokości ok. 10 km?

Eksperci ds. badania wypadków lotniczych doszli do wniosku, że sprzyjał temu wyjątkowy zbieg okoliczności. Vulović była przypięta, dodatkowo unieruchomił ją wózek z napojami i przekąskami, który wbił się w jej fotel i szczęśliwie ją „przygwoździł”. Przede wszystkim chodziło jednak o miejsce upadku fragmentu kadłuba, w którym siedziała kobieta. Spadł on pod bardzo szczęśliwym dla niej kątem na zaśnieżone zbocze pokryte wysokimi drzewami. Drzewa i gruba pokrywa śnieżna zamortyzowały uderzenie o ziemię. Dwudziestu trzech pasażerów i czterech członków załogi nie miało jednak tyle szczęścia co ona.

Kobieta w jednej chwili stała się bohaterką w Jugosławii, a o jej cudow-

nym ocaleniu rozpisywały się media na całym świecie. Josip Broz Tito odznaczył Vulović podczas uroczystej ceremonii, a słynny serbski piosenkarz Miroslav Ilić nagrał na jej temat piosenkę pt. „Vesna stjuardesa”. Cały kraj dosłownie oszalał na jej punkcie.

Telefon do gazety

Dlaczego DC-9 rozpadł się w powietrzu nad Srbską Kamenicą? Pierwszym i najbardziej oczywistym tropem był wybuch bomby. Według ustaleń śledczych z Jugosławii i Czechosłowacji eksplozję spowodował ładunek wybuchowy umieszczony w luku bagażowym. „Proces rozpadu samolotu rozpoczął się na wysokości 10 050 m, o czym świadczy nagle urwanie działania rejestratora

lotu oraz rejestratora dźwięku – czytamy w oficjalnym raporcie śledczych badających tragedię JAT 367. – Przyczyną była eksplozja ładunku wybuchowego owiniętego materiałem zapłonowym. [...] był on umieszczony w walizce koloru brązowo-czerwonego”.

Kto za to odpowiadał? Niemal od razu podejrzenia skierowane zostały na... ustaszy. A raczej na niedobitki po tej morderczej organizacji chorwackich faszystów. Co ciekawe, dzień po katastrofie do jednej ze szwedzkich gazet zadzwonił mężczyzna podający się za chorwackiego skrajnego nacjonalistę i powiedział, że bierze odpowiedzialność za zamach na JAT 367. Jednak żadna ze skrajnie prawicowych organizacji chorwackich separatystów nie przyznała się do tego zamachu... Podłożenie bomby przez zwolenników reżimu Ante Pavelić może się wydawać o tyle prawdopodobne, że – jak wyliczył Dennis Pluchinsky, amerykański ekspert ds. terroryzmu badający obszar Europy, tylko w latach 1962–1982 chorwaccy skrajni nacjonaści przeprowadzili 128 ataków terrorystycznych przeciw jugosłowiańskim celom cywilnym i wojskowym.

„Co sześć miesięcy musieliśmy przechodzić szkolenie w zakresie bezpieczeństwa, ale nigdy nie rozmawialiśmy o ustaszach” – powiedziała Vesna Vulović w 2002 r. w rozmowie z portalem „Green Light”. Cudem ocalona stewardesa twierdziła, że widziała zamachowca na lotnisku w Kopenhadze. To właśnie w stolicy Danii doszło do wymiany załóg samolotu, który ze sporym opóźnieniem przyleciał ze Sztokholmu. JAT 367 miał następnie polecieć przez Zagrzeb do Belgradu.

„Widziałam, jak wszyscy pasażerowie

Nie tylko Vesna...

Chociaż trudno w to uwierzyć, to niesamowita historia Vesny Vulović nie jest wyjątkiem w historii katastrof lotniczych.

Nicholas Stephen Alkemade służył w RAF jako tylny strzelec. W nocy z 24 na 25 marca 1944 r. brał udział w nalocie na Berlin. W czasie drogi powrotnej jego maszynę zaatakował nocny myśliwiec. Samolot zaczął płonąć i Alkemade nie był w stanie dotrzeć do swojego spadochronu. Spadł z wysokości ok. 5,5 km na drzewa i głęboki

śnieg. Alkemade odniósł jedynie niewielkie obrażenia i gestapowcy początkowo nie chcieli uwierzyć, że wypadł z samolotu bez spadochronu. Nieużyty spadochron tylnego strzelca faktycznie został później odnaleziony we wraku lancastera.

Iwan Czisow był nawigatorem sowieckiego bombowca Il-4.

W styczniu 1942 r. wyskoczył z płonącego samolotu (na wysokości ok. 7 km) po ataku niemieckiego myśliwca. Opóźnił otwarcie spadochronu, aby nie stać się łatwym celem dla wroga, ale tuż nad ziemią stracił przytomność i ostatecznie nie pociągnął linki. Odnaleźli go sowieccy żołnierze, którzy widzieli spadającego człowieka. Uratował go wąż z głębokim śniegiem, ale w wyniku wypadku Czisow został bardzo ciężko ranny.

Juliane Koepcke miała 17 lat, gdy lockheed L-188 Electra, na którego pokładzie leciała z Limy do Pucallpa, rozbił się nad dżunglą amazońską. Do katastrofy doszło 24 grudnia 1971 r. w wyniku uderzenia pioruna. Koepcke wypadła z samolotu na wysokości ok. 2,8 km. 11 dni później – lekko ranną – odnaleźli ją drwale. Koepcke przeżyła jako jedyna spośród 92 osób obecnych na pokładzie.

i załoga wychodzą z samolotu – wspominała Vulović scenę z lotniska w Kopenhadze. – Jeden człowiek wydawał się szczególnie rozdrażniony. Nie tylko ja zwróciłam na niego uwagę. Również inni członkowie załogi go zobaczyli, a także szef naszej placówki w Kopenhadze. Myślę, że to był mężczyzna, który podłożył bombę w bagażu. Myślę, że wsadził torbę w Sztokholmie, wysiadł w Kopenhadze i nie wsiadł już ponownie do tego samolotu”.

Jugosłowiańskie władze uznały ustawy za winnych ataku bombowego na JAT 367, ale nikt nigdy nie został w tej sprawie aresztowany. A to tylko powodowało powstanie kolejnych teorii spiskowych.

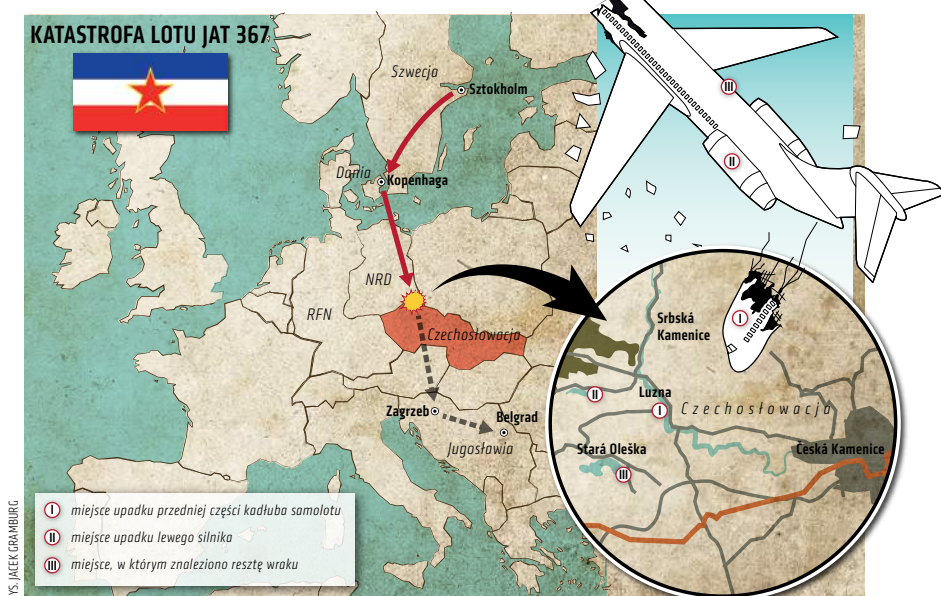
Teoria spisku?

Ta najczęściej powtarzana mówiła o omyłkowym zestrzeleniu jugosłowiańskiego samolotu przez czechosłowackie siły powietrzne. Hipoteza ta odbiła się szerokim echem po największych światowych mediach, gdy w 2009 r., 37 lat po tragedii JAT 367, dwóch dziennikarzy śledczych przedstawiło wyniki swoich prac. Czech Pavel Theiner oraz Niemiec Peter Hornung zakwestionowali w nich oficjalne ustalenia. Stwierdzili, że wersja o ataku bombowym była mistyfikacją, która miała ukryć prawdziwą przyczynę tragedii. Według nich to czechosłowacki myśliwiec zestrzelił jugosłowiański samolot, który w momencie uderzenia rakiety był na wysokości poniżej jednego kilometra. Zdaniem dziennikarzy czechosłowacka bezpieka stanęła na głowie, by upozorować miejsce katastrofy tak, aby zmylić ekspertów.

„Jest bardzo prawdopodobne, że samolot został zestrzelony przez czechosłowackie wojska lotnicze” – powiedział Peter Hornung w rozmowie z „The Guardian”. – „Czechosłowacka bezpieka zdołała rozproszyc swoją nieprawdopodobną opowieść [o bombie] po świecie. Była tak piękna, że nikt nie myślał o stawianiu pytań”.

Hornung przekonywał, że jugosłowiańska maszyna na pograniczu NRD i Czechosłowacji doznała poważnych problemów technicznych i zoczyła z kursu. „Błyskawicznie traciła wysokość i znalazła się nad chronioną strefą wojskową” – mówił Hornung. Dziennikarze twierdzili, że dotarli do nieznanych wcześniej dokumentów oraz do świadków, którzy

KATASTROFA LOTU JAT 367



mieli widzieć maszynę lecącą na niskim pułapie, poniżej chmur. Zanim eksplodowała, mieli też oni zaobserwować drugi, mniejszy samolot. Według tej wersji JAT 367 miał się rozlecieć na kawałki na wysokości ok. 800 m. Równocześnie jednak dziennikarze sami przyznali, że opierają się jedynie na poszlakach.

Jeżeli poważnie brać te ustalenia, to oznaczałoby, że czechosłowacka bezpieka błyskawicznie zorganizowała perfekcyjną operację mistyfikacyjną, w której sfałszowano czarne skrzynki i inne kluczowe dowody, podłożono „tre-fny” materiał wybuchowy i przez wiele lat utrzymywano to wszystko w ścisłej tajemnicy. Czeskie władze stanowczo zaprzeczyły ustaleniom Theinera i Hornunga. Reprezentująca czeską komisję badania wypadków lotniczych Jitka Ungero-vá powiedziała agencji CTK, że teorie dotyczące katastrofy jugosłowiańskiego samolotu to „niestarzący się przebój” i jej urząd nie będzie ich komentować.

Rekord świata

Przeżycie upadku z wysokości 10 km było tak spektakularne, że Vesna Vulović trafiła do Księgi rekordów Guinnessa (kategoria: przeżycie upadku z największej wysokości bez spadochronu). Stosowny dyplom wręczył jej podczas uroczystości w Londynie sam Paul McCartney. Co ciekawe, Vulović w ogóle nie powinno być na pokładzie tego samolotu. Po wszystkim okazało się, że trafiła ona do załogi JAT 367 przez pomyłkę. Do obsługi tego lotu wybrana została stewart-

desa o takim samym imieniu, ale ktoś po drodze pomylił nazwiska obu kobiet.

Dla osób, które panicznie boją się latać, szokiem może być informacja, że Vulović niecały rok po katastrofie wróciła do pracy w liniach lotniczych. Nie bała się latać, ponieważ – jak tłumaczyła w wywiadach – w momencie wybuchu straciła przytomność i ocknęła się dopiero po miesiącu, a z samej katastrofy nic nie zapamiętała. Chociaż ona sama bardzo chciała wrócić do pracy jako stewardesa, to jej przełożeni wykluczyli taką możliwość. Trafiła do pracy biurowej. „Nie chcieli, żebym latała, ponieważ woleli, żeby nie mówiło się tyle o tej katastrofie” – powiedziała w rozmowie z „Green Light”.

Mimo że z zewnątrz jedynym śladem po przeżyciu katastrofy było nieznaczne utykanie, dzień 26 stycznia 1972 r. bardzo poważnie wpłynął na życie Vesny Vulović. „Nie, nie jestem szczęściarą. Każde myśli, że mam mnóstwo szczęścia, ale to pomyłka. Gdybym miała szczęście, to nigdy nie miałabym tego wypadku i moja matka, i ojciec wciąż by żyli. Ten wypadek zrujnował także ich życie” – opowiadała w jednym z wywiadów. W wyniku tamtej tragedii Vulović nie mogła mieć dzieci. Do końca życia – zmarła w samotności w 2016 r. w Belgradzie – cierpiała na tzw. syndrom ocalałego.

„Za każdym razem, gdy myślę o tej katastrofie, mam przejmujące, obezwładniające poczucie winy za przeżycie. Płacę w takich momentach. Myślę sobie wtedy, że może wcale nie powinnam przeżyć” – mówiła w rozmowie z „The Independent”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Zychowicz

/ Kolejne przegrane powstania były przekleństwem Polski. Niczego nie zyskiwaliśmy, wiele traciliśmy – dowodził Aleksander Bocheński

Dlaczego Rzeczpospolita Obojga Narodów została rozebrana przez sąsiadów i zniknęła z mapy?

Dlaczego wszystkie nasze powstania kończyły się porażkami?

Dlaczego przegraliśmy drugą wojnę światową?

Dlaczego Polska cały czas się cofa i kurczy?

To pytania, które Polacy zadają sobie od kilku stuleci. Od momentu, w którym Rzeczpospolita utraciła swoją pozycję mocarstwową i zaczęła staczać się po równi pochyłej w otchłań kolejnych katastrof, klęsk i niepowodzeń. W wielkiej narodowej debacie nad przyczynami upadku Polski zarysowują się dwa główne stanowiska:

Romantyczne.

Realistyczne.

Zwolennicy pierwszego uważają, że za wszystkie nasze nieszczęścia odpowiadają obcy. Niemcy, Rosjanie, Austriacy, Żydzi, Amerykanie, Brytyjczycy, Francuzi, Kozacy. Innymi słowy, cały świat, tylko nie my! Polacy bowiem zawsze mieli rację, zawsze postępowali słusznie i szlachetnie. Niestety byli cały czas napadani, mordowani i zdradzani przez inne wredne narody, które nie mogły znieść blasku wolności, który bił od najjaśniejszej Rzeczypospolitej. W gruncie rzeczy nie ma się jednak co przejmować, bo wszystkie nasze klęski były tak naprawdę moralnymi zwycięstwami. A wszystkie polskie cierpienia nie poszły na marne, gdyż służyły zbawieniu Polski i całego świata. Zgodnie z tą mesjanistyczną koncepcją Polska była (i jest) Chrystusem Narodów.



Nowe wydanie / „Dzieje głupoty w Polsce”

Przeciw idei powstańczej

Realisci mają w tej sprawie zupełnie inne zdanie. Według nas – bo nie ukrywam, że należę do tej formacji – powodów klęsk szukać należy przede wszystkim u siebie. Przyczyną upadku Rzeczypospolitej były anarchia i wewnętrzny rozkład. A mocarstwa zaborcze skorzystały tylko z okazji, którą stworzyli im sami Polacy. Powstania przegraliśmy, bo były fatalnie zaplanowane i przygotowane. Nasze historyczne klęski wynikają zaś głównie z tego, że zamiast prowadzić politykę realistyczną, prowadziliśmy politykę romantyczną. Przegrane wojny, powstania, rzezie i rozbiory nie były zaś „moralnymi zwycięstwami”, tylko tragediami, które przyniosły Polakom cierpienia, a państwu polskiemu spadek znaczenia na arenie międzynarodowej. Należy zrobić wszystko, aby tych błędów uniknąć w przyszłości.

Spór między romantykami a realistami trwa od dobrych 200 lat i nic nie zapowiada, aby został szybko rozstrzygnięty. Szczególnie że obie strony są przekonane, iż mają rację i nie ustępują nawet o krok. Ciekawe jest jednak to, że w kolejnych odsłonach tej wielkiej dyskusji następujące po sobie pokolenia używają mniej więcej tych samych argumentów. Odwołują się do tych samych interpretacji, koncepcji i autorytetów.

Mesjanisci recept na to, jak powinna wyglądać optymalna polityka zagraniczna, szukają w dziełach wielkich poetów doby romantyzmu – Juliusza Słowackiego, Adama Mickiewicza i Cypriana Kamila Norwida. Z kolei realisci za wzór do naśladowania stawiają wielkich mężów stanu minionych wieków. Aleksandra Wielopolskiego, Ottona von Bismarcka czy Winstona Churchilla.

Kto winien?

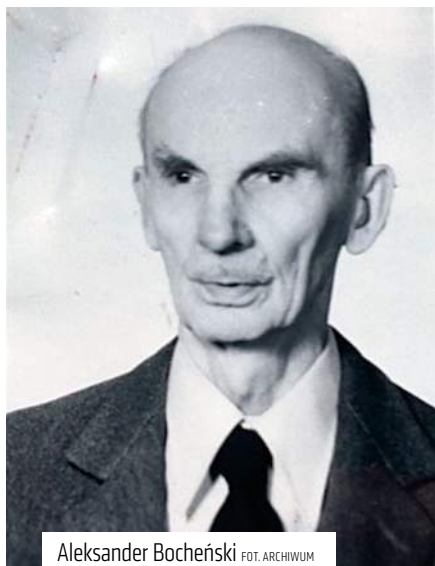
Ciekawym głosem w tej debacie jest wznowiona właśnie przez Jana Sadkiewicza i wydawnictwo Universitas głośna książka „Dzieje głupoty w Polsce” Aleksandra Bocheńskiego. Autor napisał ją w pierwszych latach okupacji niemieckiej, ale wydał już w komunistycznej Polsce w roku 1947.

„Dzieje głupoty” to próba przedstawienia upadku Rzeczypospolitej z perspektywy realistycznej. A jednocześnie polemika z historykami i publicystami, którzy lansują romantyczną wersję

naszych dziejów. Badaczy, którzy piszą „ku pokrzepieniu serc” i dla wzmocnienia narodowego moralne.

Zwalenie przyczyny politycznej – pisał o upadku Polski Aleksander Bocheński – na sąsiadów, zamykanie umyślnie oczu na własne błędy. Kierunek ten jest najgorszym pesymizmem, gdyż uniemożliwia szukanie dróg ratunku, skoro przyczyna zła leżała rzekomo w całości poza nami. Historia polska, pojęta jako szereg win obcych, przy założeniu, że Polska nie mogła sobie nigdy pomóc (gdyż tylko tak da się obronić tezę, że przodkowie nasi za klęski nie odpowiadają), odejmuje całkowicie interes wykładowi naszych dziejów i pozbawia nas beczennych doświadczeń.

Bocheński miał świętą rację. Lan-sowany przez romantyków pogląd, że za wszystkie nasze klęski odpowiadają obcy, może prowadzić tylko do determinizmu dziejowego. I do kolejnych błędów i porażek. Nie uprawiajmy polityki! Nie szukajmy dróg wyjścia z trudnej sytuacji! Nie montujmy optymalnych, realnych sojuszy! Bo i tak cokolwiek byśmy zrobili,



Aleksander Bocheński FOT. ARCHIWUM

pójdzie na marne, nie mamy przecież żadnego wpływu na nasz los. O Polsce decydują przecież obcy.

Romantyzm to właściwie abdykacja z podmiotowości. Przekonanie, że nie ma sobie co zadawać trudu takimi „błahostkami” jak sprawna dyplomacja, analizowanie potencjału własnego oraz naszych sojuszników i przeciwników. Zdaniem romantyków w polityce nie chodzi przecież w gruncie rzeczy o to, żeby zwyciężyć, tylko żeby obronić honor. I – oczywiście – pięknie umrzeć za ojczyznę.

Przesada? Obawiam się, że nie. Takie wnioski wypływają przecież z całkowite bezkrytycznej gloryfikacji naszych narodowych powstań. Tych straszliwych klęsk, które sami sprowadzaliśmy na nasz umęczony naród.

Ciosy, jakie nam zadali Rosjanie na skutek powstania listopadowego – pisał Bocheński – były wielokrotnie podawane i opisywane przez historyków i innych pisarzy. Zawsze jednak na uzasadnienie tezy „jacy oni niedobrzy”, nigdy prawie – jacy my byliśmy głupi.

Podobnie przyjęło się mówić i o innych polskich hekatombach. Represjach po powstaniu styczniowym czy o rzezi Woli. Oczywiście Moskałe i Niemcy, którzy wieszali i rozstrzeliwali Polaków, to byli bardzo, bardzo źli ludzie. Temu nikt przy zdrowych zmysłach nie przeczy.

Dla każdego jednak, kto potrafi myśleć w sposób logiczny, oczywiste jest, że gdyby grupka nieodpowiedzialnej młodzieży w styczniu 1863 r. nie poszła do lasu, to wileński gubernator Michał Murawjow nie dokonywałby egzekucji schwytanych powstańców.

A gdyby dowódca AK gen. Tadeusz Bór-Komorowski 31 lipca 1944 r. nie wydał rozkazu o wydaniu Niemcom walnej bitwy na ulicach milionowego miasta, zbiry Dirlewangera i Kamińskiego nigdy nie trafiłyby do Warszawy. Miasto by ocalało, a 150 tys. jego mieszkańców przeżyło.

To się nazywa ciąg przyczynowo-skutkowy. Pojęcie, jakiego nasi romantycy nie przyjmują do wiadomości.

Bocheński na kartach „Dziejów” dekonstruuje mity szerzone przez apologetów powstańczych rzezi. Choćby ten, który mówi, że Polska w 1918 r. odzyskała niepodległość dzięki XIX-wiecznym powstaniom. Dlaczego w takim razie – pyta autor – niepodległość w tym samym czasie odzyskały narody, które powstań nie wszczynają. Choćby Czesi i Finowie?

Bocheński odrzuca również twierdzenie, że „gdyby nie szaleńcza hekatomba co pokolenie – naród polski uległby wynarodowieniu”. Jest to oczywiście absurd. W wyniku represji popowstaniowych Moskałe zamykali polskie szkoły i uniwersytety. Likwidowali polskie urzędy i instytucje kulturalne. Rusyfikowali Polskę, odbierali Polakom wszelkie ulgi i swobody. Tysiące najlepszych synów ojczyzny, którzy byli nosicielami idei narodowej, ginęły w walkach i trafiały na Sybir.

Polacy tracili instytucje niezbędne do szerzenia i podtrzymywania polskości. Tracili najwybitniejsze jednostki. Było

■ więc dokładnie odwrotnie, niż twierdzą romantycy – to powstania przyczyniały się do wynaradawiania Polaków. Do pomniejszania polskiego stanu posiadania, szczególnie na Litwie i Rusi, gdzie w wyniku klęsk powstańczych polskość znalazła się w wyraźnej defensywie.

Jaką alternatywę proponował Bocheński? Spokojne czekanie na odpowiednią koniunkturę. Koniunkturę taką przyniosła Polsce pierwsza wojna światowa. Dopiero w momencie, gdy mocarstwa zaborcze chwyciły się za tły, naród polski powinien był zerwać się do boju. Walczyć powinno się bowiem wówczas, gdy ma się realne szanse na zwycięstwo. W roku 1863 czy 1944 takich szans nie było.

W międzyczasie – przekonywał Bocheński – w trakcie ciemnej nocy zaborów sprawie polskiej największe zyski przynosiła polityka ugodowa. Czyli mozolna praca u podstaw i wyjednywanie kolejnych swobód, koncesji i ustępstw od mocarstw zaborczych. O tym, że można było w ten sposób osiągnąć realne zyski, świadczyć może autonomia polska w austriackiej Galicji czy sukcesy polityki Wielopolskiego.

Wbrew twierdzeniom romantyków to ugodowcy działali więc na rzecz polskiej racji stanu. A ludzie, którzy parli do powstań, tej racji stanu szkodzili. Jest to konstatacja, z którą – po odrzuceniu wykrzykników, frazesów i patriotycznych zaklęć naszej mesjanistycznej propagandy – trudno się nie zgodzić. Tak po prostu było.

– Ależ panie – już słyszę krzyki oburzenia. – A co z intencjami?! Intencje przecież były dobre!

– W polityce – brzmi moja odpowiedź – intencje nie mają żadnego znaczenia. Liczą się tylko efekty.

A te w naszym przypadku były optyczne. Niestety zbyt często w naszych dziejach górę brali zwolennicy „polityki uczuć” nad zwolennikami „polityki rozumu”. Skutkiem tego zawsze było pasmo narodowych nieszczęść i rozlew polskiej krwi na wielką skalę.

Ponieważ irracjonalny patriotyzm jest uczuciem silniejszym i łatwiejszym do wzbudzenia jak rozumowanie – pisał Bocheński – przeto rola propagandy powstańczej była łatwiejsza od propagandy polityki racjonalnej. Wszystko to prawda. Tym niemniej wydaje się, że w dużej mierze winę ponosi brak odwagi cywilnej naszych historyków i polityków, którzy zdają sobie doskonale sprawę z oczywistych nakazów rozsądku, ale wolą tego nie mówić, aby się nie narażać na epitety.

Epitetów takich na Aleksandra Bocheńskiego po wydaniu książki posypało się oczywiście sporo. Jeden z jego znajomych porównał nawet wydanie „Dziejów głupoty” do... wywlekania na światło dzienne haniebnych czynów własnej matki.

Nie wolno być cieggle i tylko dzieckiem abstrakcji – skomentował to Bocheński – którą się czci i której się kadzi bez przerwy. Ojczyzna to ludzie, to ziemia. Aby istnieć i rozwijać się, naród musi mieć nie tylko wierne i oddane dzieci, ale musi mieć i odważnych nauczycieli. Gdy błędy, w jakie naród wpada, powtarzają się i przynoszą skutki tak straszliwe, jak te, które nam przyniosła nasza polityka XIX-wieczna, gdy zwykłe słowa nie pomagają, zagłuszone przez pienia pochwalne, przekształcające fałsz w prawdę, a klęski w zwycięstwa – każdy, kto wiek stawił na obserwację i analizę przeszłości i teraźniejszości, ma prawo i obowiązek to, co widzi, powiedzieć tak donośnie i jasno – by go każdy usłyszał i zrozumiał. Idzie o przyszłość, idzie o dzieci. Nic nie może zwolnić od przestrogi tego, kto widzi, jak nadchodzące pokolenie bnie w te same błędy, w które bnieł dziadowie, i więcej jeszcze – on sam. Oto dlaczego nie będziemy kłaniać się rzekomej „woli narodu”, urabianej nieodpowiedzialną propagandą.

Niemcy i Rosja

Nie mniej ciekawe od samych „Dziejów głupoty...” są aneksy do książki, odnalezione w archiwum rodziny Bocheńskich i przygotowane do druku przez Jana Sadkiewicza. Na przykład takie notatki z 1941 r.:

Naród polski stracił najsilniejszy wyraz swego istnienia i rozwoju – państwo własne, ale i został pchnięty przez agitatorów niepodległościowych na najzupełniej sprzeczne z rzeczywistością drogi obłędu politycznego. Przez blisko sto lat duża część warstw oświeconych wyrażała zdanie, iż państwo własne odzyska nasz naród nie inaczej, jak tylko drogą walki zbrojnej wytoczonej przez lud jednocześnie wszystkim trzem zaborcom, a to mimo tego, że zaborcy ci reprezentowali właśnie najsilniejsze wówczas organizmy państwowe.

Bocheński taki szalony koncept oczywiście odrzucał. Jego zdaniem próba walki ze wszystkimi zaborcami jednocześnie była czystym samobójstwem. Polska powinna

robić coś dokładnie przeciwnego – dążyć do rozbicia zмовy Trzech Czarnych Orłów. A to można było osiągnąć wyłącznie przez sprzymierzenie się, z jednym z zaborców przeciwko drugiemu.

Zdaniem Bocheńskiego Polska posiadała właściwie tylko dwie realne opcje.

Albo z Niemcami przeciwko Rosji.

Albo z Rosją przeciwko Niemcom.

Był to jedyny sposób, aby rozerwać kleszcze zaciskające się od wschodu i zachodu. Jedyny sposób na ucieczkę spod ciężkiej sownieckiego młota i niemieckiego kowadła. Wszystkie inne koncepcje – jak opieranie się na Francji, Wielkiej Brytanii czy Stanach Zjednoczonych – uważał za mrzonki.

Ludzi – pisał Bocheński – którzy kierowali polską myśl polityczną na drogę sojuszu z jednym z zaborców przeciw drugiemu – dla umożliwienia walki między nimi – kwalifikowano jako zdrajców i sprzedawczyków. Natomiast wszystkich tych, którzy porywali się w najzupełniej niemożliwych warunkach, w kilka lub kilkadziesiąt ludzi, przeciw największemu mocarstwu, którzy swoimi zamachami kleili przymierza mocarstw rozbiorczych i ich wspólną pracę dla tępienia nacjonalizmu polskiego, tych, którzy bez żadnego ekwiwalentu sprowadzali, przez brak rozumu, doświadczenia, poczucia odpowiedzialności, klęski za klęskami, obwoływano bohaterami narodowymi. Dzięki temu przez lat sto pięćdziesiąt naród nasz nie tylko nie miał własnego państwa, ale i tam wszędzie, gdzie obłędem tknięci zbrodniarze zagłuszyli politycznych przywódców narodu, tracił z biegiem czasu na siłach w stosunku do innych narodów europejskich.

Chyba najciekawsze w tych notatkach z 1941 r. są rozważania Bocheńskiego dotyczące polityki polskiej – czy raczej jej braku – pod okupacją niemiecką:

Cały upadek polskiej myśli politycznej, datujący się od XVIII wieku i odrodzony później przez tendencyjną propagandę w czasie dwudziestolecia niepodległości, ukazał się w czasie okupacji niemieckiej. Jednomyślność narodu w wierze, iż Anglia – najpierw z Francją, potem z Jugosławią, zawsze z Rosją sowiecką – odniesie zupełne nad Niemcami zwycięstwo i wówczas odbuduje Polskę w powiększonych jeszcze granicach, jest potwornym owocem zasiewu ciemnoty politycznej i konsekwentnego fałszowania historii i obrazu sił współczesnych.

Spośród setki tajnych pism, jakimi jest zalana Warszawa, żadne nie zdobyło się na uczciwy przegląd trzech ewentualności, jakie w każdej wojnie nastąpić mogą: zwycięstwa jednej strony, zwycięstwa drugiej oraz nierozegranej. Frazes zapanował nad mózgami tak dalece, że każdy Polak dałby się posiekać za to, że my, tu w okupacji, „prowadzimy walkę” z Niemcami i że walka ta polega na tym, że Niemcy aresztują, biją i rozstrzelują, kogo im się podoba, że klęską w tej wojnie nie jest ilość strat materialnych i kulturalnych, jakie ponosimy, ale klęską może być trzeźwy rachunek sytuacji.



ALEKSANDER BOCHEŃSKI
„DZIEJE GŁUPOTY W POLSCE”
UNIVERSITAS

Źródła tej zbiorowej psychozy są trudne do uchwycenia. Nie chce się wierzyć, by pisarze i czytelnicy piśmiek byli aż tak naiwni, by sądzić, że Anglia zwycięska będzie „karać” współdziałanie z Niemcami i „wynagradzać” walkę tego typu, jaką my dzisiaj z nimi prowadzimy. Nikt nigdy na świecie w stosunkach politycznych nie karze i nie nagradza partnerów, lecz popiera lub szkodzi według tego, jak mu odpowiada interes, i że Czechy lub Francja, które wcale w ten sposób jak my nie „walczą” z Niemcami, będą być może bardziej od nas uprzywilejowane.

Również trudno sądzić, by nagle znikł czynnik sowiecki, gdyby Anglia wygrała. Przeciwnie, trzeba przyjąć, że czynnik ten będzie odgrywał nader dużą rolę, o ile go Niemcy przedtem nie wyeliminują, i że nie ma mowy, aby Anglia po wojnie z Niemcami zaczęła się bawić w naszą wojnę z Sowietami. Lekceważenie więc groźby sowieckiej jest najzupełniej niepojęte u naszych optymistów i trudno wprost doszukać się w tym przemilczaniu jakichkolwiek źródeł rozumowych.

Również trudno byłoby przyjąć, że bohaterzy naszej „walki” z Niemcami pragną podtrzymać ducha. Prześladowania, jakie są prostą i konieczną konsekwencją tego rodzaju walki, nie tylko ducha nie podtrzymują, ale go wprost zabijają. Prześladowania, krok za krokiem, likwidują zarówno stan liczebny, jak i zasoby materialne, jak i placówki kulturalne naszego narodu.

W sojuszu z komuną

Tyle o teoriach zawartych w nowym wydaniu „Dziejów głupoty w Polsce”. Teraz parę słów o samym autorze. Aleksander Bocheński był starszym bratem genialnego Adolfa Bocheńskiego. Najwybitniejszego konserwatywnego publicysty młodego pokolenia II RP.

Adolf Bocheński był autorem głośnej książki „Między Niemcami a Rosją” (1937), w której dowodził, że sojusz polsko-francuski jest wart mniej niż papier, na którym został spisany. A Polska – jeżeli chce przetrwać – musi zawrzeć sojusz z Niemcami wymierzony w Związek Sowiecki. Użyć Hitlera jako tarana do rozbicia Stalina.

Aleksander Bocheński przed wojną wspierał koncepcję brata, czemu dawał wyraz na łamach „Słowa”, „Buntu Młodych” i „Polityki”. Czołowych i najbardziej inteligentnych polskich gazet politycznych międzywojnia. W kampanii



Jan Matejko „Staćczyk” FOT. WIKIPEDIA

1939 r. walczył w kawalerii i dostał się do sowieckiej niewoli. Cudem wyrwał się z rąk oprawców z NKWD i uniknął śmierci.

W trakcie okupacji Aleksander Bocheński był zarządcą browaru w swojej rodzinnej Ponikwie w Galicji Wschodniej. Prowadził również ograniczoną działalność publiczną. Badał grunt w sprawie powołania w Generalnym Gubernatorstwie proniemieckiego rządu, który łagodziłby krwawy niemiecki terror wymierzony w naród polski. W trakcie Powstania Warszawskiego prowadził negocjacje z Niemcami w sprawie wstrzymania rzezi stolicy.

Niestety, po wojnie Aleksander Bocheński podjął współpracę z komunistami. Nie była to oczywiście żadna – o co oskarżali go przeciwnicy – zmiana przekonań. Bocheński uważał po prostu, że w polityce należy być elastycznym. A XIX-wieczne zasady polityki ugodowej można stosować nie tylko wobec Austro-Węgier, carskiej Rosji czy III Rzeszy, lecz także wobec bolszewizmu.

Moim zdaniem było to rozumowanie niesłuszne. Jako antykomunista jestem zdecydowanym przeciwnikiem drogi, którą Bocheński obrał w roku 1945. Wszelkie kompromisy i układy z bolszewikami uważam za bezcelowe. Spróbuję jednak w obiektywny sposób przedstawić ówczesne rozumowanie Bocheńskiego: Niemcy leżą w gruzach, na Amerykanów i Brytyjczyków nie można liczyć. Jedynym realnym sojusznikiem dla Polski jest więc Związek Sowiecki.

Wilno i Lwów zostały stracone bezpowrotnie i tylko opieka Moskwy może zapewnić, że Niemcy w przyszłości nie sięgną po Wrocław, Szczecin i Gdańsk. Opór Żołnierzy Wyklętych mnoży tylko tragiczny bilans narodowej hekatombi i musi zakończyć się klęską. Marzenia o wybuchu trzeciej wojny światowej są bowiem dziecinną mrzonką. Należy robić wszystko, by młodzież nie wywołała kolejnego, beznadziejnego powstania.

Poza tym – rozmawiał Aleksander Bocheński – podjęcie kolaboracji z komunistami pozwoli poszerzyć nieco granice swobody. Uratować trochę cennych ludzi, wydać trochę ciekawych książek, zrobić coś dla polskiej kultury. Dać pracę kilku tysiącom „liszeńców”.

Ocalić to, co jest do ocalenia, spowodować, że egzystencja pod czerwonym bu-tem będzie dla polskich patriotów nieco bardziej znośna.

W ten sposób w umyśle Bocheńskiego narodził się pomysł stworzenia Stowarzyszenia PAX, którego był jednym z czołowych działaczy. Czyli koncesjonowanej przez władze „prawicowej” i „katolickiej” opozycji. Bocheński posłował na Sejm PRL, dyktował – tak samo jak pod okupacją niemiecką – w browarze. Tyle że tym razem było to Browary Okocimskie.

W latach 80. Bocheński był przeciwnikiem Solidarności. Dołączył do PRON i poparł stan wojenny wprowadzony przez Jaruzelskiego. Obawiał się bowiem, że opozycja doprowadzi do kolejnej powstańczej rzezi i że Polska znowu, tak jak w 1939 r., zostanie wykorzystana przez Zachód jako dywersant. Tym razem – antysowiecki.

Tak jak wspominałem – wszystkie te działania i wybory Aleksandra Bocheńskiego wywołują we mnie sprzeciw. Uważam, że słuszną drogę obrał nasz wspólny mistrz Władysław Studnicki, który po drugiej wojnie światowej wybrał emigrację w Londynie. I do końca życia konsekwentnie opowiadał się za sojuszem z Niemcami i zniszczeniem Związku Sowieckiego. Jak wiadomo, w roku 1991 oba te cele się zmaterializowały.

Historia przyznała więc rację Studnickiemu. Rozpad Sowietów i przymierze polsko-niemieckie były jego pośmiertnymi triumfem. Zwycięstwem jego koncepcji. Być może jednak w międzyczasie – między koszmarnym rokiem 1945 a pięknym rokiem 1991 – Polsce potrzebny był również ktoś taki jak Aleksander Bocheński? Odpowiedzi na to pytanie każdy czytelnik musi sobie udzielić samodzielnie. Domyślam się, że głosy będą podzielone.

Jedno jest jednak pewne: to, co Aleksander Bocheński robił po wojnie, nie przekreśla ani nie unieważnia tego, co pisał. Szczególnie że na ogół miał rację.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

1945 r. / Raport dr. Schniepera z podróży do Warszawy

Szwajcarska pomoc dla Polski

Ruiny Warszawy,
pierwsze lata po wojnie

FOT. Z ALBUMU „WARSZAWA 1945–1996”. WYD. RSW-PRASA



Marian Zacharski

/ Konwój 16 ciężarówek z pomocą humanitarną przejechał przez pół Europy. Ze Szwajcarii do zburzonej Warszawy. Zachowany raport szefa misji opisuje tragiczną rzeczywistość powojnia

Wtorek 2 października 1945 r. W prasie polskiej wydawanej w zrujnowanej wojną Warszawie pojawia się artykuł pt. „Delegacja M.C.K. w Warszawie”. Oto jego treść:

„Onegdaj przybyła do Warszawy Delegacja Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, przywożąc dary dla poszkodowanej cywilnej ludności polskiej. Dary te obejmują środki lecznicze, dezynfekcyjne i odzież łącznej wagi około 120 ton. Na czele delegacji stoją p. Pfenninger, delegat Komisji Międzynarodowej Czerwonego Krzyża w Genewie i p. dr A. Schnieper, doradca Mieszanej Komisji Pomocy

Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Dary zostały przywiezione na 16 samochodach ciężarowych i przybyły do Warszawy po ośmiodniowej uciążliwej podróży. Obecnie rozładowuje się je w składnicach Zarządu Głównego Polskiego Czerwonego Krzyża, po czym zostaną rozdzielone wg specjalnego klucza na wszystkie Okręgi Polskiego Czerwonego Krzyża. Delegaci Międzynarodowego Czerwonego Krzyża odbyli szereg konferencji z p. Prezesem Polskiego Czerwonego Krzyża, Ludwikiem Christiansem i z Zarządem Głównym PCK, jak również z p. Wiceministrem Administracji Publicznej Wł. Wolskim, celem ustalenia wytycznych dalszej współpracy dla jak najwydajniejszego

przyjścia z pomocą naszemu społeczeństwu, jak również Polakom przebywającym jeszcze na terenie Szwajcarii”.

Ta krótka notatka zachęciła mnie do podzielenia się z czytelnikami treścią fragmentów raportu sporządzonego przez dr. A. Schniepera z jego pierwszej misji (od 20 września do 11 października 1945 r.) do odradzającej się z wojennej pożogi stolicy Polski. Tytuł raportu jest dosyć znamieny: „Perypetrie podróży do Warszawy”. We wtorek 20 września we wczesnych godzinach popołudniowych pięknego jesiennego dnia kolumna pojazdów nadzorowana przez pp. Burniera, Wildholza i Bona, a składająca się z 16 ciężarówek oraz dwóch małych samochodów towarzyszących, pojawiła się na szwajcarskim przejściu granicznym w St. Margarethen. Funkcjonariusze celnicy nie skorzystali z ewentualnego zastosowania ulgi w kontrolnych procedurach urzędniczych, starannie sprawdzając wykazy przedmiotów zawartych w oficjalnych dokumentach MCK z ładunkami rozmieszczonymi na poszczególnych pojazdach. Wszystko się zgadzało.

Momenty nerwowości pojawiły się jedynie u dwóch polskich lekarzy, którzy

korzystając z okazji, zabrali się z kolumną, aby jak najszybciej dotrzeć do ojczyzny. Ich obawy miały swoje źródło w oczekiwaniu na formalne potwierdzenie otrzymania czeskich wiz tranzytowych. Na szczęście wszystko się udało załatwić bez dłuższej zwłoki. Pokonując most przerzucony nad Starym Renem, ciężarówki ruszyły w kierunku kontroli na przejściu francusko-austriackim. Noc podróży spędzili we francuskim centrum informacyjnym w Bregenz. W trakcie przekraczania „granicy” między zonomi francuskimi i amerykańskimi w okolicach Landsbergu nie byli sprawdzani. Niespodziewane kontrole na terenie Niemiec i Czechosłowacji „przyspieszano i łagodniono” darowiznami w postaci paczek papierosów. W kolejnym punkcie podróży, jakim było Pilzno, szefostwo wyprawy otrzymało stanowczo brzmiące instrukcje, aby czeskie terytorium znajdujące się pod okupacją sowiecką („w celu uniknięcia incydentów”) pokonać jednym „skokiem”. 10 km za Pilznem przejechali ostatni amerykański punkt kontroli. Moment ten uznali za pożegnanie z Zachodem.

Perypetie z Sowietami

25 września bez problemów wjechali na terytorium Polski, kierując się do Kłodzka (niem. Glatz). Po drodze spotykali rzesze osób z szerokimi białymi opaskami na rękawach, na których wypisane były duże litery N, wskazujące, że miano do czynienia z Niemcem. Nie mało informacyjnych znaków drogowych z nazwami mijanych miejscowości posiadało dodatkowy dopisek „tyfus”. Tym prostym sposobem ostrzegano przed szerzącą się tam chorobą. Wedle raportu sytuację zdrowotną regionu śląskiego komplikowało to, że osoby narodowości niemieckiej miały ogromne kłopoty z zakupem lekarstw, gdyż marki niemieckie z dnia na dzień utraciły swoją ważność jako środek płatniczy i stały się zwykłymi świstkami papieru. Po drodze delegacja szwajcarska napotykała wiele kolumn sowieckich z marnie prezentującymi się samochodami ciężarowymi. Znaczne ilości rozbitych środków transportowych

porzuconych przy drogach zdawały się potwierdzać tezę, że sowieccy żołnierze byli słabymi kierowcami.

Generalnie mówiąc, od momentu wjazdu na terytorium Polski Szwajcarzy mieli wiele okazji, aby „podziwiać” wysoce nieszablonowe zachowania żołnierzy sowieckich. Z niektórymi z nich robili sobie pamiątkowe fotki. Przejazd przez Ząbkowice Śląskie był, z nieznanego bliżej powodu, zablokowany przez wojska sowieckie. Musieli ratować się długim objazdem. W trakcie częstych przejazdów kolumn sowieckich ruch



cywilny był całkowicie blokowany przez ich żandarmerię. Soldaci wykorzystywali blokady jako okazje do zajęcia się intensywnym „podziwianiem” świetnie prezentujących się pojazdów szwajcarskich, a nade wszystko koncentrowali swoją uwagę na bagażach osobistych. Jednak największym zainteresowaniem cieszyły się szwajcarskie zegarki na rękach ich właścicieli. Tylko zachowywanie stoickiego spokoju, niereagowanie na zaczepki i czuwająca nad nimi Opatrzność nagle odblokowująca drogi pozwoliły Szwajcarom zachować czasomierze. Po latach w Polsce krążył dowcip: tuż po wyzwoleniu rozpisano konkurs na najbardziej osobliwe przeżycia związane

z pierwszym dniem wolności. Wygrał autor, który w trzech zdaniach opowiedział o swoim poranku dnia 30 marca 1945 r. „Po wyjściu z mieszkania na ulicę zaczęli mnie żołnierze sowieccy, pytając o godzinę. Poinformowałem go, że była 8.30... Następny zegarek kupiłem sobie w 1956 r.”.

Kolumna szwajcarska ominęła ruiny twierdzy Wrocław, pełnej wygłodniałych, kompletnie zagubionych autochtonów, zatrzymując się na nocleg w Oleśnicy. W każdym polskim mieście, gdzie stacjonowały sowieckie oddziały, przez całe noce mieszkańcy mieli nad wyraz wątpliwą przyjemność wysłuchiwanie złowrogich, niekończących się serii strzałów z karabinów maszynowych. Tak wyrażali swoją „radość” mocno podpici żołnierze ze Wschodu. W Łodzi, zgodnie z telegraficzną instrukcją z Genewy, mieli zostawić część leków w lokalnym TOZ. Pomimo umówionego terminu w wyznaczonym miejscu nie zastali nikogo. Odbiorcy byli w delegacji. Jedynym plusem było to, że wreszcie trafiła im się rzadka okazja w postaci możliwości przespania się w wygodnym hotelu Savoy. 27 września w godzinach porannych musieli „bronić” 120-tonowego ładunku, ponieważ lokalny kacyk z szeregow nowych władz podjął energiczne próby rozładowania ciężarówek w Łodzi zamiast w miejscu docelowym, w Warszawie. Pokazując mu oficjalne dokumenty, MCK po trudnych dyskusjach udało się go spacyfikować.

W trakcie przejazdu przez Łowicz na lokalnym rynku podziwiali doskonałe zaopatrzenie w warzywa, owoce, chleb, masło i mięso. Jeszcze bardziej zdziwił ich brak kolejek. Widok oceniali jako surrealistyczny.

Dary w Warszawie

W myślach zadawali sobie pytanie o konieczność ich wielodniowej udręki, skoro – przynajmniej Łowicz – sprawia wrażenie krainy mlekiem i miodem płynącej. Na rogatkach Warszawy zostali powitani przez przedstawiciela PCK, dr. Gnoińskiego, oraz panią Tyszyńską, która – perfekcyjnie znając język francuski – wyznaczona została do pełnienia

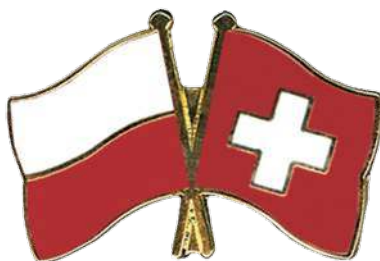
■ funkcji tłumaczk. Przejeżdżając przez Wolę i dalej ulicami centrum Warszawy, ze zgrozą obserwowali ruiny miasta zmasakrowanego w trakcie powstania warszawskiego i tuż po nim. Pozytywne wrażenie robiła vitalność warszawiaków, którzy jak mrówki przemykali się wśród kikutów budynków i stert gruzu. Pierwszy przystanek na terenie stolicy zaplanowano przed politechniką przy ul. 6 Sierpnia. Plac przed budynkiem był idealnej wielkości, aby prawidłowo zaparkować ciężarówki z darami. Celem zachowania integralności transportu władze wojskowe rozstawiły wokół uzbrojony pododdział ochronny.

Chwilę potem odbyła się pierwsza wizyta w centrali warszawskiego oddziału PCK, który mieścił się przy ul. Piusa 24. Przywitał ich osobiście prezydent Sudra. Po krótkiej rozmowie, spożyciu drobnego posiłku zakropionego, „na rozgrzewkę”, kilkoma kieliszkami wódki, ekipę szwajcarską zaprowadzono do „hotelu”, którym była duża wspólna sala z co najmniej 20 łózkami wyposażonymi w sienniki zamiast materaców, znajdująca się w sąsiadującym z PCK budynku. W międzyczasie pani Tyczyńska na rano umówiła spotkanie z kierownictwem centrali PCK. Przed udaniem się na spoczynek szef konwoju z kilkoma swoimi kolegami przejechał ulicami starej Warszawy, od Mokotowskiej przez pl. Trzech Krzyży, Nowy Świat, rejon Muzeum Narodowego, obok zniszczonego mostu Poniatowskiego, pl. Piłsudskiego, rejon uniwersytetu. Przy ul. Smolnej zastali jedynie ruiny dawnego poselstwa Szwajcarii. Wszędzie towarzyszyły im obrazy gigantycznej skali zniszczeń.

Z nastaniem mroku warszawiacy, szczególnie płeć piękna, znikali z ulic miasta. Spacerzy nieoświetlonymi ulicami wśród ruin bywały niebezpieczne. Noc spędzili „przy akompaniamencie” rytualnych wystrzałów karabinowych potwierdzających obecność mocno napitych sowieckich żołnierzy. Jak próbujący zasnąć skrupulatny Szwajcar, dr Schnieper wyliczył, rozrywkowe serie pojawiały się w cyklu co dwie minuty. Następnego ranka odbyli spotkanie z szefem polskiego PCK, Ludwikiem Christiansenem. Siedzibą organizacji był prawie nietknięty wojną budynek przy ul. Nowogrodzkiej zwany Romą. Cierpliwie wysłuchali długiej informacji o organizacji polskiego Oddziału PCK. Doktor Schnieper ze swo-

jej strony gotowy był do podjęcia dyskusji na tematy konkretnych problemów i potrzeb. Dla Szwajcarów najwyższym priorytetem było wyładowanie darów, które ze sobą przywieźli. Na szczęście w tym temacie znaleźli zrozumienie. Pan Christiansen wyznaczył osoby, które miały odpowiadać za koordynację tego przedsięwzięcia. Podstawowym problemem było znalezienie odpowiedniego dużego lokalu, który zapewniłby warunki niezbędne do przechowywania cennych lekarstw. W miarę szybko udało się znaleźć tego typu lokum.

Przystąpiono do rozładunku. Pierwszego dnia szło to tak ślamazarnie, że szefowi konwoju, panu Burnier, i kierowcom tęskniącym za Szwajcarią, jej porządkiem i spokojem trudno było ukryć oznaki złego humoru. Raz brakowało



niezbędnej liczby pracowników, innym razem wyznaczeni do pracy byli tak wątpliwej postury, że nie byli w stanie dźwigać wielu kolejnych skrzyń ani paczek. Ich braki w sile vitalnej, zresztą słusznie, tłumaczono tym, że byli Polakami wypędzonymi ze wschodnich terenów Polski, którzy zanim dotarli do stolicy, przeszli niejedną gehennę i doświadczyli długich okresów dokuczliwego głodu. Rozładunek przeciągał się w nieskończoność. Doktor Schnieper interweniował u szefa zaopatrzenia polskiego Oddziału PCK, którym był ks. Czesław Oraczewski. Szybko okazało się jednak, że ksiądz miał jedynie mgliste pojęcie o obowiązkach, które na nim spoczywały. Najlepszym kontaktem do załatwiania spraw od ręki okazał się szef sekcji PCK do spraw stosunków z zagranicą, Kozłowski. To dzięki niemu delegacja zaczęła wierzyć, że możliwość udania się w drogę powrotną nie była aż tak odległą, jak to wcześniej pesymistycznie oceniali.

30 września dr Schnieper z panem Pfenningerem w towarzystwie dr. Kaflin-skiego i p. Sudry objechali rozmaite pla-

cówki lecznicze prowadzone w Warszawie pod nadzorem polskiego Oddziału Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Inspekcja trwała 10 godzin. Odwiedzili polikliniki, noclegownie, schroniska dla repatriantów przybywających ze Wschodu, szpitale, a także schroniska dla chorych na gruźlicę. Wrócili pełni podziwu, admiracji dla nadzwyczajnego wysiłku wkładanego w ratowanie zdrowia polskich obywateli. Stan niektórych placówek był nadal opłakany, pacjenci spali na podłodze, bez stosownego przykrycia. Niemniej wszechobecna atmosfera niesienia pomocy, solidarności była godna najwyższego podziwu.

Wieczorem spotkali się z liczącym się w Warszawie architektem, który wskazał im możliwość natychmiastowego zagospodarowania lekko zniszczonego budynku i stworzenia tam siedziby delegacji Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża. 2 października Szwajcarzy odwiedzili Ministerstwo Zdrowia Publicznego przy ul. Chocimskiej 24, gdzie spotkali się z wiceministrem, dr. Morzyckim, i przekazali ciężarówkę darów od szwajcarskiej organizacji DON SUISSE [Don Suisse pour les victimes de la guerre] prowadzącą w latach 1944–1948 szeroko zakrojoną pomoc humanitarną dla ofiar drugiej wojny światowej. Jak na kraj neutralny przystało, pomoc obejmowała także ofiary wśród ludności niemieckiej. W trakcie krótkiej rozmowy omówiono najpilniejsze potrzeby polskiej służby zdrowia. Owocem wymiany poglądów było szybkie podjęcie decyzji o budowie „szwajcarskiego miasteczka” w Otwocku przeznaczonego dla polskich dzieci chorych na gruźlicę lub zagrożonych tą straszną chorobą. Realizacja tego projektu była nieomal błyskawiczna. W krótkim czasie polskie dzieci rozpoczęły sześciomiesięczne turnusy w tym ośrodku. Wiele z dzieci, odzyskujących zdrowie w otwockim „miasteczku”, zapamiętało to miejsce jako świetnie zorganizowane, wygodne, przyjazne i w którym co niedziela każde z nich otrzymywało tabliczkę prawdziwej szwajcarskiej czekolady. Wśród ówczesnych pacjentów zagrożonych tą chorobą był m.in. przyszły minister MSW (1992–1995) Andrzej Milczanowski.

W trakcie wyładunku ciężarówki z darami Szwajcarzy mieli okazję podziwiać wielki wysiłek UNRRA w niesieniu pomocy Polakom. W podziemiach mini-

sterstwa zgromadzonych było m.in. 170 ton wyprodukowanego w Bazylei środka odkażającego Néocide, wielka liczba materacy, ubrań, mydła, lekarstw pierwszej potrzeby etc. Doktor Schnieper nie mógł powstrzymać się od głośnego wyrażenia swojej słusznej opinii, że zgromadzone tam materace lepiej służyłyby w szpitalach lub w domach mieszkańców polskiej stolicy niż w podziemiach ministerstwa.

Wreszcie 3 października udało się zakończyć wyładunek darów. Z powodu nieobecności ks. Oraczewskiego, teoretycznie odpowiedzialnego za zaopatrzenie, a w rzeczywistości nieposiadającego należytych kompetencji w tych sprawach, dokument zdawczo-odbiorczy podpisał dr Kacprzak, szef sekcji sanitarnej. Tego samego dnia dr Schnieper spotkał się z ministrem handlu zagranicznego i żeglugi, Stefanem Jędrzychowskim. Wstępnie omówiono możliwość dokonywania transakcji barterowych. W zamian za transporty szwajcarskich leków strona polska miała dostarczać węgiel, ziemniaki-sadzeniaki, melasę, mączkę ziemniaczaną, a także niewielkie ilości cukru. Krótco potem złożyli kurtuazyjną, a zarazem pożegnalną wizytę ministrowi zdrowia, dr. Litwinowi. Wieczorem dr Schnieper odbył rozmowę z hrabiną Tarnowską, która w ostatnich słowach swojego wywodu zaapelowała do moźnych tego świata, mówiąc: „Jeżeli Zachód pozwoli nam utonąć w objęciach azjatyckich barbarzyńców, to Polska zniknie, a wraz z nią i cała Europa”.

Dobry doktor

W czwartek 4 października 1945 r. o godz. 7 szwajcarski konwój ruszył w drogę powrotną. Zamiast darów ciężarówką wypełnione były cywilami szwajcarskimi oraz francuskim personelem wojskowym korzystającym z nadarzającej się okazji powrotu do swoich domów. Ponownie zatrzymali się w Łodzi. Tym razem przy ul. Piotrkowskiej 203, aby dostarczyć 4 tys. ampułek insuliny. Znow Łódź i znow brak szczęścia. Okazało się, że osoba wskazana w telegramie centrali MCK w Genewie nie była nikomu znana pod wskazanym adresem. Skorzystano z pomocy zamieszkałej tam lekarki, która zobowiązała się przetrzymać cenny ładunek do czasu nadejścia telegramu z nowymi instrukcjami. O godz. 18.30



Devant l'école polytechnique



Notre "hôtel" à Varsovie !



Dans la cour de la Croix-Rouge polonaise



Visite d'un sanatorium

Zdjęcia z raportu Schiepera FOT. MATERIAŁY AUTORA

dotarli do Katowic, gdzie zatrzymali się na nocleg. Jeden z kierowców przeżył szok. O godz. 22 wrócił do hotelu ze spaceru i zdenerwowanym głosem opowiedział o swojej „przygodzie” z żołnierzem sowieckim. Okazało się, że żandarm sowiecki, grożąc mu pistoletem, domagał się oddania wszystkich pieniędzy, którymi dysponował zaskoczony Szwajcar. Broniąc się, kierowca wyjął dokument MCK, na którym w języku rosyjskim znajdowało się potwierdzenie szlachetnej roli, jaką wypełniał w swojej podróży do Polski. Żandarm odparł, że interesują go tylko pieniądze, a nie jakieś papiery. Można się domyślić, kto wygrał ten „pojedynek”.

Katowice na tle Warszawy wypadły, według ocen członków delegacji, bardzo błado, ponuro, biednie. Po krótkim pobycie w Pradze ceskiej 8 października konwój opuścił strefę sowiecką. O dziwo, bez jakiegokolwiek kontroli dokumentów czy bagaży. Amerykanie powitali ich szerokimi uśmiechami. Dwa dni później ok. godz. 16 dotarli do przejścia granicznego w Bregenz. Z niewielkiej odległości dostrzegali już zarysy terytorium Szwajcarii. Liczyli na szybki i sprawny tok załatwiania formalności dokumentacyjno-celnych i... się przeliczyli. Do akcji wkroczyły służby francuskie, które pod pretekstem sumiennej realizacji zleconych im czynności urzędniczych skonfiskowali aparaty fotograficzne i filmy członków delegacji, z wyjątkiem dr. Schniepera, którego bagaż pozostał nienaruszony. Dzięki temu zachowała się chociaż część dokumentacji fotograficznej z trudnej misji do Polski. Około południa Francuzi podnieśli szlaban i po krótkim przejeździe przez no man's land uczestnicy konwoju dotarli do granic Szwajcarii. Po kontroli dokumentów i bagaży pozostała im już tylko jedna obligatoryjna czynność: poddanie się dezynfekcji.

Doktor Schnieper nie opuścił Polski w potrzebie. Jeszcze wiele razy udawał się do Polski, niosąc niezbędną pomoc wspomagającą pracę lokalnej służby zdrowia. Został nawet delegatem Mieszanej Komisji MCK w Warszawie. To dzięki tak oddanym ludziom jak on polskie dzieci korzystały z szerokiej pomocy medycznej. Na terenie zarówno Polski, jak i Szwajcarii. Nie wolno nikomu zapominać, że losy Polski i Polaków nigdy nie były im obojętne. © Wszelkie prawa zastrzeżone

II wojna / Historyczne tło rozkazu gen. Watutina

Gehenna węgierskich jeńców

Nie tak dawno rosyjski Woroneż odwiedził węgierski minister obrony. Po co? Jakie sprawy sprowadziły go do centralnej Rosji?

Okazuje się, że tu, w okolicach Woroneża, znajduje się największy węgierski cmentarz wojskowy na świecie. Za czasów Związku Sowieckiego fakt ten był przemilczany. Cmentarz uroczyście otwarto dopiero w 2001 r. Tutaj, w pobliżu wsi Rudkino, leży 50–55 tys. żołnierzy węgierskich. Są to mogiły zbiorowe, dlatego dokładnej liczby pochowanych nie zna nikt.

Na front wschodni przeciwko Związkowi Sowieckiemu niewielkie Węgry



Mikołaj Iwanow

/ Armia węgierska dzielnie walczyła z Sowietami na froncie wschodnim. Los żołnierzy wziętych do niewoli przez bolszewików był przerażający

wysłały prawie półmilionową armię, która – jako jedyna z sojusznicych armii Hitlera – walczyła u boku Wehrmachtu do samego końca wojny. Straty 12-milionowych Węgier w wojnie są olbrzymie i porównywalne z polskimi. Zarówno Polska, jak i Węgry wyszły

z wojny z wielkimi stratami terytorialnymi, mimo że walczyły po różnych stronach konfliktu światowego.

Oficjalne straty armii węgierskiej w drugiej wojnie światowej sięgają 809 066 żołnierzy. W wyniku działań wojennych życie straciło także ponad



Żołnierze węgierscy wzięci do niewoli przez Armię Czerwoną

FOT. ARCHIWUM



powróciło. Również w kraju szalał na wyjątkowo szeroką skalę terror. Tak zwane ludowe sądy rozpatrzyły po wojnie 58 953 sprawy, skazując na śmierć lub więzienie 26 286 osób.

Zaskakująca decyzja

Dlaczego represje powojenne były tak zaostrzone? Dlaczego Węgrów w stalinowskim systemie socjalistycznym karano i sowietyzowano stosunkowo bardziej okrutnie niż inne kraje systemu? Odpowiedź na to pytanie znajdziemy w sowieckim traktowaniu udziału Węgrów w agresji niemieckiej przeciwko Związkowi Sowieckiemu. O ile inni najważniejsi sojusznicy Hitlera (Rumunia i Finlandia) mieli autentyczne powody dołączenia do armii niemieckiej w jej pochodzie na wschód, o tyle Węgrzy – według opinii Stalina i jego otoczenia – zrobili to zupełnie bezpodstawnie. Za to trzeba było ich surowo ukarać. Finowie w sojuszu z Niemcami chcieli odzyskać swe terytoria utracone w wojnie zimowej 1939–1940. Rumuni chcieli odzyskać utracone w 1940 r. Bukowinę i Mołdawię.

Poczucie krzywdy Stalina było tym głębsze, im bardziej Związek Sowiecki przed wojną popierał terytorialne roszczenia Węgrów wobec Czechosłowacji i Rumunii. ZSRS poparł postanowienie tzw. pierwszego arbitrażu wiedeńskiego z 2 listopada 1938 r., w wyniku którego Węgrom przyznano terytorium o powierzchni 11 927 km, zamieszkane przez 852 tys. osób (południową Słowację i Ruś Zakarpacką), a także drugiego arbitrażu wiedeńskiego z 30 sierpnia 1940 r., kiedy Rumunia pod naciskiem III Rzeszy i Włoch zmuszona była odstąpić Węgrom północną część Siedmiogrodu oraz część Marmaroszu i Krikszany o ogólnej powierzchni 43 104 km, zamieszkałej przez ok. 2,5 mln osób. Co więcej, 23 czerwca, na drugi dzień po rozpoczęciu wojny, Władysław Mołotow na spotkaniu w Moskwie zapewnił ambasadora Węgier w Moskwie Janusza Kristoffi, że mimo agresji niemieckiej ZSRS nadal popiera te zmiany terytorialne na korzyść Węgier. Nie pomogło.

27 czerwca Węgrzy wypowiedzieli wojnę Związkowi Sowieckiemu. Przystąpienie Węgier do wojny było posunięciem nieoczekiwanym również dla zachodnich sojuszników Kremla. Rząd Wielkiej Brytanii na tyle był tym zaskoczony, że dopiero w grudniu 1941 r. wypowiedział wojnę Węgrom.

Kwestia przystąpienia Węgier do wojny do dziś nie jest do końca jasna. Oficjalnie państwo węgierskie w ten sposób odpowiedziało na bombardowanie terytorium kraju przez sowieckie lotnictwo bombowe. Rzeczywiście, 26 czerwca słowackie miasto Kosice, przyłączone na mocy drugiego arbitrażu wiedeńskiego do Węgier, zostało mocno zbombardowane. Na miasto zrzucono co najmniej 27 ton bomb lotniczych. Zginęło ponad 30 cywili, dziesiątki innych zostało rannych. Związek Sowiecki od razu stanowczo zaprzeczył, że nalotu dokonało lotnictwo sowieckie. Istnieje opinia, że bombardowania dokonała Luftwaffe w celu jak najszybszego wciągnięcia Węgier do wojny. Są również przypuszczenia, że nalot został dokonany przez lotnictwo rumuńskie na polecenie Niemców. Najbardziej prawdopodobna jest jednak wersja, że to Armia Czerwona w niesamowitym zamęcie pierwszych dni wojny i w obawie przed węgierską ofensywą zbombardowała miasto. Dokonano tego na podstawie jeszcze przedwojennych planów ofensywnych Armii Czerwonej, przewidujących szybki i zwycięski marsz na Zachód, aby z terytorium Słowacji zaatakować wojska niemieckie w Polsce. Do dziś jednak historiografia sowiecka twierdzi, że nalot był niemiecką prowokacją, podobną do tej w Gliwicach, kiedy zaatakowano radiostację, udając Polaków.

Przystąpienie Węgier do wojny zostało odebrane w Moskwie z goryczą. Prawdopodobnie wtedy, a może

trochę później, Stalin – znajdujący się w stanie prawie obłędu pod wpływem niespodziewanych druzgocących porażek jego armii w pierwszych miesiącach wojny – wypowiedział swe słowa: „Węgrów trzeba za to mocno ukarać...”. Słowa te natychmiast zostały odebrane przez sowiecki aparat propagandowy jako wskazówka do działania. W środkach masowego przekazu



80 tys. cywili. Do tego trzeba dodać ponad 500 tys. obywateli węgierskich narodowości żydowskiej, zgładzonych w Holokauście. Istnieje jednak jedna kategoria strat ludzkich, które plasują Węgry na czołowej pozycji wśród ofiar drugiej wojny światowej. Chodzi o ofiary powojennych represji ze strony okupacyjnych władz sowieckich i własnego komunistycznego węgierskiego reżimu. Są to represje bez precedensu, porównywalne jedynie z represjami w okupowanych Niemczech. Po wojnie do Związku Sowieckiego wywieziono ponad 600 tys. Węgrów. 200 tys. z nich (co trzeci) – jak uważają historycy węgierscy – nigdy już do ojczyzny nie

István Simicskó, minister obrony Węgier, na centralnym cmentarzu żołnierzy węgierskich w Rosji, 2017 r.

FOT. KORMANY.HU



■ czasu wojny zaczynają dominować materiały o „strasznych niewdzięcznych Węgrach – zabójcach dzieci”, o okrutnych przestępstwach armii węgierskiej na okupowanych terytoriach Związku Sowieckiego. Czytając prasę sowiecką okresu początku wojny ojczyźnianej, czasem można było odnieść wrażenie, że to nie Niemcy, lecz Węgry są głównym przestępcą wojennym.

Zagłada 2. Armii

Rząd adm. Miklósa Horthyego początkowo skierował na front wschodni jedynie jeden zmechanizowany korpus swej armii (do 40 tys. żołnierzy), który zaatakował Armię Czerwoną 1 lipca 1941 r. Włączono go w skład 17. armii niemieckiej. W rejonie Hmanii korpus razem z Niemcami odniósł swe pierwsze błyskotliwe zwycięstwo. Otoczono i zniszczono do 20 dywizji sowieckich. Do niewoli trafiło ponad 100 tys. czerwonoarmistów.

Wiosną 1942 r. pod naciskiem III Rzeszy Węgrzy zostali zmuszeni do znaczącego zwiększenia swego wysiłku militarnego. Na front wschodni skierowano 2. Armię Węgierską (250 tys. żołnierzy) pod dowództwem gen. Gustawa Janiego. Armia otrzymała do obsadzenia wyjątkowo ważny odcinek frontu na południe od Woroneża, który zabezpieczał od północy lewe skrzydło 6. Armii Niemieckiej gen. Paulusa, prowadzącej frontalny atak na Stalingrad. Od sierpnia

aż do grudnia 1942 r. wojska węgierskie prowadziły ciężkie boje z Armią Czerwoną w celu zlikwidowania przyczółka na zachodnim brzegu Donu w rejonie wsi Serafimowicze. 2. Armii nie udało się zepchnąć wroga za Don, co miało później fatalne dla Niemców skutki w czasie bitwy stalingradzkiej.

Dla żołnierzy węgierskich bitwa stalingradzka oznaczała totalną klęskę, wcale nie mniejszą, a może i większą, od klęski niemieckiej. 2. Armia została rozgromiona. Straciła według danych sowieckich do 80 proc. stanu osobowego. Według danych węgierskich zginęło i dostało się do niewoli co najmniej 150 tys. żołnierzy węgierskich.

Rozkaz „Węgrów do niewoli nie brać...” wydał dowódca Frontu Woroneskiego, a w czasie bitwy stalingradzkiej frontu południowo-zachodniego, gen. Mikołaj Watutin (zginął w 1944 r. z rąk ukraińskiej UPA). Czy był to rozkaz pisemny, czy ustny? Tego się nie dowiemy. Archiwa rosyjskie nadal są niedostępne. O istnieniu podobnego rozkazu świadczą wspomnienia uczestników walk o Stalingrad.

Wydanie podobnego rozkazu nie było przypadkowe. Odpowiadał duchowi antywęgierskiej propagandy sowieckich środków masowego przekazu i wskazówce samego Stalina, że Węgrów trzeba ostro ukarać. Prasa frontowa była przepełniona opowiadaniem o rzekomych zbrodniach węgierskich dokonanych na ludności cywilnej. Do tego w odróżnieniu od żołnierzy rumuńskich czy włoskich Węgrzy wyróżniali się twardością i nieustępliwo-

ścią w walce oraz wysokim morale. Był to żołnierz prawie niczym nieustępujący swym niemieckim sojusznikom. Walczył zjadale, tym bardziej że niewola dla niego była prawie wykluczona.

Walka do końca

Po klęsce stalingradzkiej resztki 2. Armii Węgierskiej zostały wycofane do ojczyzny na uzupełnienie i przeformowanie. W dalszym ciągu wojny na terytorium ZSRS wojska węgierskie jedynie w szczególnych wypadkach były używane na froncie. Ich głównym zadaniem stało się pełnienie funkcji policyjnych na terenach okupowanych. Są opinie, że oszczędzając w ten sposób żołnierzy węgierskich, Hitler uhonorował ich bohaterstwo w bitwie stalingradzkiej.

Przywódca Węgier adm. Horthy już od lata 1943 r. zaczął szukać możliwości zakończenia sojuszu z III Rzeszą i zawarcia pokoju z koalicją antyhitlerowską. Prowadzono tajne rozmowy z Wielką Brytanią i ze Stanami Zjednoczonymi bez udziału ZSRS. Nawiązano również kontakty w rządami emigracyjnymi Polski i Czechosłowacji w Londynie. Polski rząd został poinformowany o decyzji węgierskiego dowództwa na Ukrainie w rejonie Stanisławowa o przystąpieniu do aktywnej obrony polskiej ludności przed akcjami pacyfikacyjnymi ukraińskich nacjonalistów UPA. Również w wyniku tajnych rozmów z sojusznikami zachodnimi Węgry zawarły niepisane porozumie-

nie o nieatakowaniu samolotów sojuszników znajdujących się nad ich terytorium i tego porozumienia węgierska obrona przeciwlotnicza trzymała się twardo, aż do okupacji kraju przez wojska III Rzeszy.

Podpisanie pokoju separatystycznego przez Włochy 8 września 1943 r. i tajne rozmowy Węgrów z sojusznikami zachodnimi, o których było wiadomo w Berlinie, sprowokowały Hitlera do podjęcia decyzji o okupacji terytorium Węgier 12 marca 1944 r. Horthy został izolowany, co w rzeczywistości oznaczało areszt domowy. Jednak nominalnie on pozostawał głową państwa.

We wrześniu 1944 r. Armia Czerwona przekroczyła granicę węgierską. Widmo porażki wojennej zbliżyło się do Budapesztu. W tej dramatycznej sytuacji regent Horthy zdecydował się na krok iście szaleńczy w kraju okupowanym przez III Rzeszę. Ogłosił zawieszenie broni na froncie przeciwko Armii Czerwonej i wycofanie się Węgier z wojny. Po ogłoszeniu tego dekretu dowódca 1. Armii Węgierskiej walczącej na Ukrainie, gen. Béla Miklós, z grupą swych oficerów sztabowych przechodzi na stronę Armii Czerwonej. Odmawiają walki również liczne jednostki armii węgierskiej, jednak do masowego poddania się żołnierzy węgierskich nie doszło. Prawdopodobnie zadziało dotychczasowe nastawienie Związku Sowieckiego i jego armii do żołnierzy węgierskich, wyrażone pod Stalingradem przez gen. Watutina: „Węgrów do niewoli nie brać...”. Na odpowiedź Hitlera nie trzeba było długo czekać. Specjalny oddział SS pod dowództwem słynnego specjalisty od operacji specjalnych, niedawnego wybawcy Mussoliniego Ottona Skorzenego, bierze jako zakładnika syna Horthyego – Miklósa. W ten sposób siłą zmuszono admirała do przekazania władzy w ręce lidera faszystów węgierskich, lidera partii strzałokrzyżowców Ferencza Szálasię, który od razu przyrzekł walkę do końca u boku Niemców.

Stalin natomiast w obliczu nieuniknionej klęski III Rzeszy nieco złagodził swe stanowisko wobec Węgrów i ich armii. W celu pozabawienia Niemców ich ostatniego sojusznika w grudniu 1944 r. zostaje stworzony tzw. antyfaszystowski rząd węgierski, na czele którego postawiono byłego dowódcę 1. Armii Węgierskiej Belę Miklósa, który jeszcze miesiąc przed tym walczył przeciwko Armii

Czerwonej. Teoretycznie rząd Miklósa nie był komunistyczny, na 13 posad ministerialnych jedynie trzy teki mieli członkowie partii komunistycznej. Jednak był to rząd całkowicie zależny od ZSRS.

„Bez chęci zbliżenia...”

Bitwa o Budapeszt (grudzień 1944–luty 1945 r.) oznaczała walkę Węgrów po obu stronach frontu. Z tą różnicą, że o ile po stronie sowieckiej walczył niewielki oddział węgierski, liczący niewiele ponad 2 tys. żołnierzy, o tyle po stronie III Rzeszy walczyło 18 kompanii węgierskich ochotników, przeważnie członków partii strzałokrzyżowców Ferencza Szálasię, a także trzy dywizje węgierskich esesmanów: „Mária Terézia”, „Hunyadi” i „Gombos”. Węgry w czasie drugiej wojny światowej dali najwięcej ochotników w szeregach SS. Walczyła także 1. Armia Węgierska. Ogółem ponad 300 tys. żołnierzy węgierskich. Siły jednak były niewspółmierne. Budapeszt padł 13 lutego. Większość jego obrońców wycofała się w stronę Austrii i Czechosłowacji. Była to jedna z najbardziej krwawych walk drugiej wojny światowej. W czasie zdobycia węgierskiej stolicy Armia Czerwona straciła 320 tys. żołnierzy, w tym ponad 80 tys. zabitych. Były to straty większe od poniesionych przy szturmie Berlina. Tam według danych oficjalnych poległo 78 tys. czerwonoarmistów.

„Węgrów trzeba mocno ukarać...” – te słowa Stalina najokrutniej urzeczywistniły się po wojnie. Z przymusowej pracy w Związku Sowieckim powróciło po wojnie jedynie ok. 60 proc. deportowanych. Co najmniej 200–240 tys. Węgrów na zawsze pozostało na nieludzkiej ziemi. Stalin dopilnował, aby Węgry straciły wszystkie terytoria, które zostały włączone do państwa węgierskiego w latach 1938–1940. W 1944 r. w sowieckim ministerstwie spraw zagranicznych na polecenie Stalina została utworzona specjalna komisja pod przewodnictwem byłego ministra (ludowego komisarza) Maksima Litwinowa, w celu zbadania sprawy, jak najlepiej ukarać Węgry po wojnie. W dokumencie podpisanym przez Litwinowa czytamy: „Węgry były pierwszym państwem, które przyłączyło się do Paktu Antykominternowskiego. Ten kraj nigdy nie wykazywał najmniejszych chęci zbliżenia ze Związkiem Sowieckim. Na odwrót: uczestniczył we wszystkich intrygach antysowieckich... Węgry nawet nie pokwapiły się podać formalnej przyczyny swego udziału w wojnie”.

W rezultacie powojenne Węgry odbudowano jako małe państwo z 10 mln ludności. Ponad 3 mln Węgrów pozostało poza granicami własnego państwa: w Czechosłowacji, Jugosławii, Rumunii i Związku Sowieckim. Gdyby Stalin żył dłużej, trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób ukarano by Węgrów za antykomunistyczne powstanie w 1956 r...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Żołnierze węgierscy na froncie wschodnim FOT. ARCHIWUM

1945 r. / Kalkulacje Sowietów – protesty zachodnich mocarstw



Sowiecki żołnierz
w Szczecinie

FOT. SPUTNIK/EAST NEWS

Szczecin – kość niezgody



Piotr Semka

Po zakończeniu II wojny światowej nie było pewne, do kogo będzie należał Szczecin – do NRD czy PRL? Losy miasta ważyły się długo

Szczecin znalazł się w granicach Polski za czasów Mieszka I i Bolesława Chrobrego, a potem ponownie trafił pod władzę Piastów za rządów Bolesława Krzywoustego.

Przez kolejne 800 lat miasto było stolicą książąt z dynastii Gryfitów, miastem pruskim, szwedzkim bastionem u ujścia Odry, ponownie miastem pruskim i wreszcie jednym z planowanych punktów oporu III Rzeszy w 1945 r. „Festung Stettin” miała być elementem tzw. Linii Nibelungów ciągnącej się od

Pomorza przez Nową Marchię, Kłodzko, Ołomuniec do Bratysławy.

W mieście na przełomie lat 1944 i 1945 wybudowano aż 800 bunkrów, umocnień i przejść podziemnych – te ostatnie do dziś rozbudzą wyobraźnię pasjonatów tajemnic ostatniej wojny. Duża część Szczecina była wtedy już zburzona po alianckich nalotach w 1944 r. W powstałym 20 marca 1945 r. zespole fortecznym „Festung Stettin” zgrupowano 20 tys. żołnierzy. Większość mieszkańców miasta wysiedlono dla ułatwienia obrony miasta.



Te przygotowania do walk do końca na niewiele się zdały wobec szybkiego tempa posuwania się Armii Czerwonej i działających w jej ramach I i II armii ludowego Wojska Polskiego. Atak sowiecki na Szczecin zaczął się w nocy z 14 na 15 kwietnia i spowodował zajęcie terenów na południe od miasta aż do brzegu tzw. Odry wschodniej. Ciężkie walki trwały o zdobycie prawobrzeżnej dzielnicy Dąbie.

Gdy prawobrzeże Szczecina zostało zdobyte, wojska niemieckie – obawiając się okrążenia – same opuściły miasto. Przed wycofaniem się specjalne jednostki – Sprengkommando – wysadzały mosty, instalacje stoczniowe i najważniejsze urządzenia portu szczecińskiego. 25 kwietnia ostatnie oddziały niemieckie opuściły miasto.

Do dziś historycy zastanawiają się, dlaczego mimo koncentracji wojsk, silnego garnizonu obrony miasta i korzystnego położenia strategicznego (miasto otoczone jest odnogami Odry) lewobrzeżne dzielnice oddano tak szybko. 26 kwietnia 1945 r. Szczecin został zajęty przez sowiecką 65. Armię pod dowództwem gen. Pawła Batowa.

W ciągu połowy dnia – między ewakuacją Wehrmachtu a wejściem Rosjan – Szczecin był niczyj. W tym czasie wyszli z kryjówek niemieccy komuniści. Ich liderem szybko stał się Erich Wiesner, działacz komunistycznej KPD. Więziony po dojściu nazistów do władzy w obozach koncentracyjnych, w 1944 r., uciekł z obozu karnego w Wałczu i dotarł do Szczecina, gdzie ukrywał się u rodzin miejscowych komunistów. Gdy Wiesner zorientował się, że hitlerowcy opuścili miasto, skrzyknął znanych sobie komunistów. Z racji moskiewskiego stażu w Kominternie na przełomie lat 20. i 30. znał rosyjski i postanowił przygotować powitalne napisy na nadejście Rosjan.

Wiesner po latach wspominał tę chwilę tak: „Nasi towarzysze powychodzili teraz z piwnic i oficyn. [...] W największym pośpiechu zszyto duży transparent z czerwonego materiału. Jednocześnie inni towarzysze rysowali na białym

papierze duże rosyjskie drukowane litery, które po wycięciu przyczepili do czerwonego materiału. Litery te składały się w zdanie, brzmiące w niemieckim tłumaczeniu: „Witamy naszych wyzwolicielei Armie Czerwonej. [...] Nagle zobaczyliśmy przed transparentem dwóch żołnierzy radzieckich z przewieszonymi przez ramię karabinami. [...] Na twarzach obu żołnierzy widniało osłupienie, kiedy raz po raz czytali napis na transparencie”.

Sowieci szybko wykazali jednak podejrzliwość i inicjator powitania wraz z towarzyszami trafili pod klucz. Wiesner wspominał, że było gorzkim paradoksem, że dzień 1 maja spędził w areszcie Armii Czerwonej.

Rozpoczęła się fala gwałtów na Niemcach. Miasto płonęło starymi i nowymi pożarami, ale na kimś Rosjanie w zdobytym mieście musieli się oprzeć. Niemieckich komunistów, po udowodnieniu przez nich działalności w KPD, zaczęto stopniowo zwalniać i tworzyć administrację zajętą przez krasnoarmiejców miasta.

Na wieść o zdobyciu Szczecina do miasta ruszyła 27 kwietnia polska grupa operacyjna pełnomocnika Tymczasowego Rządu RP pod wodzą Bolesława Bieruta przy I Froncie Białoruskim, z kpt. LWP Wiktorem Jaśkiewiczem i Piotrem Zarembą – nominatem na polskiego prezydenta Szczecina. Do płonącego jeszcze miasta dotarli 28 kwietnia. W opustoszałym Szczecinie, z którego władze hitlerowskie same wyгнаły niemiecką ludność cywilną, było wówczas jedynie ok. 6 tys. Niemców i ok. 200 Polaków, którzy trafili do metropolii nad Odrą jeszcze w latach wojny jako robotnicy przymusowi. Zaremba zajął budynek dawnej pruskiej rejencji szczecińskiej na dzisiejszych Wałach Chrobrego i nakazał podnieść nad gmachem polską flagę. Za wiedzą sowieckiego komendanta miasta Aleksandra Fiedotowa Zaremba ogłosił przejęcie miasta przez państwo polskie dnia 29 kwietnia o godz. 14.15.

Niedługo potem do Szczecina dotarła misja poznańskich księży z zakonu chrystusowców z ks. Florianem Berlikiem. 8 maja w zakrystii spalonego kościoła katolickiego pw. św. Jana Chrzciciela odprawiona została pierwsza polskojęzyczna msza w powojennym Szczecinie. Jednocześnie Rosjanie tolerowali inaukurację w dniu 5 maja niemieckiego zarządu miejskiego Szczecina, który zaczął wydawać biuletyn „Freies Deutschland”.

Obie strony zaczęły wyścig w zasiedlaniu opustoszałego miasta. W ciągu dwóch tygodni mają do Szczecina przybyło ponad 4 tys. Polaków. Z kolei komuniści od Ericha Wiesnera wspierali jak mogli cichy powrót niemieckich mieszkańców miasta. W końcu maja Niemców będzie już 24,5 tys., a w czerwcu 1945 r. – ok. 83 tys.

Zygzałki Sowietów

Rząd Bieruta w swojej pewności, że Szczecin będzie przyznany Polsce, opierał się na obietnicach sowieckich z tajnego protokołu umowy rządu ZSRS z PKWN i na brzmieniu ogólnych ustaleń z Jałty. Problem polegał jednak na tym, że główna część Szczecina z centrum miasta leżała już za Odrą i Rosjanie nie byli do końca pewni, co z państwową przynależnością miasta począć. Obie strony – Polacy i Niemcy – uznali, że decydujące będą fakty dokonane. Niemieccy komuniści mieli przekonywać sowiecką komendanturę, że o wiele szybciej i sprawniej niż Polacy pomogą w ponownym uruchomieniu portu, stoczni oraz w demontowaniu fabryki paliw syntetycznych w Policach.

20 maja polskie władze zostały zobowiązane przez Rosjan do opuszczenia miasta. Komendant sowiecki nieoficjalnie poinformował wojewodę poznańskiego Feliksa Widy-Wirskiego o decyzji zwierzchników o przekazaniu władzy nad miastem Niemcom. Zarząd Zaremby wycofał się do Starogardu a potem do Koszalina. W końcu maja 1945 r. komendant Fiedotow oficjalnie mianował Ericha Wiesnera burmistrzem Szczecina.

Kolejną próbę powrotu Zaremba podjął 9 czerwca. Tak wspomina swoją ówczesną wizytę u komendanta miasta Fiedotowa: „Ustalono: celem [mojego – przyp. aut.] przybycia jest osiedlenie Polaków w Szczecinie. W tej akcji ma pomagać komendant wojenny. Według jego interpretacji do niego należy w tej chwili pełnia władzy w mieście – ona ma za zadanie w najszybszym czasie „uruchomić miasto”. Postawiłem od razu jasno, że nie jestem tu, aby stać jako urzędnik komendanta wojennego na równi z niemieckim »burmistrzem«, ale jestem prezydentem miasta z ramienia sprzymierzonego państwa”.

Erich Wiesner wysyłał do miasta ekipy z zaświadczeniami podpisanymi

■ przez niego jako „Stadtrata” z poleceniem ściągania do dzielnic zamieszkałych przez Niemców zapasów żywności i dobytku. Jednocześnie do Szczecina także w czerwcu przybywa z ramienia polskiego kościoła ks. rektor Kazimierz Świątliński, aby zorganizować polską służbę kościelną w mieście. Pierwszym „polskim” kościołem staje się dawny protestancki Garnisonkirche, który uzyskuje katolickie wezwanie Najświętszego Serca Pana Jezusa.

W swoim „Dzienniku 1945” pod datą 10 czerwca Zaremba tak opisuje swoje działania: „Pierwsza odprawa wszystkich przybyłych, jest ich [Polaków – przyp. P.S.] około 80 osób. Trochę więcej niż przy pierwszym przyjeździe! Instrukcje o zachowaniu się: unikanie zadrążeń, takt, brak zewnętrznej ostentacji. Daleko ściślej rozmowa z naczelnikami wydziałów i z aprowizacją. Jest z nią bardzo kiepsko”. Zaremba zauważa, że „nowe barki z Niemcami przyjeżdżają”, co jest sygnałem kontynuacji cichej akcji sprowadzania przedwojennych mieszkańców miasta.

16 czerwca 1945 r., w wyniku noty protestacyjnej Stanów Zjednoczonych, następuje ponowny exodus polskich władz do Koszalina. O statusie Szczecina ma zdecydować konferencja poczdamska zwycięskich mocarstw, która zacznie się 17 czerwca.

W tym czasie w mieście panowała wciąż atmosfera zagrożenia. Nieznani sprawcy podpalili stary ratusz szczeciński. Symboliczne dla ówczesnej dwuwładzy w mieście było to, że budynek gasili zarówno polscy, jak i niemieccy strażacy. O wiele aktów sabotażu obwiniano wówczas Wehrwolf, choć dziś historycy przychylają się do opinii, że pożary i strzelaniny wszczynali dezenterzy sowieccy i niemieccy rozbitkowie. Szybko pojawili się też polscy szabrownicy.

Konferencja poczdamska ustaliła wreszcie końcowy zarys zachodnich granic nowej Polski. Szczecin już oficjalnie może wywieszać bało-czerwone flagi.

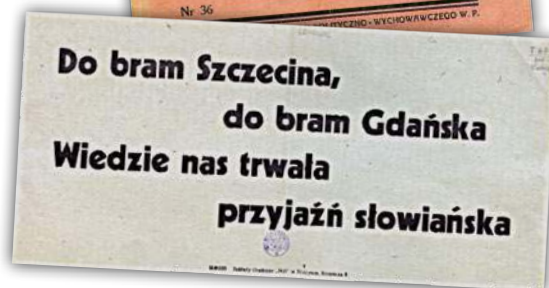
3 lipca marszałek Georgij Żukow w swojej siedzibie w berlińskiej dzielnicy Karlshorst oznajmia polskiej delegacji, że może obejmować miasto.

Piotr Zaremba tak wspomina szczegóły ustaleń:



5 lipca 1945 r. niemiecki zarząd Szczecina oddał władzę polskiej administracji

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



„Szczecin jest polski. Dotyczy to miasta samego, z tym że port na razie pozostaje w administracji komendanta rosyjskiego portu. Rosyjski komendant ma oddać władzę polskiemu komendantowi wojskowemu [...]. Zarząd Miejski będzie w ręku polskim, przejąć należy wszelkie agendy od Zarządu Miejskiego niemieckiego. Przejęciu podlega oczywiście cały aparat i zgromadzone rzeczy. Najczarniejszą stroną medalu jest to, że oczywiście my odtąd mamy żywić Niemców. Przejęcie ma się odbyć z pompą. Przy okazji krótka wzmianka o wysiedlaniu Niemców zza Odry”.

5 lipca na specjalnym spotkaniu doszło do przekazania władzy nad miastem z rąk niemieckiego zarządu. Burmistrzowi Wiesnerowi towarzyszyły 32 osoby z zarządu miejskiego. Po stronie

polskiej obok Zaremby było dwóch jego zastępców i 15 naczelników wydziałów. Niemcy unikali jakichkolwiek przemówień. Jak wspomina Zaremba, wszystko odbywało się w zimny, wyrafinowany sposób. Na pytania Wiesnera, już w trakcie pożegnalnych rozmów, czy w Szczecinie będzie mogła działać KPD i czy będą niemieckie szkoły, polskie władze zdecydowanie mówią: „Nie”.

Oficjalne obchody przejęcia miasta przeniesiono na 15 lipca 1945 r. – dzień rocznicy bitwy pod Grunwaldem. Po uroczystej mszy odprawionej przez ks. Kazimierza Świątlińskiego przed urzędem miejskim tłum Polaków znajdujących się w mieście przeszedł na dawny Kaiser-Wilhelm-Platz, który przemianowano na plac Grunwaldzki. Tego samego dnia obalono stojący jeszcze pomnik cesarza Wilhelma I na dzisiejszym placu Żołnierza Polskiego. Z jego spiżu wysłanego do Danii odlano na nowo pomnik księcia Józefa Poniatowskiego, który dziś stoi na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie.

W zawieszeniu

Szczecin jeszcze długie lata będzie miastem, którego mieszkańcy będą żyć w niepewności. 6 września 1946 r. w Stuttgarcie amerykański sekretarz stanu James Byrnes w słynnym potem przemówieniu do Niemców z zachodnich stref okupacyjnych nazwał granicę na Odrze „tymczasową”. W 1950 r. pewne uspokojenie nastrojów przyniósł podpisany 6 lipca 1950 r. traktat zgorzelecki Polski z NRD, potwierdzający granicę na Odrze i Nysie. W 1959 r. ostateczne osłabienie obaw przyniosła wizyta Nikity Chruszczowa w Szczecinie, w trakcie której sowiecki przywódca potwierdził trwałość zachodniej granicy Polski. Niemcy zachodni nie uznawali linii granicznej na Odrze i Nysie aż do 1970 r., gdy Willy Brandt podpisze 7 grudnia układ o normalizacji wzajemnych relacji z Władysławem Gomułą.

Gorzki paradoks sprawi, że niewiele ponad tydzień po tym pozytywnym dla Szczecina dniu miasto nad Odrą stanie się widownią krwawej masakry stoczniovców, którzy upomnieli się o swoją godność i zadowalający poziom życia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO



VEDYCJA NAGRODY

SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

MECENAS KONCERTU:



PARTNER



PARTNER WSPIERAJĄCY:



PATRONI MEDIALNI:





Leszek Lubicki

/ Legenda o Władysławie Łokietku ukrywającym się w jaskini może mieć bardzo wiele wspólnego z prawdą. Świadczą o tym zaskakujące przesłanki.

Zwiedząc „Grotę Łokietka” w Ojcowskim Parku Narodowym, turysta dowiaduje się od przewodnika o legendzie, która mówi, że tutaj skrył się książę Władysław Łokietek przed poszukującymi go wojskami Wacława II, króla Czech i Polski.

Dalej słuchamy opowieści o tym, że wejście do jaskini było zakryte pajęczyną, aby wróg Piasta myślał, że nikt do groty od dawien dawna nie wchodził. Księcia natomiast do środka wpuszczano od góry na linach. To tak w skrócie. Zwróćmy jednak uwagę, że mowa jest o legendzie. Obecnie jednak wcale nie jesteśmy przekonani, że to tylko legenda. Dwa lata temu serwis PAP podał informację mówiącą, że w owej legendzie mieści się część prawdy. Prowadzone w tamtejszych jaskiniach badania archeologiczne pod kierunkiem dr. Michała Wojenki z UJ rzucają nowe światło na to zagadnienie. Badacz powiedział dla PAP: „Do tej pory nie mamy bezpośrednich dowodów na obecność Łokietka w jaskini nazwanej jego imieniem. Jednak historycy z pewnym prawdopodobieństwem uważają, że legenda może być faktem”. W innym miejscu Wojenka dodaje: „Analizując wyniki badań wykopaliskowych, które przeprowadzono w jaskiniach Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej trudno jednak nie zwrócić uwagi na obecność zabytków pochodzących z szeroko rozumianych czasów Władysława Łokietka”.

Podczas prac prowadzonych w ponad dziesięciu jaskiniach regionu ojcowskiego odkryto fragmenty naczyń z przełomu XIII/XIV w. Ale nie te artefakty były najważniejsze. Odkopano bowiem ostrogi z boddcem gwiaździstym, okucie he-

raldyczne pasa rycerskiego czy pochwę miecza. Wszystko to znaleziono w blisko położonej od Groty Łokietka Jaskini Ciemnej. Znaleziska pochodzą z końca XIII i początku XIV w. Mamy zatem dowód, że w kilku jaskiniach przebywały grupy zbrojnych rycerzy w czasach kiedy Czesi polowali na Władysława. Dodatkowo odkryto także w ostatnich latach pieńniędże bite przez Wacława II. Jak mówi dr Wojenka: „Efekty ostatnich badań każą sądzić, że w legendzie o Łokietku ukrywającym się w jaskini jest coś więcej niż ziarno prawdy”. Wyniki swoich dociekań Wojenka opisał w szkicu, który ukazał się w „Studiach nad dawną Polską” (Gniezno 2017). Rozważania badacz kończy słowami: „W centralnej części dzisiejszego Ojcowa z inicjatywy syna Łokietka, króla Kazimierza III Wielkiego, wzniesiono wówczas okazałą warownię murowaną (...). Zamek ów przezwano Oczech/Ociec. (...) Nazwa ta, z czasem przerobiona na Ojów, to nazwa kommemoratywna - pamiątka tułających losów księcia Władysława”. Czyli syn uczcił ojca tak jak najlepiej umiał. Postawił na

jego cześć murowany zamek w okolicach miejsca, które zapewne z rozrzewnieniem ojciec wspominał.

Turyści XIX w.

W polskich kronikach pisanych po czasach Łokietka, przede wszystkim Jana Długosza, czy Janka z Czarnkowa przebywającego na dworze Kazimierza Wielkiego, nie znajdujemy żadnych informacji na temat ukrywania się „małego” księcia w jaskiniach. Trochę dziwi brak u Janka takiej wzmianki. Stykał się on z ludźmi, którzy służyli jeszcze staremu królowi. Przypuszcza się jednak, że podanie takie mogło powstać już w średniowieczu, a przekazywane było nie w formie pisemnej, ale w podaniu ustnym.

W XIX w. cały obszar, gdzie mieści się „Grotą Łokietka” stał się interesującym miejscem dla turystyki. Zaglądali tam także malarze. Jednym z nich był Wojciech Gerson. Córka artysty zapisała: „Kiedy indziej oto (...) idą na pieszą



Historia ukryta w obrazie
/ „Władysław Łokietek pod Ojcowem”

Król z groty



Wojciech Gerson: Władysław Łokietek pod Ojcowem, rok 1890, olej/plótno; wymiary: 61 x 91,7 cm, Lwowska Galeria Sztuki FOT. WIKIPEDIA

na przedstawiona na obrazie rozgrywa się przed jaskinią. Nawiązuje do legendy, choć stanowi jej autorską interpretację. (...) Chłopi, którzy zaopatrują księcia w żywność proszą go o opuszczenie kryjówek i kontynuowanie walki o tron. Przyboczny nasłuchuje, czy nie nadciąga pogoń”.

Wiadomo choćby od Długosza, że chłopi wspierali Łokietka i „miał wojsko pełne raczej wieśniaków niż rycerzy”. I wcale nie musieli go prosić o „kontynuowanie walki o tron”, bo książę od wielu lat nic innego nie robił. W 1304 roku Łokietek podejmuje piątą już od lat piętnastu wojnę o objęcie władzy w Polsce. Jak to się jednak stało, że musiał chronić się przypuszczalnie w ojcowskich grotach?

Mało znaczące ksiąźtka kujawskie dopiero w wieku 29 lat zaczęło coś w Polsce znaczyć. Największą aktywność Władysław rozpoczął po tragicznej śmierci króla Przemysła II w roku 1296. Wtedy to możni Wielkopolski obrali go sobie za władcę, a on począł się tytułować „dziedzicem Królestwa Polskiego”. Jednak nie trwało to zbyt długo, bowiem jak zauważa Jan Baszkiewicz, „w tym nader korzystnym położeniu natychmiast odezwały się obie zmory polskiego trzynastego wieku: anarchia książęca i zewnętrzna ekspansja”.

Łokietek był atakowany z trzech stron, jednak najbardziej przez Piastów, Henryka głogowskiego. Obaj chcieli korony. Z tej bijatyki Piastów skorzystał król Czech, Wacław II. W 1300 roku obalił Łokietka. Zaraz też, w listopadzie tego roku koronował się na króla Polski. Pod swoim berłem skupił prawie całą „Polskę książęcą”. Władysław pozbawiony poparcia w ojczyźnie, musiał z niej uchodzić. Tak do końca nie wiadomo, gdzie się udał. Uważa się, że mógł być w Rzymie i spotkać się z papieżem. Bonifacy VIII nie przepadał za Przemysłidami, bowiem Wacław II chciał także objąć tron na Węgrzech, a papież widział tam zaprzyjaźnionych z nim Andegawenów w osobie Karola Roberta. Ten rozpoczął walkę o tron. Do niego później miał udać się „mały” książę. Karol jednak zajęty swoimi sprawami, nie mógł mu udzielić pomocy. Udzielili mu jej za to magnaci węgierscy. Łokietek wraca do Polski w końcu 1304 roku. Bardzo szybko zajmuje Wiślicę i całą ziemię sandomierską. Przybywa mu zwolenników - po kilku latach sprawowania władzy przez Wacła-

wa II narosła do niego niechęć, bowiem król „opierał się na wszystkim, co było niepolskie w Polsce”.

Władysław opanowuje wiele ziem, ale dalej jest tropiony przez wojska królewskie. Jak opowiada współczesna kronika - „musiał jak wąż chronić się Czechów. Nie zważając na deszcz, na mgły i śniegi, miewał często posłanie na ziemi i znosić musiał żołnierskie niewygody, błakając się po lasach i bezdrożach, prześladowany ciągle przez starostów czeskich”. Odtąd prawowitego pretendenta do korony wywodzącego się z domu piastowskiego usilnie wspiera naród. Jeszcze za życia Wacława II Piast zajmuje kawał Polski tytułując się księciem krakowskim i sandomierskim. Przypuszczać należy, że ukrywania się Łokietka w jaskiniach należy datować na 1305 r. Mówi się także i o roku 1306, już po śmierci Wacława II, kiedy książę szykował decydujące uderzenie na Kraków.

Archeologia!

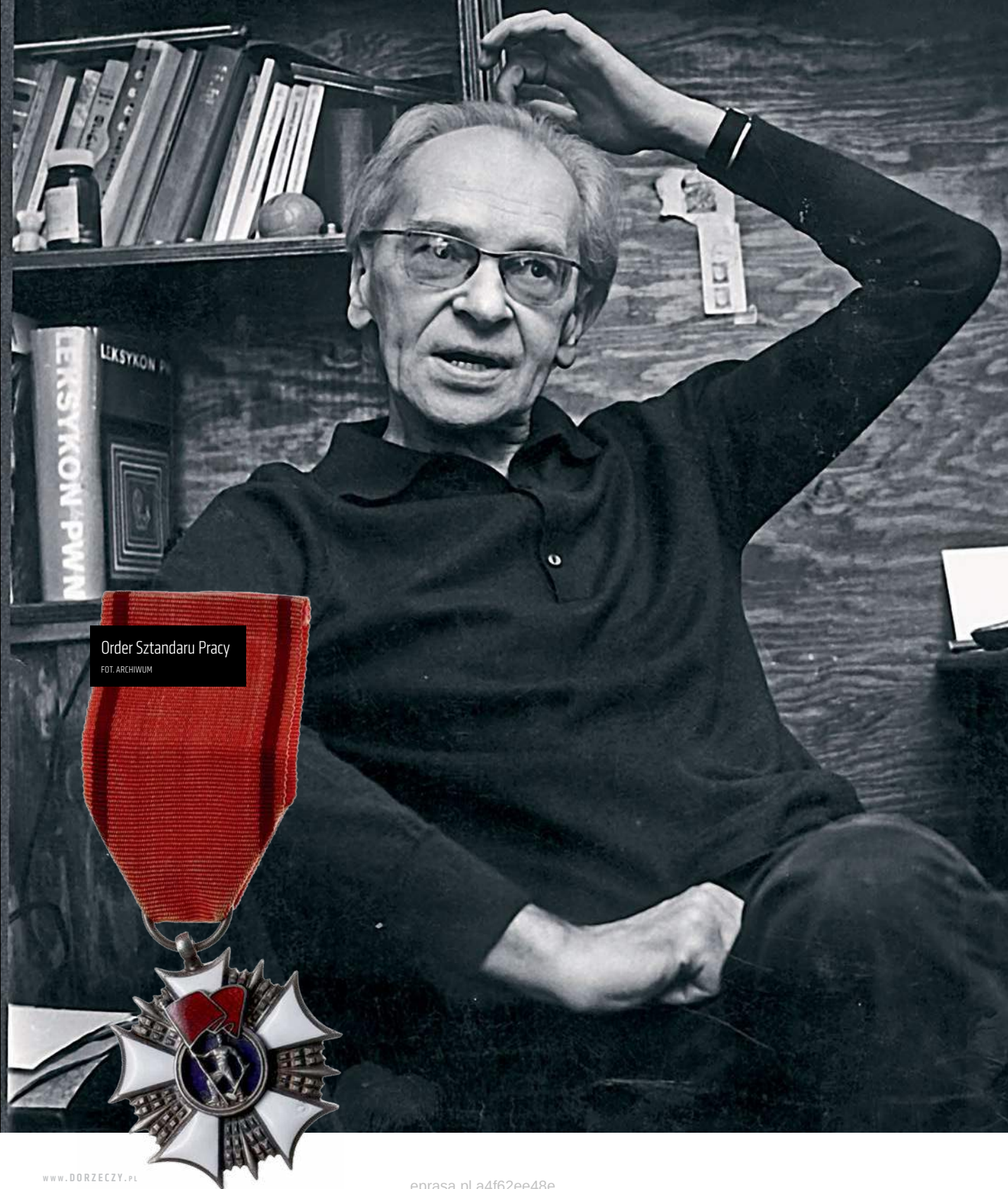
Następca króla, Wacław III, planuje osobiście stanąć na polskiej ziemi. Nie udaje mu się. Zostaje skrytobójczo zamordowany w Ołomuńcu. Piast jest już wówczas panem ziem: krakowskiej, sandomierskiej, sieradzkiej, łęczyckiej, kujawskiej i części Wielkopolski. Droga jednak do korony, którą Władysław I Łokietek założył na skroń w 1320 roku, jest jeszcze długa i usłana niezłomnymi, ale i mało chwalebnyymi działaniami... jednak to już inna historia.

Nadszedł chyba czas, by przewodnicy po „Grocie Łokietka” zaczęli opowiadać o najnowszych wynikach badań archeologicznych, z których to może wynikać, że to nie tylko to legenda. Że dawano, dawno temu, książę Łokietek ukrywał się w tutejszych jaskiniach i czekał sposobności, aby obalić obcego nam króla i objąć tron przynależny rodzimej piastowskiej dynastii. Bo przecież - jak pisał Paweł Jasienica - „nie wolno lekceważyć (...) ani też beztrząsco skreślać wszystkiego, o czym opowiada tradycja czy nawet legenda. Od takich praktyk powinna nas była oduczyć archeologia, operująca materialnymi dowodami prawdy. Nie raz jeden zdarzyło się jej namacać w ziemi rzeczywisty fundament... legendy”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

wędrówkę po kraju. (...) dotarli wreszcie do Ojcowa i ku zdumieniu miejscowej ludności, kalkulującej, >>co te mizimetry opisują<< - rozeszli się po dolinie i, rozłożywszy skrzynki malarskie, zabrali się do roboty”. Gerson musiał wówczas usłyszeć od miejscowych przewodników legendę o Łokietku. Dodatkowo jako osoba wysoce jak na tamte czasy wykształcona, zapewne znał słowa zapisane w 1842 roku przez Hugo Kołłątaja, że „grota miała wziąć nazwisko od tego, iż Władysław Łokietek, będąc przymuszony opuścić królestwo, ukrywał się w niej przez czas niejaki: co jest tradycją między pospólstwem...”.

Być może już wtedy zakwitł mu pomysł, aby opisać pędzlem ukrywanie się Łokietka w ojcowskich grotach. Poświęca temu tematowi aż cztery obrazy, ukazując Piastów w różnych ujęciach. Do naszych czasów zachowały się dwa dzieła. Jedno z nich „Łokietek na wygnaniu wśród ludu” znajduje się w Muzeum Narodowym we Wrocławiu. O interesującym nas tutaj płótnie „Władysław Łokietek pod Ojcowem” tak pisze Piotr Marczak: „Sce-



Order Sztandaru Pracy

FOT. ARCHIWUM

1909–1983 / Jerzy Andrzejewski

Odczytywanie popiołów



Krzysztof Masłoń

/ Inspiratorem napisania „Popiołu i diamentu” był Jakub Berman. Słynną książkę Jerzego Andrzejewskiego powszechnie nazywano „Gówno i zamęt”

Dzisiaj, 37 lat po śmierci autora „Popiołu i diamentu”, czterotomowe wydanie jego „Próz wybranych” zamyka posłowie, w którym Andrzej Skrendo przypomina inną znamienną wypowiedź o tym samym pisarzu – z roku 1997, kiedy to, niemal w przededniu 15. rocznicy śmierci Andrzejewskiego, Andrzej Wajda powiedział o nim: „Nie znam nikogo, kto popełniając takie błędy, potrafił odejść od nich tak daleko, kto gotów był na zburzenie całego warsztatu twórczego, który przez lata doskonalili, aby zaczynać wszystko od początku, jak w wypadku »Miazgi«”.

„Zostawmy na razie na boku »Miazgę« – kontynuuje wywód Andrzej Skrendo – chodzi o formułę »za każdym razem zaczynał wszystko od początku«. Wyznacza ona sugestywną perspektywę spoglądania na twórczość Andrzejewskiego. Ciekawą tu i teraz – bo powrót do Andrzejewskiego uda się tylko wtedy, jeśli w cokolwiek już zastygłych kształtach uda się dostrzec ożywiający wewnętrzny ruch”.

Czy po lekturze „Próz wybranych”, a raczej po przypomnieniu ich sobie, bo przecież niemal wszystkie teksty pomieszczone w tych czterech tomach czytałem już, i to wielokrotnie, odnala-

złem ślad choćby owego „ożywiającego wewnętrznego ruchu”? Muszę odpowiedzieć przecząco.

Na „Prozy wybrane” Jerzego Andrzejewskiego w najnowszej edycji PIW składają się: opowiadania w liczbie 17 z lat 1933–1975, przedwojenna powieść „Ład serca”, trzy głośne swego czasu prozy na ogół wydawane razem: „Ciemności kryją ziemię”, „Bramy raj” i „Idzie, skacząc po górach”, powieść „Miazga” oraz ujęte w tomie ostatnim cztery prozy z lat 1967–1981: „Apelacja”, „Teraz na ciebie zagłada”, „Już prawie nic” i „Nikt”. Czego tu nie ma? No, oczywiście „Aby pokój zwyciężył” (1950) czy „Partii i zadań pisarza” (1952), ale nikt o zdrowych zmysłach nie będzie z tego powodu lamentował. Choć warto w tym miejscu odwołać się do Jacka Trznadla, który zbierając materiały do „Hańby domowej”, zdążył jeszcze przepytac samego Andrzejewskiego, ale na autoryzowanie wywiadu było już za późno.

Znalazła się w nim interesująca wypowiedź pisarza odnosząca się do jego udziału w stalinizmie: „[...] gdyby pan mnie w tej chwili spytał, czy żałuję, że należałem do partii, to powiedziałbym, że absolutnie nie. Wprost przeciwnie, uważam, że się przez te kilka lat bardzo wiele nauczyłem naprawdę, marksizmu,

dialektyki marksistowskiej. Wtenczas się mówiło: marksizm-leninizm-stalinizm. Dialektykę tego wszystkiego poznałem naprawdę dobrze. Napisałem książkę, która nawet w encyklopedii została pominięta, jak wszystkie moje utwory publicystyczne z tamtego okresu. Oficjalnie wyparto się moich tamtych utworów. Ja się ich nie wypieram ani mojej książki »O człowieku radzieckim«, ani zresztą mojej książki »Partia i twórczość pisarza«. Napisałem je bardzo szczerze, a »Partia i twórczość pisarza« ma nawet pewne akcenty, można powiedzieć, modlitewne. Ale ja rzeczywiście ten mechanizm poznałem dobrze i myślę, że człowiek współczesny, bez względu na to, jaki fach uprawia, a już na pewno, jeśli ma być artystą i rościć sobie pewne prawa do miana intelektualisty, musi znać dobrze właściwie dwie sfery: sferę kościoła katolickiego i sferę marksizmu. Sferę marksizmu, to znaczy: znać dobrze Rosję”.

I jeszcze jeden cytat: „Wiara w marksizm-leninizm-stalinizm? No, widzi pan, każda wiara nakłada na oczy pewne chomąto. Żle powiedziałem, to nie chomąto, okulary. To jest stan narastającej katarakty. Jak pan wie, katarakta, zaćma, musi dojrzeć, żeby ją można było operować. Aż doprowadza to do radostanu, krótkiego stanu przed operacją ślepoty. Tylko tym mogę to sobie tłumaczyć”.

W każdym razie niepodobna zapomnieć, że ponoć gdy pisarz przyjmowany był w 1950 r. w Szczecinie do partii, przewodniczący zebrania miał orzec: „Partia ma zaszczyt przyjąć Jerzego Andrzejewskiego”. A wtedy zagrział Wiktor Woroszyński: „To Jerzy Andrzejewski ma zaszczyt, że partia go

„przyjmuje”. Ot, taki przykład charakterystyczny dla poetyki pewnej epoki. A Jerzy Andrzejewski z PZPR wystąpił w listopadzie 1957 r., po tym, jak władze cofnęły zezwolenie na wydawanie pisma „Europa”, którego miał być redaktorem naczelnym. Wraz z nim z partią pożegnali się wtedy m.in.: Mieczysław Jastrun, Adam Ważyk, Juliusz Żuławski, a także Stanisław Dygat.

Najbardziej znaczącą absencją w wydaniu „Próz wybranych” jest, oczywiście, nieobecność tu „Popiołu i diamentu”. Chciałoby się rzec, na szczęście tego – jak go nazywała Maria Dąbrowska – „paszkwilu na młodzież polską, na Polskę w ogóle, nazywanego powszechnie »Gówno i zamęt«” oszczędzono nam. Wielkonakładowych nakładów powieść ta miała w PRL tak wiele, że wystarczy. Pozycję Andrzejewskiego jako autora tego właśnie tytułu, który na lata stał się obowiązkową lekturą szkolną, umocnił jeszcze film Andrzeja Wajdy z 1958 r. – jak powiada Andrzej Skrendo – „dużo lepszy niż książka”. Taka też jest powszechna opinia, z którą akurat nie do końca się zgadzam: paszkwil bowiem pozostaje paszkwilem, nawet z rolą jakby z zupełnie innej epoki Zbigniewa Cybulskiego.

Swoją drogą cytowany już Marek Hłasko wychwalał „Popiół i diament” zdecydowanie ponad jego miarę, nazywając go zresztą „swoją ukochaną książką”. No cóż, w dzisiejszych czasach, gdy oddajemy zasłużoną cześć Żołnierzom Wyklętym, powieść ta nie broni się w żaden sposób. To Zbigniew Herbert wskazał na Jakuba Bermana jako na inspiratora i, w jakimś sensie, mecenasa „Popiołu i diamentu”: „Co oferowała ta władza? Boską rangę, rolę demiurga. Andrzejewski mi opowiadał, że zaprosił go Berman i chodził nerwowo po pokoju, stawał przed oknem i mówił: temu krajowi grozi wojna domowa. Czyli podał mu temat »Popiołu i diamentu«. – Tylko pisarz tej miary, tego talentu, wielkiego, jak pan, może...”. Okazało się, że mógł.

Z opowiadań Andrzejewskiego pomieszczonych w pierwszym tomie „Próz wybranych” zwróciłem uwagę na brak „Wielkiego tygodnia”, opowiadania o Holokauście z tomu „Noc”, w 1995 r. sfilmowanego przez, a kogoż by innego, Andrzeja Wajdę (skręcił także mało znane „Bramy rajy”). Opowiadanie było słuszne i niekoniecznie prawdziwe, film

podobnie lub jeszcze bardziej. Nie ma także w PIW-owskim wydaniu „Ucieczki”, z której – zdaniem Hłaski – „idioci z Filmu Polskiego [...] nawet przy ich całkowitej i wręcz zastanawiającej nieumiejętności, jeśli chodzi o robienie filmu – mogliby zrobić najwspanialszy film o wojnie. Nawet pułkownik i profesor Aleksander Ford nie mógłby sieprzyć »Ucieczki«, a przecież on potrafi sieprzyć wszystko”. Hłasko jednak miał wyraźnie słabość do kochającego się w nim Andrzejewskiego.

W burzliwą noc

Dzisiaj lektura utworów autora „Miazgi”, niestety, rozczarowuje. Osobiście przeżyłem niemiłe zaskoczenie, czytając po latach jedno z jego najgłośniejszych

Zbigniew
Cybulski i Adam
Pawlikowski
w „Popiole
i diamencie
Andrzeja Wajdy”

FOT. FOTOTEKA



opowiadań „Apel”, które w swoim czasie zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Obecnie, niestety, cudowne przywrócenie wiary w człowieka po usłyszeniu przez katowanego człowieka z ust jego oprawcy słowa „Kamerade!”, w odpowiedzi na to samo słowo przez niego wyszeptane, wywołuje nie tylko wątplenie, lecz także sprzeciw. A był „Apel” bodaj pierwszym z utworów w naszej literaturze, którego akcja dzieje się za bramą z napisem „Arbeit macht frei”. Opowiadanie krytykowano głównie za nadmierną moralistykę, ale także za niepełną zgodność z oświecimijskimi realiami, których pisarz nie znał przecież. Znał już jednak bądź dopiero przezuwał przysłą rangę nowo odkrytego słowa: „Towarzyszu!”.

Na pewno za to dobrze, że przypomniany został „Ład serca”, powieść z roku 1938. Powieść katolicka, dobrze przyjęta i na-

gradzana, a po latach – w innych czasach – schlastana przez Artura Sandauera. Ów rzekomo bezkompromisowy krytyk pisał:

„Ktokolwiek pamięta kuchenną literaturę dwudziestolecia, wszystkich tych Staśków, Mniszkówny, Zarzyckie, odnajdzie w »Ładzie serca« znane już sobie skądinąd elementy. Akcja, umiejscowiona na egzotycznych kresach, rozgrywa się – żeby było jeszcze straszniej – w burzliwą noc, podczas której w chatce pod lasem kona przywalony drzewem gajowy. Jest tam stary dziedzic i jego rozwiąły synalek: jest niecny karczmarz-stręczyciel; jest prostytutka oplakująca swe utracone bezpowrotnie dziewictwo; jest bandyta szukający zapomnienia w alkoholu; jest czyste pachole, którego zadumany wzrok zdradza, że wyrośnie z niego poeta; jest ksiądz, duch opiekuńczy powieści; jest wreszcie bożyszcze filmów międzywo-

jennych, przystojny posterunkowy. Sęk w tym, że publiczność ówczesna, pożerająca tego rodzaju utwory z zapartym tchem, już się wstydziła do tego przyznać. Chwył, który zapewnił »Ładowi serca« powodzenie, polegał na tym, że zachowując wszystkie elementy literatury kuchennej, które dawały czytelnikowi wstydliwie tajone zadowolenie, autor dorzucał zarazem inne, które pozwalały mu tę przyjemność uzasadnić w sposób głębszy... spreparował taką mieszkankę jawnej szmiry i literatury niby to poważnej, aby przeciętny inteligent międzywojenny mógł w niej gustować – bez zażenowania”.

Chciałoby się nazwać te słowa serwitutem Sandauera wobec komunistycznych wymagań, a jednak trudno te, z pewnością nie do końca sprawiedliwe, uwagi zlekceważyć. Powiedziałbym, że jest to powieść „z myszką”.

Trudno doczytać się nowych sensów w takich prozach jak „Bramy raj”, „Idzie, skacząc po górach” czy „Ciemność kryją ziemię”. Najbardziej ciekaw jestem przyjęcia „Miazgi”, osławionej powieści, która miała przynieść autorowi wiekopomną sławę, a najzwyczajniej ukazała się za późno, nie trafiając w swój czas. Stało się tak po części z winy autora, głównie jednak z powodów przez niego niezawinionych. Ale stało się.

Arcydzieło?

Legendę „Miazgi” budowały nade wszystko – pisał Tomasz Burek – „oczekiwanie i nadzieja, że w sprezentowanych czytelnikom [...] wyimkach kryje się zapowiedź arcydzieła. Jedni oczekiwali powieści o polskiej współczesności, powieści-przestrogi, powieści-wielkiej dyskusji politycznej jak u Żeromskiego w »Przedwiośniu«. Inni mieli na uwadze powieść z kluczem, krzyżówkę środowiskowo-porachunkową, wielką plotkę, zapewne, ale i powieść demaskatorską o elicie i nietykalnych rewirach władzy, korzystającą z doświadczeń Nałkowskiej, Kadena, Brezy... Byli wreszcie i tacy, którzy spodziewali się od Andrzejewskiego powieści intelektualnej na wzór mannowskiego »Faustusa«”.

Właściwie nie można się dziwić, że tak wygórowanym oczekiwaniom „Miazga” nie mogła sprostać. A przecież po części jest ona tym wszystkim i dzisiaj. Owszem, żyjemy w innym świecie i, przede wszystkim, w innej Polsce, ale ta powieść jest wciąż – tak mi się przynajmniej wydaje – nie do końca zrozumiana i, paradoksalnie, niedoceniona. Nie spełniając bowiem nadziei w niej pokładanych, zraziła do siebie potencjalnych eksploratorów tajemnic, jakie skrywa.

Jeśli chodzi o prozy ostatnie, to – niestety – nie potrafiłem odnaleźć w nich niczego, co zmieniłoby moje (i nie tylko moje) wcześniejsze odczucia. A przypominę tu jedynie uwagę Andrzeja Kijowskiego z 1975 r.: „[...] okropnie się zgniewał na wszystkich, którym nie podobały się opowiadania o Ablu [»Teraz na ciebie zagłada« – przyp. K.M.J.]. Wam trzeba Brylla... trochę uszlachetnionego Brylla... Tylko na to zasługujecie... prawda, prawda, prawda... – powtarza – prawda w nieskończoność, aż mu głos zanika”.

I wciąż z tych próz najbliższa mi jest „Apelacja”, jeszcze z 1967 r., o której Stefan Kisielewski, na ogół krytyczny wobec Jerzego Andrzejewskiego, tak pisał: „Nie chcieli tego wydrukować w »Twórczości«, facet zgniewał się i posłał za granicę. Rzecz dzieje się w łagodnym domu wariatów, gość cierpiący na manię prześladowczą pisze list do pierwszego sekretarza, opisujący całe swoje życie i apelujący o pomoc. Pisane jest ciurkiem, bez kropek i przecinków, osobliwym stylem pół urzędowym i pół inteligenckim. Z początku mi się nie podobało, potem mnie jednak wzięło, jest tu coś z polskiego powojennego życia, mocno chwycone, coś, co nie dałoby się wyrazić inaczej”.

No właśnie, w tych samych „Dziennikach” Kisiel po przeczytaniu „Miazgi” stwierdził: „Że też, kiedy już mamy wieszczą, musi to być osobliwy Narcyz, przepuszczający wszystko przez pryzmat swej mimozowatej natury! Budzi niechęć, choć i podziw – kawał roboty jednak zrobił!”.

„Andrzejewski jako osoba publiczna to jedno – słusznie akcentuje Andrzej Skrendo – a Andrzejewski jako osoba prywatna – to drugie. A dwie te osoby, oba wcielenia pisarza, pozostawały w nieustannym konflikcie. Andrzejewski prywatny to człowiek zagubiony w polityce, bardzo odważny i zarazem niekonsekwentny. Do tego na wiele sposobów inwigilowany przez SB. Pograżony przez co najmniej ostatnie 20 lat życia w nałogu alkoholowym, oddany kolejnym dramatycznym homoseksualnym romansom, unieszczęśliwiający rodzinę”. Tak, ale nazwisko tego urodzonego w 1909 r. prozaika przywoływane jest nie tylko przy wskazywaniu najważniejszych pisarzy okresu PRL, lecz także

najbardziej niepokornych. Był przecież współtwórcą polskiej opozycji demokratycznej, sygnatariuszem m.in. Listu 34 w obronie wolności słowa i Memoriału 101 opowiadającego się przeciw projektowanym zmianom w konstytucji. W 1968 r. w otwartym liście do prezesa Związku Pisarzy Czechosłowackich Eduarda Goldstückera protestował po najeździe państw-członków Układu Warszawskiego (w tym Polski) na Czechosłowację, a w 1976 r. należał do wąskiego grona współzałożycieli Komitetu Obrony Robotników. To ostatnie stało się jego największym tytułem do chwały, za co też odznaczony został pośmiertnie, w 2006 r., przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

„Jerzy Andrzejewski, jeśli nauczał – zanotował w dzienniku 1 stycznia 1970 r. Krzysztof Mętrak – to tylko tego: nie można się usprawiedliwiać czy rozgrzeszać historią lub warunkami. Historia niczego nie określa do końca”.

„Zna pan tę legendę – powiedział Andrzejewski w rozmowie z Jackiem Trznadlem w 1981 r. – przekazywaną z pokolenia na pokolenie, że dzieło pisarza przechodzi przez czyściec i potem dopiero będzie zdecydowane, czy pójdzie do piekła czy do nieba. Oczywiście, większość idzie do piekła. Piekłem w tej dziedzinie jest zapomnienie. Tylko wybrani dostaną się do nieba pamięci”.

Przeprowadzał też prostą linię od „Popiołu i diamentu” do „Miazgi”, z czym trudno się pogodzić. „[...] na to pytanie Norwidowskie, to przeciwstawienie, czy zostaną tylko popioły, czy także na dnie tych popiołów gwiazdy – diament, odpowiedzią jest »Miazga«”. Tyle że odpowiedzią niesatysfakcjonującą, niezadowalającą.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Autor tej książki, pogłębiającej wiedzę o często wspominanym – nie zawsze ze znajomością rzeczy – tzw. planie Marshalla, jest amerykańskim ekonomistą średniego pokolenia, autorem licznych publikacji na tematy gospodarcze i redaktorem magazynu „International Finance”. Tym razem nie napisał jednak analizy ekonomicznej, lecz książkę na wskroś polityczną. Nie powinno to dziwić: plan Marshalla miał przede wszystkim polityczny cel powstrzymania ekspansji sowieckiej w Europie. Polskiemu czytelnikowi niedobrych emocji może jednak przysporzyć przedstawienie historii tamtego okresu, a jeszcze bardziej – wnioski, jakie autor wysnuwa na dziś. Polska jawi się tylko jako przegrana karta w grze przetargowej największych mocarstw. Sentymenty się nie liczą.

Tak jak linia Curzona z 1920 r. powinna nazywać się linią Philipa Kerra (doradcy brytyjskiego premiera), a jeszcze lepiej – autentycznego twórcy jej koncepcji Lewisa Namiera (Ludwika Namierowskiego, polskiego Żyda, urzędnika Foreign Office), tak plan Marshalla winien raczej nosić nazwiska Deana Achesona i George’a Kennana. Sekretarz stanu USA gen. George Marshall istotnie współtworzył zimnowojenną doktrynę prezydenta Harry’ego Trumana, a 5 czerwca 1947 r. ogłosił, podczas przemówienia na Uniwersytecie Harvarda, Program Odbudowy Europy nazwany planem Marshalla. Jednak solidne podwaliny pod zmianę ugodowej wobec Sowietów polityki amerykańskiej położyli właśnie Kennan – urzędnik Departamentu Stanu i ambasador USA w Moskwie – a także Acheson, wybitny prawnik, zastępca, a wkrótce następca Marshalla na stanowisku sekretarza stanu.

Rozwój wydarzeń, które zadecydowały o kształcie powojennej Europy, Steil przedstawia zgodnie z faktami, krytykując przeświadczenie Roosevelta o możliwości budowy bezpieczeństwa i demokracji wraz z Sowietami Stalina, a nawet identyfikując agentów sowieckich w najbliższym otoczeniu prezydenta. Słusznie zauważa, że na początku 1946 r. mowę Churchilla w Fulton poprzedziło napastliwe wobec „zachodniego imperiaлизmu” przemówienie Stalina w Teatrze Bolszoj (6 lutego) oraz depesza Kennana, w której zalecał stosowanie „logiki siły” wobec Moskwy. Trumana autor nie ceni



Prezydent Harry Truman podpisuje plan Marshalla

FOT. GEORGE C. MARSHALL FOUNDATION

Książka miesiąca / Z etykietką Marshalla

Reanimacja Zachodu

nazbyt wysoko, bo nazbyt długo jednak trwało, zanim przeszedł od Rooseveltowskiej utopii do doktryny powstrzymywania Rosjan.

Parokrotnie autor wspomina o rosyjskiej przemocy wobec Polski i Czechosłowacji, „tych szlachetnych narodów”. Jednak o ile Czechosłowację można było aż do 1948 r. uratować, o tyle z Polski już wcześniej USA słusznie zrezygnowały. Takie było stanowisko Kennana, które autor – jak się wydaje – podziela. Sukces planu Marshalla, który wspomógł i zintegrował Europę Zachodnią, prowadząc do powstania UE i NATO, wymagał – używając terminologii szachowej – „oddawania pionków”. Takim pionkiem była Polska. Czy jest nadal?

Steil pisze na koniec: „plan Marshalla został zapamiętany jako jedno z największych osiągnięć amerykańskiej polityki zagranicznej nie tylko dlatego, że był wizjonerski, ale głównie dlatego, że zadziałał. Stało się tak, ponieważ Stany Zjednoczone dopasowały politykę do interesów i możliwości w Europie, akcep-

tując realną strefę wpływów rosyjskich, której granic nie mogły przekraczać bez poświęcenia wiarygodności i społecznego poparcia. Wielkie osiągnięcia mężów stanu muszą być głęboko osadzone w realizmie, nie tylko w idealizmie. Tę lekcję musimy ponownie odrobić”.

Ponieważ wcześniej autor opisuje rozszerzenie na wschód UE i NATO w ostatnim ćwierćwieczu jako niemal krzywdę wyrządzoną Rosji, ostatnie słowa książki brzmią dla nas złowieszczo. W każdym razie „Plan Marshalla” warto przeczytać. Wiele można się dowiedzieć, a przy okazji – pozbyć złudzeń. ©©

Maciej Rosalak



BENN STEIL
„PLAN MARSHALLA”
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Przesiedleni do piekła

Wiosną 1940 r. bolszewicy postanowili dokonać „oczyszczenia” pasa przygranicznego. Cóż kryło się pod tym eufemizmem? Brutalne wysiedlenie ludności cywilnej żyjącej tuż przy sowiecko-niemieckiej linii demarkacyjnej przebiegającej przez środek Polski. Gospodarstwa tych ludzi zostały spalone i zrównane z ziemią.

Część wysiedleńców trafiła na Sybir i do Kazachstanu, ale innych skierowano na bliższe tereny. Między innymi na Wołyń. Stały tam puste gospodarstwa po niemieckich kolonistach – których Hitler ewakuował na Zachód – oraz domy pozostawione przez nieszczęśników wywiezionych na Białe Niedźwiedzie. Na wschodni Wołyń trafili Polacy z wiosek w okolicach Leska, Przemyśla i Sanoka. Ludzie ci przetrwali na nowym miejscu okupację sowiecką, a potem niemal dwa lata okupacji niemieckiej. Aż wreszcie nadszedł straszny rok 1943. Przesiedleni Polacy nagle znaleźli się w epicentrum banderowskiego ludobójstwa. Zginęło co najmniej 288 z nich.



Tę zapomnianą zbrodnię zbadał i opisał znakomity historyk rzeszowskiego IPN Tomasz Bereza. Autor rzetelnej i wyważonej monografii zbrodni w Piskorowicach. Bereza w swojej nowej pracy opublikował 22 unikalne dokumenty dotyczące sowieckiej deportacji i tragicznych losów jej ofiar.

Historyk zwrócił również uwagę na to, że wśród deportowanych na Wołyń znaleźli się mieszkańcy wsi Bartkówka. Co najmniej 113 z nich zostało zgładzonych przez UPA.

TOMASZ BEREZA
„PRZESIEDLENI
NAD SANU –
ZAMORDOWANI
NAD HORYNIEM”

IPN

Ocalali po zakończeniu rzezi uciekli z Wołynia i wrócili do swoich starych gospodarstw. I tam opowiedzieli o straszliwych mordach UPA. Dwa lata później, 3 marca 1945 r., 30 mieszkańców Bartkówki wzięło udział w masakrze ukraińskich cywili dokonanej przez poakowski oddział Józefa Bissa w sąsiedniej Pawłokomie. Zdaniem Berezy mieszkańcy Bartkówki zapewne mścili się na swoich ukraińskich sąsiadach za to, co spotkało ich ze strony innych Ukraińców na Wołyniu. Oczywiście nie usprawiedliwia to sprawców. Pozwala jednak zrozumieć ich motywację. ©© (p.z.)

Waleczne kobiety

Nie chciały być matkami, żonami, wdowami Polkami. „Gdy miałam lat jedenaście, postanowiłam zgłosić się, jak będę duża, do jakiejś organizacji mającej na celu walkę orężną dla uzyskania niepodległości” – wspominała Zofia Plewińska. Wyłamały się ze stereotypu, biorąc przed wybuchem pierwszej wojny światowej udział w ćwiczeniach strzeleckich, znalazły się, przybierając męską tożsamość, w Legionach Polskich, były kurierkami, wywiadowczyniami, członkiniami Polskiej Organizacji Wojskowej. Plewińska jako „Leszek Pomianowski” służyła w Pierwszej Brygadzie Piłsud-

skiego. Jest jedną z autorek wspomnień zamieszczonych w książce. Niepodległościowe zaangażowanie kobiet w dużej mierze wpłynęło na to, że panie uzyskały w 1918 r. prawa wyborcze. ©© (t.s.)



**OPRAC. KAMIL PISKAŁA,
MARTA SIKORSKA-KOWALSKA**
„KOBIECY NIEPODLEGŁOŚCI.
WSPOMNIENIA Z LAT
1910–1918”

MUZEUM HISTORII POLSKI



MATTHEW RESTALL
„SIEDEM MITÓW PODOBJU
AMERYKI

BELLONA

O KONKWISTADORACH

Hiszpanie zdobyli Amerykę Południową i Amerykę Środkową, a przy okazji złą sławę bezlitosnych okrutników. Jacy naprawdę byli hiszpańscy konkwistadorzy? Jak przebiegał podbój nowego kontynentu i autochtonów? Skąd się wzięła zła opinia o Hiszpanach? Amerykański badacz ciekawie wyjaśnia te sprawy, a zarazem podważa czarną legendę stworzoną przez Anglosasów. ©© (m.r.)

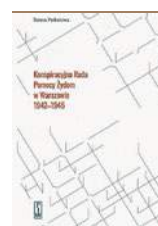


**FRANCES GIES,
JOSEPH GIES**
„ŻYCIE ŚREDNIOWIECZNEJ
RODZINY”

ZNAK HORYZONT

HISTORIA W LISTACH

Kolejna książka autorów o życiu w średniowiecznej Europie. Opowiadają historię angielskiego rodu Pastonów w XV stuleciu, wykorzystując ich korespondencję i dokumenty. A z tych źródeł wyłania się interesujący obraz codzienności: stosunków i zwyczajów rodzinnych, spraw majątkowych, udziału w wojnach i reakcji na historyczne wydarzenia. ©© (t.s.)



TERESA PREKEROWA
„KONSPIACYJNA RADA
POMOCY ŻYDOM
W WARSZAWIE 1942–1945”

PIW

POLACY NA POMOC ŻYDOM

Wznowienie pierwszej książki o „Żegocie”. Teresa Prekerowa, która sama była uhonorowana tytułem Sprawiedliwa wśród Narodów Świata, opisuje struktury, ludzi i działania Polskiego Państwa Podziemnego, których celem było ratowanie rodaków żydowskiego pochodzenia przed Holokaustem. Najciekawszy rozdział dotyczy metod ratowania i ukrywania Żydów po aryjskiej stronie. Było to bohaterstwo najwyższej próby. ©© (p.z.)



FOT. WIKIPEDIA

Z matni do historii

Życie ludzi, których przypadki opisał Andrzej Fedorowicz, potoczyłoby się dramatycznie, o ile nie tragiczniej, gdyby nie wydostali się w porę z matni. Autor burzy pokutujący mit, jakoby Piłsudski tak znakomicie odgrywał obłąd, że dzięki temu został przewieziony z Cytadeli Warszawskiej, z której ucieczka była bardzo trudna, o ile w ogóle możliwa, do szpitala psychiatrycznego. Owszem, umiejętności symulowania zaburzeń psychicznych wystarczyło na tyle, by zaniepokoić administrację więzienia. O to zresztą chodziło. Psychiatra, który

badał Piłsudskiego, nie miał jednak wątpliwości, że ma przed sobą człowieka zdrowego. A jednak sporządził pożądaną przez niego diagnozę... Autor tłumaczy, dlaczego tak się stało, i wyjaśnia, że za wydostaniem się przyszłego Naczelnika Państwa z matni stało jeszcze trzech innych psychiatrów.

Do dziś trudno jednoznacznie stwierdzić, jakie motywy kierowały marszałkiem Śmigłym-Rydzem, gdy postanowił uciec z miejsca



ANDRZEJ FEDOROWICZ
„SŁYNNNE UCIECZKI POLAKÓW 2”

FRONDA

internowania w Rumunii. Zamiar budowania konspiracji w kraju nie musiał być bowiem wcale – jak wynika z rozdziału poświęconego „Śmigłemu” – ani jedynym, ani najważniejszym celem... Według przytoczonej w książce hipotezy, zresztą autorstwa Dariusza Baliszewskiego, śmierć marszałka w grudniu 1941 r. była sfiginowana. Zaniepokojone jego aktywnością dowództwo ZWZ postanowiło go... internować. Marszałek miał być przetrzymywany w tak złych warunkach, że zachorował na gruźlicę i zmarł latem 1942 r. Tylko ekshumacja Śmigłego-Rydz z grobu na Powązkach mogłaby obalić albo... potwierdzić tę hipotezę.

Prawdziwą love story jest historia Polaka Jurka Bieleckiego i Żydówki Cyli Cybulskiej, którzy uciekli z Auschwitz. Współwięzień zdobył dla Jurka mundur esesmana, ale to nie wystarczało. Pomógł niezwykły przypadek... Przekroczenie bramy obozu było początkiem ucieczkowej odysei, którą barwnie opisuje autor. Ze względów bezpieczeństwa Jurek i Cyla musieli się rozdzielić.

Cyla była przeświadczona, że Jurek poległ, walcząc w partyzancie, a on, że

Cyla zmarła zaraz po wojnie. Oboje wzięli ślub z innymi partnerami. Po wielu latach od zakończenia wojny życie dopisało do tej historii zakończenie... ©©

Tomasz Stańczyk

Pachnąca żywica i jadowite węże

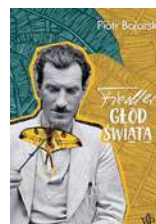
Książki Arkadego Fiedlera (1894–1985) pozostaną w mojej i moich rówieśników pamięci jak owe tak poszukiwane przezeń egzotyczne motyle. Świat dzieciństwa w PRL stawał się barwniejszy. Ryby śpiewały w Uka-jali, żywica pachniała Kanadą, a długie buty chroniły przed jadowitymi węzami nad Orinoko...

Plan dalekich wypraw i pisania książek urzeczywistniał z żelazną konsekwencją, podporządkowując temu np. życie i marzenia pierwszej żony. Zachowa się jak domorosły macho, rzucając kobiecie w twarz źle prowadzoną księgę buchalteryjną. Niewiernej, dwukrotnie młodszej

odeń kochance „da w pysk, ale wybaczy” – jak powie po latach synowi z drugiego małżeństwa (z Włoszką poznaną podczas wojny w Londynie). O erotycznych przygodach z Malgaskami będzie się chwalił Zofii Stryjeńskiej (1938) i pisywał ekshibicjonistyczne relacje w „Przekroju” (1946). Funduszy i ułatwień w podróżach poszuka w kręgach władzy: sanacyjnej w II RP i komunistycznej w PRL. Dzięki poparciu gen. Sikorskiego trafi do Northolt, i to on napisze „Dywizjon 303”, a nie Janusz Meissner, który, notabene, pod pseudonimem opublikuje donos na konkurenta. Dzięki ojcu Arkady poznawał uroki przyrody, ale też trudy pracy wydawcy-drukarza

-chemigrafa w pruskim jeszcze Poznaniu. Tamże w 1917 r. wstąpił do POW, a w powstaniu 1918/1919 został oficerem wielkopolskiej żandarmerii. Talent, pasja i praca uczyniły zeń znakomitego pisarza -podróżnika. ©©

Maciej Rosalak



PIOTR BOJARSKI
„FIEDLER. GŁÓD ŚWIATA”

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

AK rozbija oddział „Borodki”

W służbie dla prawdy” to publikacja poświęcona pamięci zmarłego w 2017 r. dyrektora Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN. Pomijając smutną okoliczność ukazania się książki, wypada stwierdzić, że wydany zbiór tekstów ma wysoką wartość naukową. Opublikowane artykuły dotyczą różnych zagadnień. Jednym z nich jest tekst napisany przez dr. hab. Tomasza Balbusa, opisujący bitwę stoczoną 1 marca 1944 r. przez AK w podwileńskich Majerańcach.

Przeciwnikiem Polaków był sowiecki oddział partyzancki, dowodzony przez Litwiną z pochodzenia Edwarda Baleišisa „Tajūnasa”, nazywanego powszechnie ze względu na noszony zarost przez mieszkańców „Borodaczem” lub „Borodką”. Jego grupa wchodziła w skład sowieckiej Brygady Partyzanckiej im. Konstantego Kalinowskiego. Oddział „Borodki” powstał 1 sierpnia 1943 r. Składał się on głównie z Litwinów, Białorusinów i Żydów, a jego stan liczebny wynosił w listopadzie 1943 r. 50 partyzantów. Wątpliwe osiągnięcia „bojowe” były skrupulatnie rejestrowane przez struktury Polskiego Państwa Podziemnego. BIP wileńskiego okręgu AK w sporządzonym w lutym 1944 r. sprawozdaniu donosiło: „Bandy bolszewicko-żydowskie są coraz śmielsze i zapuszczają swoje zagony pod samo Wilno. Ostatnio dokonano napadów na majątki Wersaje, Wilninów, Lubów i Orniany Michała Tyszkiewicza, gdzie spalony został dwór”.

W związku z coraz intensywniej prowadzonymi przez bolszewików akcjami rekwizycyjno-zaopatrzeniowymi miejscowe dowództwo AK postanowiło te działania ukrócić. 1 marca 1944 r. w lasach pod Majerańcami doszło do koncentracji ok. 100 partyzantów wywodzących się z I Brygady AK por. Czesława Grombaczewskiego „Juranda” (dowodził nimi por. Wilhelm Dietermejer „Wil-

czur”), V Brygady AK rtm. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki” (dowodził nimi por. Wiktor Wiącek „Rakoczy”) oraz oddziału o kryptonimie Błyskawica Piotra Słaniny „Piotra”.

Szturm na wieś, pomimo przygotowanego wcześniej planu ataku, przebiegł w sposób nieskoordynowany, co umożliwiło zresztą ucieczkę Sowietom z okrążeń. Jako pierwsi z wrogiem starli się partyzanci z V Brygady AK. Zaskoczenie bolszewików było całkowite. Wybiegając z budynków mieszkalnych i gospodarczych, trafiali oni pod celny ogień atakujących AK-owców. Próbowanych stawiać opór, a także uciekających zabijano. Podczas starcia poległ „Borodka”. Jak wspominał po latach uczestnik walki Henryk Trojanowski „Hena”: „[...] dostał tyle kul w głowę i korpus, że musiał być trafiony kilkakrotnie. Ponieważ padł na twarz, leżał z pepeszą skierowaną w naszym kierunku. Sam strzeliłem do niego trzy razy i każdorazowo głowa mu odskakiwała”.

TOMASZ BALBUS, JERZY BEDNAREK (RED. NAUK.)
„W SŁUŻBIE PRAWDY. PRACE HISTORYCZNE DEDYKOWANE ZBIGNIEWOWI NAWROCKIEMU (1959–2017)”

IPN

litewskiej i żydowskiej, których po przesłuchaniu rozstrzelano. W sumie w zwycięskim dla Polaków starciu, w którym nie zadano im strat, zginęło lub zostało zlikwidowanych 17 bolszewickich partyzantów (według mniej wiarygodnych danych wielkość strat sowieckich wahała się od 14 do 38). Po walce do lokalnej placówki Wehrmachtu ppor. „Piotr” wysłał list o następującej treści; „Zawiadamiam Ortkomendanturę, że przeciwko Niemcom nie walczymy i nie mamy zamiaru walczyć z wami, o ile nie będziecie nam przeszkadzać. Naszym celem jest walka z czerwonymi partyzantami, którzy zawsze razem z Żydami zabijają naszych rodaków, czekając na czerwoną zarazę ze wschodu...”. © ©

Arkadiusz Karbowiak

Polski sędzia i naziści

Sędzia śledczy Jan Sehn nie był „tropicielem nazistów”, co sugeruje tytuł, natomiast przesłuchiwał ich i gromadził materiały dowodowe pozwalające na skazanie niemieckich zbrodniarzy. Autor pisze, że to w dużej mierze dzięki Sehnowi komendant obozu Auschwitz-Birkenau – Rudolf Höss – zaczął pisać w celi autobiografię. A jest to znakomite, wiarygodne źródło do poznania nazistowskiej mentalności. Höss wyznawał, i raczej nie ma wątpliwości, szczerze, że „obrał błędną drogę”. Usprawiedliwiał się, że wykonywał rozkazy, ale brał odpowiedzialność za ich skutki.

Amon Göth, komendant „obozu wyniszczenia” w Płaszowie, przesłuchiwany przez Sehn, kłamał, że nikogo nie zabił. Owszem, robił to z przyjemnością. Świadkiem oskarżenia w jego sprawie był Jakub Kornhauser, dziadek Agaty Kornhauser-Dudy, żony prezydenta. Göth pozostał wierny swoim przekonaniom – przed egzekucją krzyknął: „Heil Hitler!”.

Autor podkreśla, że początkowo zachodni alianci bez problemu wydawali Polsce niemieckich zbrodniarzy, ale dość szybko się to skończyło. Odmówili wydania generała SS Heinza Reinefartha, kata ludności Woli podczas powstania warszawskiego, bo został informatorem amerykańskiego kontrwywiadu. Sehn zabiegał – bez skutku – o ekstradycję Hansa Ehlicha z Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, odpowiedzialnego za plan eksterminacji Żydów i Polaków oraz Hermanna Krumeja, prawej ręki Adolfa Eichmanna – „architekta Holocaustu”. Byli widocznie potrzebni Brytyjczykom. © © **Tomasz Stańczyk**



FILIP GAŃCZAK
„JAN SEHN. TROPICIEL NAZISTÓW”

WYDAWNICTWO CZARNE



Jacek Bartosiak

Warszawa – położona centralnie między Krakowem a Gdańskiem i między Gdańskiem a Lwowem oraz Wilnem a Krakowem – stała się nowym środkiem ciężkości dawnego imperium lądowego

Miaста powstają najczęściej tam, gdzie kumulują się przepływy strategiczne. Gdzie są głębokie naturalne porty, spławne rzeki, wygodne tych rzek ujścia, dogodne

punkty przeprawowe i obronne, brody na ruchliwych szlakach handlowych, skrzyżowania komunikacyjne, wąskie przesmyki lądowe komunikujące dwa różnorodne obszary. Czyli wszędzie, gdzie przebiegają, a najlepiej zlewają się, potoki ludzkie i handlowe.

Warszawa, wyniesiona na lewym brzegu 35 m nad korytem rzeki i 25 m wyżej niż prawy praski brzeg, 110 m ponad poziomem Bałtyku, opanowała przeprawę przez Wisłę i na suchym lewym brzegu wyrosła najpierw na stolicę Mazowsza, a następnie Polski. Wpadając z prawej strony do Wisły, Bug i Narew tworzą sławny „trójkąt strategiczny”.

Historia miasta dowodzi trafności lokalizacji w dogodnym dla rozwoju miejscu. Obsługując kontakty wschód–zachód, a jednocześnie wielowiekowy szlak czarnomorski stanowiący element wielkiego korytarza handlowego od Bałtyku do Morza Czarnego, miasto stało się szybko ważnym węzłem drogowym z dwiema głównymi bramami – południową (Krakowską) oraz północną

(Nowomiejską), przy których powstały place targowe zwane fretami.

Z Warszawy do dawnej południowej stolicy dawnej Rzeczypospolitej – Krakowa – są w linii prostej 252 km. Z Warszawy na północ, do Gdańska strzegącego ujścia Wisły do morza – 284 km, na zachód, do Poznania będącego centrum pierwszej historycznej dzielnicy i kolebki państwa – 279 km.

Z Warszawy do Wrocławia, położonego na tradycyjnie bogatszym i lepiej rozwiniętym od reszty kraju Śląsku, skomunikowanym z zachodem i południem Europy przez Bramę Morawską, jest 301 km. Z Warszawy do Grodna, strzegącego „drzwi” do serca kraju od strony wschodnich obszarów buforowych, odległość w linii prostej wynosi 248 km. Nieco bliżej, bo jedynie 182 km, jest do drugiej dawnej wschodniej strażnicy – Brześcia. Obecnie obydwie miasta znajdują się na terytorium Białorusi.

Lwów blokujący szlak komunikacyjny przez Bramę Przemyską i Roztocze na Wołyni oddziela z kolei w linii prostej od Warszawy 340 km.

Trudno oprzeć się wrażeniu „centralności” położenia Warszawy względem ważnych ośrodków dawnego państwa.

Nieco dalej jest z Warszawy przez sławny obecnie przesmyk suwalski do Wilna – 394 km, do Rygi są już natomiast 562 km, a do Tallina aż 836 km (samochodem nawet 971). Z Warszawy do Dyneburga, miasta trzymającego linię strategicznej granicy na Dźwinie, są 542 km. Z Warszawy do Mińska położonego „po drodze” na Bramę Smoleńską odległość wynosi 476 km, do samego zaś Smoleńska 783 km (871 km samochodem). Do Moskwy są to 1152 km. Z Warszawy do Kijowa odległość wynosi 690 km (samochodem 781), a do Odessy 951 km, choć samochodem aż 1243 km.

Z Warszawy do Budapesztu w linii prostej jest 545 km (ale samochodem już 895). Z Warszawy do Pragi jest 518 km (choć samochodem 687). Z Warszawy natomiast do Berlina szlakiem równoleżnikowym przez Nizinę Środkowoeuropejską jest 518 km. Co znamienne – i do tego jeszcze wrócimy – samochodem jest niewiele więcej, bo 572 km.

Dorzecze Wisły miało największe znaczenie dla rozwoju dziejowego państwa polskiego i stanowiło jego serce jako węzeł hydrograficzny, gdyż zbliża się ono do dorzeczy wszystkich większych rzek Rzeczypospolitej. Wielka europejska rzeka Wisła płynie przez środek dużego kraju, a nie przez wiele państw, jak Dunaj, czy wzdłuż ich granic, jak Ren. Jako arteria komunikacyjna przebiega nie tylko przez środek Polski, lecz także przez środek swojego dorzecza i od wieków służyła jako droga wodna zarówno w kierunku południowym, łącząc Małopolskę i Mazowsze z Bałtykiem, jak i równoleżnikowym, łącząc Dniepr z Odrą. Żywy ruch spławny i handlowy sprawiał, że żadna z rzek Rzeczypospolitej nie miała na swoich brzegach tylu miast i osad co Wisła. Wystarczy wymienić: Kraków, Sandomierz, Kazimierz, Warszawę, Płock, Włocławek, Toruń, Grudziądz czy (dawniej) Elbląg oraz Gdańsk. Tymczasem brzegi Dniestru czy Bohu były pozbawione osad handlowych, a z pozostałych rzek dawnego państwa polskiego posiadały je, choć w znacznie mniejszej liczbie niż Wisła, jeszcze tylko Odra, Dniepr, Niemen i Dźwina.

W połowie XVII w. spławiano ponoć Wisłą do Gdańska ćwierć miliona ton

zboża rocznie i była to liczba jak na tamte czasy olbrzymia, stawiająca Wisłę pod względem przewozów na jednym z czołowych miejsc wśród wszystkich rzek świata. Na Renie – największej rzece Rimlandu Europy – poziom 100 tys. t przewożonych towarów osiągnięto nie wcześniej niż pod koniec XVIII w. i dopiero w XIX w. osiągnięto taki poziom, jaki obowiązywał na Wiśle w XVII w. Obrót gospodarczy osi Wisły miał wpływ na rozwój ziemi lubelskiej, który zaczął się na dobre po zawarciu unii lubelskiej. Ziemia lubelska komunikowała względnie bogaty rolniczo Wołyń z sercem Rzeczypospolitej w dolinie Wisły przez Mazowsze, położone notabene w połowie drogi między stolicą Korony – Krakowem a Wilnem – stolicą Wielkiego Księstwa Litewskiego. Unia Polski z Litwą uruchomiła wschodnie dorzecze Wisły, włączając je w proces rozwoju gospodarczego państwa.

Mazowsze z Warszawą w centrum jako miejscem dogodnej równoleżnikowej przeprawy przez Wisłę stało się wówczas dzielnicą centralną, komunikującą się ze wszystkimi dzielnicami państwa: z Małopolską, Wielkopolską, Litwą, a przez ziemię lubelską z województwami ruskimi, co spowodowało „zbliżenie” Wilna, Poznania oraz Lwowa do siebie i jednocześnie do Krakowa. Trzecia oś szła już w okresie późnopiastowskim z południowego zachodu ku północnemu wschodowi, czyli z Czech ku Litwie. W Pradze zbiegały się drogi z Rimlandu południowej i zachodniej Europy, w Wilnie zaś krzyżowały się szlaki komunikacji kontynentalnej z głębi Eurazji. Na osi tej znajdowały się Śląsk i Mazowsze, co podkreślało rolę Warszawy jako dogodnej przeprawy przez główną rzekę regionu – Wisłę. Ta „kontynentalna” oś miała rosnące znaczenie w państwie, jeśli chodzi o skomunikowanie regionów, z czasem stała się także drogą postępu kultury zachodniej, łacińskiej z Czech do Polski, z Polski na Litwę, a stamtąd i do Smoleńska, a nawet do samej Moskwy.

Wobec potrzeb komunikacyjnych nowego państwa powstałego po unii lubelskiej szukano dogodnego miejsca gdzieś w połowie trasy z Krakowa do Wilna. Początkowo rolę tę wziął na siebie Lublin, ale jeszcze w 1569 r. ustalono, że to Warszawa będzie stałym miejscem sejmów polsko-litewskich oraz elekcji. Niedługo potem, bo w 1596 r., król Zygmunt III Waza przeniósł stolicę do tego

nadwiślańskiego miasta znajdującego się na osi Wilno–Kraków, przy kluczowej przeprawie na Wiśle, z którego było jednocześnie znacznie bliżej do ujścia Wisły i do samej Szwecji, z której król pochodził.

Warszawa – położona centralnie między Krakowem a Gdańskiem i między Gdańskiem a Lwowem oraz Wilnem a Krakowem – stała się nowym środkiem ciężkości dawnego imperium lądowego z rozumnym modelem komunikacyjnym, gdzie centrum łączy się osiami średnicowymi z resztą kluczowych obszarów i ośrodków miejskich państwa.

W dawnej Rzeczypospolitej nie przeczuwano jeszcze dalekosiężnych skutków tej zmiany, w takim bowiem układzie jedyną barierą terenową stawały się: Odra we Frankfurcie, Warta w Poznaniu, Wisła w Warszawie i Bug pod Brześciem. W Warszawie powstał tym samym europejski strategiczny węzeł komunikacyjny, co wydawało się rzeczą naturalną, dopiero później ujawnił się wybitnie militarny charakter tego szlaku – wraz z coraz jawniejszą słabością wojska Rzeczypospolitej i coraz wyraźniejszym wzrostem potęgi sąsiadów. Wszystkie jego miasta okazały się kluczowe pod względem strategicznym, stały się fortecami, o których posiadanie toczyły się zażarte walki w późniejszych wojnach o dominację na kontynencie.

Jak kiedyś przez równiny Wielkopolski, Mazowsza i Podlasia prowadził wspomniany szlak równoleżnikowy, tak dziś z Warszawy do potęgi przemysłowej Niemiec oraz do rdzenia Unii Europejskiej prowadzi Autostrada Wolności. Zasila wzrost gospodarczy Rzeczypospolitej, ale też otwiera jej przestrzeń na Rimland Europy, dając jednocześnie dostęp atlantyckiej potęgę morskiej USA, gwarantowi NATO i bezpieczeństwa na wschodniej flance Sojuszu. Aspiracją Polski po 1989 r. było niewątpliwie dołączenie do obszaru cywilizacyjnego i gospodarczego zachodniej Europy, czego przejawem jest komunikacja autostradowa w kształcie zrealizowanym po 1989 r. Chociaż w kontekście słabszych osi południkowych przyjdzie jeszcze czas na ocenę długofalowych skutków takiego skomunikowania przestrzeni kraju. Zrobią to następne pokolenia.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Paradoks niemocy

Rozbicie dzielnicowe” ma fatalną opinię. Całe pokolenia historyków bardzo go nie lubiły i tak już zostało. Czasy Chrobrego, Śmiałego, Krzywoustego, królewskiej potęgi, podbojów – o, co to, to tak, taką właśnie historię sobie opowiadamy. Ale czasy słabej władzy centralnej, rozbicia i stopniowego wchodzenia zachodnich dzielnic w krąg kultury i polityki niemieckiej?

To oczywiście skutek tego, że historię pisze się dla współczesnych i pod kątem potrzeb współczesności. Myśmy przez pokolenia potrzebowali wizji państwa polskiego, i to silnego państwa polskiego, więc przymykaliśmy oczy na to, że za radosne zbójowanie jednego czy drugiego Bolesława przychodziły potem słone rachunki. I odpędzaliśmy myśl, że takich Chrobrych, skutecznie gromiących przeciwników, miało wiele ówczesnych państewek, które długo nie przetrwały.

To, że Polska przetrwała, zawdzięczała nie wbijaniu w różne miejsca słupów granicznych czy szczerbieniu miecza o kijowską Złotą Bramę, ale rozrostowi ekonomicznemu. A ten, paradoksalnie, przyszedł właśnie dzięki osłabieniu władzy.

To nie za trzymających wszystko żelazną ręką Bolesławów, tylko za czasów słabych i lekceważonych dziś książąt ledwie panujących każdy nad swoją, z każdym pokoleniem coraz mniejszą

dzielnicą, zaczęły do Polski przyjeżdżać z Zachodu masy osadników, karczujących lasy, zakładających uprawy, sady, stawy i ogrody. To z ich fundacji namnożyło się zakonów, krzewiących wśród osadników nowoczesne know-how.

Dzielnice książątka, nie mogąc marzyć o łupiestwach porównywalnych z dokonaniem pradziadków, musiały szukać zysków w ściąganiu „zasadźców”, Żydów, szukających schronienia przed uciskiem doznawanym w innych krajach, w udzieleniu przywilejów na żupy i mennice, w zasiedlaniu i zagospodarowywaniu pustkowi... i tak dalej.

/ Takich Chrobrych, skutecznie gromiących przeciwników, miało wiele ówczesnych państewek, które długo nie przetrwały

Trochę trudno nam dziś sobie wyobrazić, że były takie czasy, gdy z Francji, Niemiec i Włoch... czy raczej z różnych Pikardii, Szwabii czy Lombardii osiedleńcy ściągali do Polski, a nie odwrotnie. I mało, że ściągali, ale

w szybkim czasie stawali się tutejszymi, przyjmowali polskie obyczaje i mowę. Przecież nie z obawy przed jakimiś represjami; przypadek Władysława Łokietka, który oczyścił Kraków z buntowników, każąc ściąć każdego, kto nie umie poprawnie wymówić słów: „soczewica”, „młyn”, „miele”, był raczej odosobniony. Mając elementarną wiedzę o XIII i XIV w. na Zachodzie kontynentu, łatwo się domyślić, że mieszkańcy tamtejszych okolic nie uważali przeniesienia się do Polski za degradację.

Polska średniowieczna stała się czymś w rodzaju europejskich stanów zjednoczonych. Miejscem ucieczki z przeludnionej Europy Zachodniej, miejscem przyciągającym i zwykłych kmiaci, i bogatych kupców. Dzięki słabości władzy, nawet już po ponownym zjednoczeniu, poddany króla polskiego płacił bowiem mniejsze podatki i cieszył się większą wolnością osobistą niż gdziekolwiek na Zachodzie. Także wolnością wyznania. Nie dlatego, żeby Piastowie byli tacy mądrzy i świadomi, jak ważne jest tego poddanym nie zabierać, ale dlatego, że nawet gdyby chcieli zabrać, byli zbyt słabi.

Nie siła władzy, ale właśnie słabość uczyniła więc z Polski potęgę i pozwoliła wygrać z wzorcowo karnym i zorganizowanym zakonem krzyżackim, o czym zresztą pisałem już kiedyś w tych tu felietonach. Kolejny kawałek historii, który trzeba napisać na nowo. ©©



Piotr Semka

/ Felieton

Chvalkovsky i Szykowski

Uwielbiam Wrocław i jego antykwiaryaty. I oto w witrynie jednego z nich zwróciłem uwagę na małą książeczkę „Guwer-nantka” z karteczką: „Czeska po-wieść wrocławska dziejąca się w XIX wieku”. Jej autor, zmarły ledwie dwie dekady temu Vladimír Macura, sportretował w niej Františka Ladislava Čelakovského (1799–1869), jednego z pionierów odrodzenia literatury czeskiej w pierwszej połowie XIX w. Čelakovský był uczniem Josefa Jungmanna, twórcy słownika czesko-niemieckiego, współ-twórcy nowoczesnej czeszczyzny. W 1842 r. został profesorem literatury słowiańskiej na Uniwersytecie Wrocławskim, gdzie wykładał do 1849 r., kiedy otrzymał propozycję objęcia katedry literatury słowiańskiej na Uniwersytecie Karola w Pradze. Autor książki zadał sobie sporo trudu, aby oddać klimat Wrocławia z lat 40. XIX w. jak najdokładniej i to jest

spora zaleta książki. To jednak didaskalia. Wciąża najbardziej sama fabuła powieści.

Chvalkovsky był traktowany w latach 40. jako dobro narodowe Czechów. Nic dziwnego, że po śmierci jego pierwszej żony, Marii, przy-jaciele zaaranżowali jego ponowny ożenek z młodą poetką Antonie Reissową. Antonie imponował 47-letni mistrz, a on chętnie przyjął taki „prezent” od przyjaciół, wierząc, że nowy związek go odmłodzi. Skończyło się, jak to często bywa w takich sytuacjach, na domowym koszarze. Chvalkovsky był wiecz-nie zazdrosny i terroryzował młodszą żonę podejrzeniami.

Głównym powodem zazdrości i podejrzeń jest w powieści Jerzy Szykowski, polski student wrocławskiej uczelni. Młody chłopak próbujący sił w poezji wzbudza sympatię pani domu. Szykowski przedstawiony jest jako Polak dziwnie rozdwojony. Poszukujący swego prawdziwego polskiego ojca i buntu-jący się przeciw ojczymowi Prusakowi. Pisze poezję z nawiązaniami do utraconej miłości i utraconej ojczyzny. Swoje wiersze, wysyłane

po kryjomu pani profesorowej, obwija w biało-czerwoną wstążką.

Chvalkovskiego ten polski romantyzm irytuje w dwójnasób. Jako Czecha drażni go polski radykalizm, a jako zazdrosny mąż podejrzewa w nim potencjalnego kochanka żony. Są to oba- wy na wyrost – młody student po prostu kocha poezję, a Antonie to oddana matka i uczciwa żona. Emocje robią jednak swoje i w końcu Szykowski musi wyjechać z miasta.

Vladimír Macura sprawnie prowadzi akcję, przy okazji umiejętnie pokazując, jak zmieniały się aspiracje narodowe Czechów. Chvalkovsky zastygł w osiągnięciach czeskich budzicieli narodu z lat 30. XIX w. Gdy w 1848 r. wybuchła Wiosna Ludów, demonstracyjnie odrzuca zaproszenie na Kongres Słowiański w Pradze, uznając to za niepotrzebną ruchaw-kę, która może zniszczyć ostrożne starania czeskich językoznawców.

Kiedy w końcu, już po stłumieniu rewolucji, przyjeżdża jednak do Pragi, by objąć katedrę na uniwersytecie Karola, natrafia na lodowaty klimat porewolucyjnej normalizacji. Pewny, że jego trzymanie się z dala od awantur zostanie docenione, przynosi do austriackiego urzędu, z prośbą o ocenę, wypisy literackie potrzebne do pracy ze studentami. Hrabia Thun, urzę-dowy nadzorca życia uczelnianego, informuje go w pozornie życzliwym liście, że niektóre wybrane przez profesora wiersze uważa za skrajnie niestosowne. „Ze względu na zbyt silnie uwypukloną tendencję narodową, która wzbudza wzajemną niechęć między narodami i prowadzi do konfliktów na tym tle”. Zdru-zgotany Chvalkovsky odkrywa, że w nowym klimacie nawet jego lojalny czeski patriotyzm jest już podejrzany.

W końcu nękana zazdrością męża i choro-bami żona Antonie umiera na suchoty. Wtedy profesora odwiedza jego były student. Nie na-zywa się już Szykowski, ale Fredentahl. Ukoń- czył uniwersytet berliński, przyjął niemieckie nazwisko po ojczymie i objął posadę doradcy rządu pruskiego do spraw słowiańskich. Roz-mawia z profesorem już tylko po niemiecku.

Mała książeczką, a przypomina o ciem-nym labiryncie, w którym błędzili w XIX w. Polacy i Czesi. O dylemacie, co skuteczniejsze: radykalizm czy ugodowość. I przypominająca o dramacie tamtych czasów, np. Szykowskich zamienianych dla kariery w Fredentahlów. Obowiązkowa lektura dla tych, którzy dziś tak łatwo odrzucają tradycję insurekcyjną i dziwią się, dlaczego więcej Polaków nie poparło margrabiego Wielopolskiego. Może dlatego, że nie byli pewni, czy takie flirty z zaborcą nie skończą się zamianą wielu Szykowskich na Fredentahlów. ©©



Tomasz Stańczyk

/ Marszałek mawiał, że miał w życiu trzy słabości: Wilno, córki i papierosy. Żadnej z nich nie wyrzekł się do końca życia

Piłsudski żywił do miasta nad Wilią ogromny sentyment, mimo ciężkich przeżyć, które go tam spotkały. Nienawidził mieszczącego się w gmachu pouniwersyteckim rosyjskiego gimnazjum, do którego chodził, czuł się upokorzony zakazem mówienia po polsku. W Wilnie został aresztowany i skazany na zesłanie. Piłsudski pamiętał o tym wszystkim, lecz – jak stwierdził – gdy ma przemawiać w Wilnie, „nie chce w swojej mowie ni zgrzytów, ni goryczy”. Tłumaczył, dlaczego ma ogromny sentyment do miasta swojej młodości: „Wszystko piękno w mej duszy przez Wilno pieśczone. Tu pierwsze słowa miłości, tu pierwsze słowa mądrości, tu wszystko, czym dziecko i młodzieniec żył w pieśczoście z murami i w pieśczoście z pagórkami. Jedno z najpiękniejszych miast na świecie!”.

Rodzina Piłsudskich przeniosła się do Wilna latem 1874 r. po pożarze majątku w Zułowie, położonym ponad 50 km od Wilna. Ta katastrofa tylko jednak przybliżyła nieuchronne bankructwo. Ojciec przyszłego Marszałka robił wiele inwestycji, które jednak przynosiły straty. Sam Piłsudski pisał: „Mój baćka nie odznacza się rządnością” i chciał go nawet usunąć od zarządu majątkiem.

Niepokorny uczeń

Pierwsze mieszkanie Piłsudskich mieściło się przy ulicy Trockiej 20 (dziś Trakų 3). W 1877 r. Józef Piłsudski, zwany w rodzinie „Ziukiem”, zaczął uczyć się w gimnazjum. Do tej samej szkoły chodził jego brat – Bronisław. Gdy uczniowie zapytali jednego z nauczycieli, dlaczego nie można mówić po polsku,



Józef Piłsudski (drugi z prawej)
z kolegami z gimnazjum FOT. NAC

1874–1899

/ Gimnazjalista, aresztant,
towarzysz „Wiktor”

Józef Piłsudski nad Wilią

Wilno. Widok na Wilję.

Panorama Wilna FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

ten oburzył się, mówiąc, że nie chcą mówić po rosyjsku, a jedzą przecież rosyjski chleb i cieszą się prawami obywateli Rosji. Józef Piłsudski był karany za odzywanie się po polsku i za niekłanianie się na ulicy generałowi-gubernatorowi i dyrektorowi szkoły. O nastrojach wśród uczniów mówi to, że gdy umarł jeden ze znienawidzonych nauczycieli, śmierć jego „przyjęta została z prawdziwą radością, wzajemnie wieszano sobie śmierci tego pana” – wspominał Piłsudski.

W 1882 r. powstało w Wilnie kółko uczniowskie Spójnia. Bracia Piłsudscy należeli do jego organizatorów. Członkowie Spójni spotykali się także w domu rodziny Piłsudskich przy ulicy Bakszta 8 (Bokšto), potem numerem 14. Wacław Studnicki pisał: „W tym mieszkaniu wrzała praca konspiracyjna i patriotyczna młodego chłopca, który tu gromadził swoich kolegów na tajne posiedzenia polskiego tajnego kółka samokształceniowego Spójnia, tu przechowywał tajną bibliotekę uczniowską i tu wspólnie z kolegami, koleżankami i przy pomocy starszych organizował tajny teatr amatorski”.

(W. Studnicki, „Gdzie mieszkał w Wilnie Józef Piłsudski za czasów szkolnych”, [w:] „Józef Piłsudski a Wilno”, Wilno 1937).

Słynna w Europie śpiewaczka Marcelina Sembrich-Kochańska, mająca już za sobą występ także w Metropolitan Opera w Nowym Jorku, dała koncert w Wilnie w 1884 r. Józef Piłsudski był członkiem delegacji Spójni, która poinformowała artystkę o tym samokształceniowym kółku i prosiła o wsparcie. Śpiewaczka zgodziła się na jego rzecz dać drugi koncert i przekazała dochód z niego: 2 tys. rubli. Większość pieniędzy przeznaczono na zakup książek. Biblioteką Spójni opiekował się Bronisław Piłsudski. Na spotkaniach czytano wydane za granicą wspomnienia sybiraków, Agatona Gillera, członka Rządu Narodowego w powstaniu styczniowym, powieści Henryka Sienkiewicza i Elizy Orzeszkowej. Sienkiewicz wzbudził jednak krytykę niektórych członków kółka. Nazywali autora „Trylogii” pisarzem reakcyjnym. Piłsudski odpowiadał na to: „Gadajcie sobie, co chcecie, a ja wam powiadam, że nikt nic lepszego nie napisał i napisze”.

Sentyment do Sienkiewicza pozostał mu na całe życie. Już jako Marszałek często woził ze sobą „Trylogię”. Nic dziwnego, że w Spójni odzywały się głosy niechętnie „reakcyjnemu” Sienkiewiczowi, skoro – jak relacjonował Bronisław Piłsudski – „Wszczynają się

w naszym kółku dyskusje o socjalizmie jako wielkiej etycznej zasadzie nowego życia i patriotyzmie”.

Józef Piłsudski początkowo nie angażował się zbyt w działalność Spójni. Odmieniło się to jednak w 1884 r. „W krótkim czasie zajmuje bezapelacyjnie i raz na zawsze pierwsze miejsce. Wódz objawił się wtedy po raz pierwszy” – stwierdził jego biograf, Władysław Pobóg-Malinowski.

„Ziuk” i ciocia Stefka

Bronisław Piłsudski, choć był starszym bratem Józefa, zdawał sobie sprawę, że znajdował się w jego cieniu i nie krył zazdrości. Dotyczyła także ona ciotki Stefanii Lippmanówny, krewnej Piłsudskich, spokrewnionej z nimi przez Billewiczów. Miała wówczas ok. 40 lat. Pomagała Marii Piłsudskiej, od pewnego czasu chronicznie chorej i spędzającej wiele czasu w łóżku, w wychowaniu jej dzieci. Lippmanówna była wielką patriotką i gromadziła wokół siebie młodzież ze Spójni, gdyż

■ – jak stwierdzał Studnicki – „umiała, mając gorące serce, pozyskać sympatię młodzieży”.

Ciotka Lippmanówna była powiernicą obu braci Piłsudskich, jednak to Józef miał znacznie bliższe relacje z nią niż Bronisław. „Jak teraz ciocia Stefka mieszka u Bucewiczów – pisał Bronisław w swoim dzienniku – to mam mało czasu chodzić tam, a tu nie ma czasu nigdy rozgadać się, bo ciągle ktoś przeszkadza, a szczególnej Ziuk, który z ciocią większą część po obiedzie przepędza na całusach i targansach”. Notował także: „Z Ziuczkiem swoim pół dnia przepędza na łóżku albo u niego na kolanach. Wczoraj do 2-ej rozmawiała ciocia z nim, gdy położył się, najlepiej będzie nazwać to nie rozmową, bo o niczym nie mówią, ale romansowaniem, jak kiedyś Dominika powiedziała o nich”.

Zofia Zawiszkanka-Kernowa, autorka książki o młodych latach Józefa Piłsudskiego („Świt wielkiego jutra”), wspominała rozmowę z jego siostrą Zofią Kadenacową: „Pani Kadenacowa była przerażona, gdy się dowiedziała, że czytałam drażliwe ustępy z pamiętnika Bronisława Piłsudskiego dotyczące »Cioci Stefki«”. Widać było, że z tą całą kwestią nie umie zupełnie się pogodzić ani wyciągnąć takich wniosków, jakieby tu każdemu się nasuwały. Ale po jej wysłuchaniu Kernowa odniosła wrażenie, że „może tu także tkwić jedno z tych nieporozumień, w które nieraz wprowadza historyka bezkrytyczne patrzenie na fakty oczyma pamiętnikarza (coż dopiero, gdy jest on tak młody!)”.

Chociaż biografowie Marszałka uznają za jego pierwszą miłość Leonardę Lewandowską, którą spotkał podczas zesłania na Syberii, to jednak już wcześniej, w Wilnie, uległ zauroczeniu dziewczyną o imieniu Stefcia. Nie była ona też obojętna Bronisławowi. „Ja najwięcej tańczyłem ze Stefcią. Ziuk strasznie był zły”.

W roku 1884 zmarła Maria Piłsudska, miała zaledwie 42 lata. Rok później Józef Piłsudski zdał maturę. Najlepszy stopień, piątkę, otrzymał z historii, najgorszy – z języka rosyjskiego i z literatury – trójkę. Po krótkim, rocznym epizodzie studiów na medycynie w Charkowie Piłsudski wrócił do Wilna, gdyż nie dostał się na uniwersytet w Dorpacie, dokąd chciał się przenieść. Przeżył wówczas poważny kryzys psychiczny. Zwierzył się z niego swojemu niedoszłemu biografowi, Arturowi Śliwińskiemu:



Pomnik Michała Murawjowa
w Wilnie FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

„[...] zwątpiłem o tym, bym mógł dokonać wielkich rzeczy. I życie od razu straciło dla mnie swój urok. Powiedziałem sobie, że skoro nie mogę być wielkim, to nie mam po co żyć. [...] Ogarnęło mnie takie zmęczenie, że postanowiłem skończyć z sobą i to nieodwołalnie. Układałem nawet plany, jak to wykonać. Ostatecznie zdecydowałem się wyjechać łódką na ulubione jezioro Trockie, stanąć na brzegu łodzi i strzelić do siebie z rewolweru. Rozumowałem, że gdyby strzał nie był śmiertelny, wpadnę do wody i nikt już nie zdoła mnie uratować”.

Jednak niedługo potem jego życie miało się zupełnie odmienić i weszło na tory prowadzące do wielkości i sławy.

Uwikłany w spisek

W 1887 r. carska policja aresztowała braci Piłsudskich w związku z zatrzymaniem członków terrorystycznej grupy rewolucjonistów, którzy planowali zabójstwo Aleksandra III.

Józef Piłsudski został aresztowany w mieszkaniu cioci Lippmanówny. Józef Łukaszewicz, który w Petersburgu konstruował bombę, wysłał innego spiskowca do Wilna po chemikalia, dając mu adres szkolnego kolegi, Bronisława Piłsudskiego. Józef zapewnił przybyszowi ze stolicy nocleg. Wysłannik Łukaszewicza wziął z apteki Tytusa Paszkowskiego potrzebne materiały.

Gdy Bronisław Piłsudski zaczął studiować nad Nową, Łukaszewicz poprosił go, by Aleksander Uljanow (brat Włodzimierza, znanego później jako Lenin) mógł w jego mieszkaniu składać i drukować manifest grupy terrorystów.

Bracia Piłsudscy mogli się domyślać – jak wspomniał Łukaszewicz – że grupa petersburska coś planuje, ale co dokładnie, nie mogli wiedzieć.

W procesie zapadły wyroki śmierci. Stracony został m.in. Uljanow. Car w drodze łaski zamienił Bronisławowi Piłsudskiemu karę śmierci na 15 lat katorgi. Józef Piłsudski występujący w roli świadka (uznano go tylko za wykonawcę poleceń brata) został skazany w trybie administracyjnym na pięć lat zesłania, na Syberię.

Bardzo żałowała Józefa Piłsudskiego panna Helena Misiewiczówna, chodząca do tej samej szkoły co Zofia, jego siostra. Helena chciała oświadczyć się Józefowi i pojechać razem z nim na Sybir, ale propozycja została odrzucona. Wnuczka owej panny relacjonowała: „Piłsudski powiedział, że nie może przyjąć tej ofiary, bo prawdopodobnie całe życie tam zostanie, czyli dał jej kosza, jeżeli to można nazywać koszem” (T. Tomaszewski, „Wracając do Wilna”, Warszawa 2018). Chyba można nazwać to „koszem”, skoro Piłsudski został skazany tylko na pięć lat zesłania. I na pewno nie zamierzał osiedlić się na Syberii.

Piękna Maria

Do Wilna Józef Piłsudski wrócił z zesłania latem 1892 r. Wstąpił do przyjaciela, który go nie poznał. Piłsudski nosił gustą brodę. „Na okrzyk Piłsudskiego: »Jak się masz, Zygmusiule!« Nagrodził odpowiedział z wileńska: »Ja pana nie przypominam, czy nie ma pan pomyłki?«. »Pomyłki nie mam, ale widzę, że trzeba się przestawić: Józef Piłsudski«



Maria Piłsudska, pierwsza żona
Józefa Piłsudskiego FOT. WIKIPEDIA



Policyjne zdjęcie Józefa Piłsudskiego, 1900 r. FOT. WIKIPEDIA



Пилсудский Иосиф - клан "Здоровский" и "Зюль"
Коп. 1/10 1/11

(W. Jędrzejewicz, J. Cisek, »Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego 1867–1935«, t. 1 1867–1916, Kraków-Łomianki 2006).

Piłsudski był tak zmieniony, że nie poznała go nawet siostra Zofia (Zula). Zaczął kontaktować się z wileńskimi socjalistami. Przed aresztowaniem uważał się za „płytkiego socjalistę”, lecz na zesłaniu zetknął się ze Stanisławem Landym i innymi członkami partii Proletariat. Także z Bronisławem Szwarcem, członkiem Centralnego Komitetu Narodowego przed powstaniem styczniowym, który stał się dla młodego Piłsudskiego mentorem politycznym. Na Syberii ugruntował swoje socjalistyczne, ale i niepodległościowe poglądy.

W Wilnie spotkania odbywały się w mieszkaniu Dominika Rymkiewicza przy ulicy Święciańskiej. Prawdopodobnie tam poznał Marię Juszkiewiczową, córkę wileńskiego lekarza, pracującą w tajnym nauczaniu. Słyszeła z urody. Była słuchaczką wyższych kursów dla kobiet w Petersburgu, zbliżyła się do rewolucjonistów i została przejściowo aresztowana. Wyszła za mąż za inż. Juszkiewiczza, urzędnika Ministerstwa Komunikacji. Pobóg-Malinowski pisał o niej: „Obdarzona niezwykle dowcipem, gruntownie i wszechstronnie wykształcona, stała się niebawem gwiazdą petersburskich salonów”.

I taką też była w Wilnie, już jako rozwódka. Zrobiła duże wrażenie na młodszym od niej o dwa lata Józefie Piłsudskim. Być może Piłsudski poznał wówczas także Romana Dmowskiego, który przebywając na zesłaniu w Dorpacie, przyjeżdżał do Wilna. Legenda mówi, że Piłsudski i Dmowski rywalizowali wówczas o względy Juszkiewiczowej. Brak jednak na to mocnych dowodów.

W 1893 r. przyjechał do Wilna Stanisław Wojciechowski, członek-założyciel PPS. Spotkał się z Józefem Piłsudskim, który przybrał pseudonim Wiktor, Ludwikiem Zajkowskim, Aleksandrem Sulkiewiczem i Stefanem Bielakiem (dwaj ostatni byli polskimi Tatarami) w lesie na Belmoncie.

Wojciechowski wspominał: „Posilił się chlebem i mlekiem przyniesionym od siostry Piłsudskiego [Zofii] Kadenacowej, która mieszkała u podnóża Belmontu” (S. Wojciechowski, „Moje wspomnienia”, cz. I, Warszawa 2017).

Wkrótce zapadła decyzja o wydawaniu pisma „Robotnik”. Maszynkę drukarską zakupiono w Londynie i przemysłowo w częściach do kraju. Tajna drukarnia znajdowała się początkowo w Lipniskach, niecałe 100 km od Wilna, w pomieszczeniach apteki Kazimierza Parniewskiego, która była przykrywką dla nielegalnej działalności. Pierwszy numer „Robotnika” ukazał się w lipcu 1894 r. Tajną drukarnię trzeba było jednak po kilku miesiącach stamtąd ewakuować. Przy druku był zaangażowany Władysław Głowacki, były członek partii Proletariat, który nawiązał romans z kucharką aptekarza i gdy nie chciał się z nią ożenić, zagroziła donosem.

Niefortunnego zecera skłoniono do ożenienia się z kucharką i załatwiono pracę w głębi Rosji. Drukarnia przeniesiona została do Wilna. Mieściła się początkowo przy ulicy Tombakowej (Ševčenkos). Wojciechowski nauczył się za granicą fachu zecera, składał więc numer, a Piłsudski – redaktor pisma, zamieszczał artykuły i odbijał egzemplarze na maszynie, gdy Wojciechowski był zajęty składaniem.

Borykali się z ogromnymi kłopotami finansowymi. Piłsudski pisał do Związku Zagranicznego Polskich Socjalistów w końcu 1895 r.: „Doszło w tym względzie do tego, że z Adasim [ówczesny pseudonim Wojciechowskiego] już kilka razy zastanawialiśmy się poważnie nad ewentualnością zamknięcia budy [drukarni] i pójścia w świat dla chleba”.

Obawa przed kolejną dekonspiracją, a także kłopoty z dostarczaniem „Robotnika” z Wilna do centrów przemysłowych w Królestwie Polskim spowodowały, że Piłsudski postanowił przenieść drukarnię do Łodzi. Zmienił miejsce pracy, ale także swój stan cywilny. Latem 1899 r. wziął ślub z dwa lata od siebie starszą, poznaną po powrocie z Syberii Marią Juszkiewiczową. Ponieważ Juszkiewiczowa była rozwiedziona w Kościele ewangelicko-augsburskim, jedyną możliwością zawarcia związku małżeńskiego było przejście Józefa Piłsudskiego na wyznanie protestanckie. Małżonkowie Piłsudscy – ale dla władz Dąbrowscy – sprowadzili się do Łodzi w ostatnich dniach października 1899 r. Kilka miesięcy później zostali aresztowani.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment książki Sławomira Kopra i Tomasza Stańczyka „Wilno. Ostatnie polskie lata” (Frona), która ukaże się wkrótce.



**SŁAWOMIR KOPER,
TOMASZ STAŃCZYK**
„OSTATNIE LATA POLSKIEGO
WILNA”

FRONDA



Maciej Rosalak

Stefan Czarniecki był jednym z najwybitniejszych polskich dowódców wojskowych. Był postrachem Moskali, Kozaków i Szwedów

Stefan Czarniecki herbu Łódzia urodził się w 1599 r. w Czarnicy niedaleko Włoszczowy. Ojciec Stefana – Krzysztof, weteran wojny ze Szwecją (1600–1611) oraz z Moskwą (1609–1617), bohater spod Kircholmu – doczekał się aż 10 synów i tylko jednej córki. Cóż, nadchodził wiek XVII – stulecie krwawych wojen – i rodzili się chłopcy. Ojciec za zasługi wojenne został nagrodzony starostwem chęcińskim (1618) oraz żywieckim (1625), ale mimo to nie stać go było na zapewnienie solidnego wykształcenia, majątku i kariery wszystkim synom. Toteż czterech z nich – w tym Stefan – zajęło się, tak jak wielu synów szlacheckich, służbą w wojsku, trafiając w 1621 r. do lisowczyków.

Tego roku ich kolejny dowódca Stanisław Rusinowski, zdobywca 20 protestanckich chorągwi w 1620 r. na Białej Górze, wraca z Niemiec do ojczyzny zagrożonej przez Turków i oddaje się pod komendę Jana Karola Chodkiewicza. Niewiele wiadomo o tym okresie życia Stefana Czarnieckiego, ale przyjmuje się, że w szeregach lisowczyków walczył pod Chocimiem, a w latach 1626–1629 pod wodzą następnego staropolskiego geniusza wojny – Stanisława Koniecpolskiego – uczył się wojować w chorągwi kozackiej (pancernej) ze Szwedami w Prusach i na Pomorzu. Wedle Jana Chryzostoma Paska pełnił funkcję chorążego. Następnie jest porucznikiem chorągwi husarskich Kazanowskich, Lubomirskich i Potockich. Biję się z Moskwiczinami podczas wojny lat 1632–1634, z Tatarami pod Martynowem (1624) i Ochmatowem (1644), wreszcie ze zbuntowanymi w latach 1637 i 1648 Zaporozcami.

Już jako 30-letni mężczyzna zaznał oręża wszystkich głównych wrogów



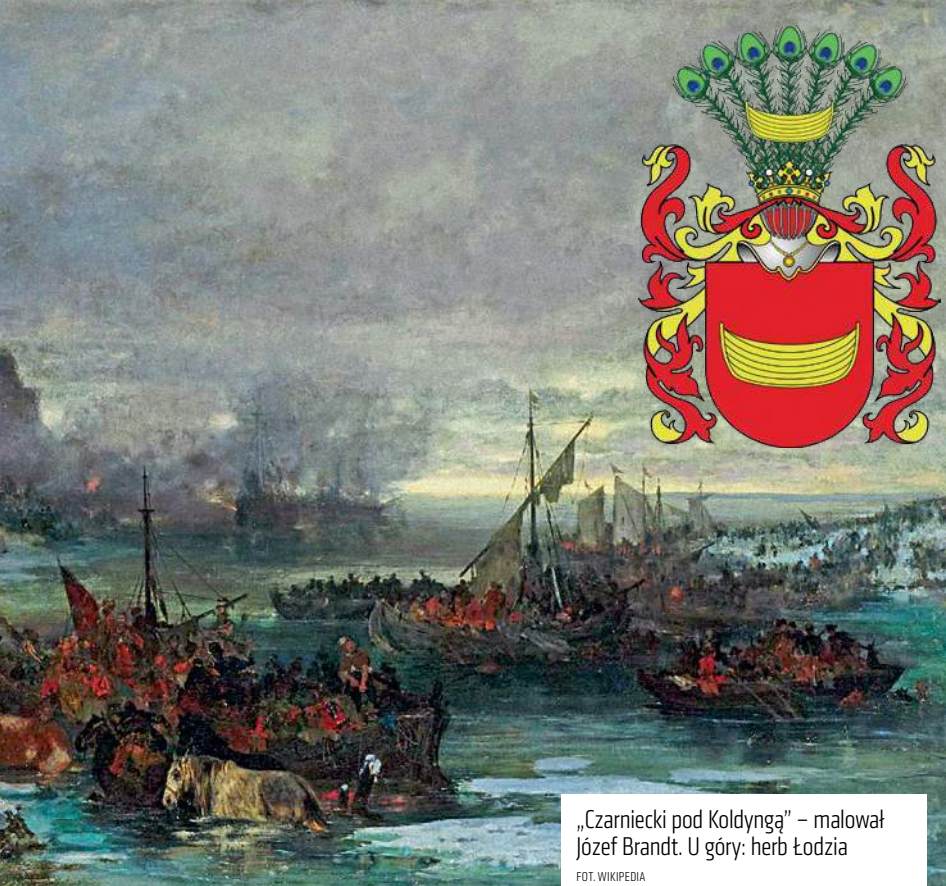
1599–1665 / Mistrzowie staropolskiej sztuki wojennej – Stefan Czarniecki

Zagończyk niezrównany

Rzeczypospolitej. Stoczy z nimi jeszcze niezliczoną ilość bitew i potyczek, będzie oblegał i doświadczył oblężeń, szarżę i pościgi zastąpią odwroty. Zazna też upokorzenia niewoli tatarskiej i kozackiej, gdy podczas bitwy nad Żółtymi Wodami zatrzymano go jako posła. W 1652 r. otrzymuje dowództwo rot husarskiej króla Jana Kazimierza, odbudowując ją po klęsce pod Batochem. Przeżył kaźń Polaków ukryty w słomie. Niewola i masowa zbrodnia dokonana na rodakach wpoili weń chęć zemsty, nienawiść i okrucieństwo wobec Zaporozców, co ujawniło się, gdy dowodził zgrupowa-

niami jazdy w trakcie kolejnych walk na Ukrainie.

Podczas najazdu szwedzkiego w 1655 r. staje na czele obrony Krakowa, a następnie ostentacyjnie odmawia przyjęcia komendy w siłach Karola Gustawa i udaje się na Śląsk do Jana Kazimierza, namawiając go, aby wrócił w granice swej monarchii. Wraz z Jerzym Lubomirskim zostaje regimenterem wojsk koronnych i podejmuje ofensywę przeciwko Szwedom. Widząc przewagę ognia, techniki i wyszkolenia armii szwedzkiej, podejmuje wojnę szarpaną. W otwartym polu raz przegrywa (pod



„Czarnecki pod Koldyngą” – malował Józef Brandt. U góry: herb Łódzia

FOT. WIKIPEDIA



„Stefan Czarniecki” – obraz Brodero Mathisena (postać z hetmańską buławą)

FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Gołębiem), to znów triumfuje (pod Warką – patrz niżej). W tym samym 1656 r. prowadzi zwycięską kampanię w Wielkopolsce, a rok później gromi najezdniczą armię księcia siedmiogrodzkiego Jerzego Rakoczego. W 1658 r. wyrusza z odsieczą do sprzymierzonej z nami Danii.

W 1660 r. pokonuje moskiewską armię Iwana Chowańskiego, od kilku lat okupującą Wileńszczyznę. Nadal wykazuje energię i charakter. Żołnierze czują wobec niego ogromny szacunek, ale i mores. Pasek wspomina, jak dowódcę zwiadu, który ze strachu wzbudził panikę wśród wojska, nazwał „skurwym synem” i kazał włożyć koni po majdanie. Jako ponad 60-letni mężczyzna, wojewoda ruski i kijowski, kilkakrotny starosta, nadal nie może cieszyć się pokojem. Staje po stronie Jana Kazimierza podczas rokoszu Lubomirskiego. Umiera w 1665 r. w wyniku śmiertelnej rany odniesionej podczas jednego z wielu bojów przeciw moskiewsko-kozackiemu sojuszowi. Upragnioną buławę hetmana polnego koronnego otrzymuje tuż przed zgonem.

Warka A.D. 1656

Podczas szwedzkiego potopu (1655–1657) Stefan Czarniecki wstawił się głównie, mistrzowsko prowadząc wojnę

podjazdową, partyzancką, szarpaną. Znosił ze szczerem mniejsze oddziały wroga, uniemożliwiał mu komunikację i transporty. Pierwsze zwycięstwo w polu nad niezwyciężoną dotąd armią szwedzką odniósł też właśnie on. Stało się tak wiosną 1656 r., gdy znalazł wiedeńską armię Karola Gustawa i Litwini osaczyli armię Karola Gustawa – ruszył naprzeciw 3,5-tysięcznej szwedzkiej odsieczy, prowadzonej przez margrabiego badeńskiego Fryderyka von Baden-Durlacha. Liczebność wojsk biorących z obu stron udział w tej batalii często wyolbrzymiano. Miarodajne – i bardzo ciekawe – wyliczenie sił polskich podał prof. Mirosław Nagielski w dodatku „Rzeczpospolitej” pt. „Chwała Oręża Polskiego” nr 11 (32) z 2006 r.:

„– 5 pułków Czarnieckiego: królewski, hetmański pod Gustawem Woyniłłowiczem, kasztelana sandomierskiego Stanisława Witowskiego, oboźnego koronnego Andrzeja Potockiego, strażnika wojskowego Jakuba Potockiego, które należy szacować na 500–600 koni każdy (razem daje to 3 tys. koni); pułk marszałka wielkiego koronnego Lubomirskiego, liczący ok. 1000 koni; dragonia Czarnieckiego pod komendą Krzysztofa Wąsowicza – 894 koni; trzy freikompanie dragonie: marszałka Lubomirskiego, koniuszego koronnego Aleksandra Lubomirskiego,

Jana Zamoyskiego – razem ponad 300 koni; pospolite ruszenie województwa sandomierskiego szacowane przesadnie na 1000 koni”. A więc Czarniecki wiodł ok. 6 tys. zbrojnych – wyłącznie jeźdźców, bez artylerii i taborów.

U podobańcu Stefana Czarnieckiego do kąpieli śpiewamy już od przeszło dwóch wieków w hymnie narodowym. Józef Wybicki nawiązał w ten sposób do polskiego desantu na duńską wyspę Alsen i zdobycia w 1659 r. zajętej przez Szwedów twierdzy w Koldyndze. Niemniej sławnej kąpieli zażył wraz z kilkoma tysiącami jeźdźców trzy lata wcześniej, gdy rzucił się w nieprzewidywanym przez Szwedów miejscu w nurty Pilicy, wezbranej po wiosennych roztopach i niosącej zapewne wody błotniste oraz nader zimne. Po wydostaniu się na drugi brzeg Polacy dla rozgrzewki znieśli ze szczerem dwie rotę wrogiej jazdy, a następnie zabrali się do głównych sił margrabiego Fryderyka.

M. Nagielski pisał: „Największą rolę w rozgromieniu Szwedów odegrały chorągwie husarskie: królewska pod komendą Stefana Czarnieckiego (199 koni); wojewody sandomierskiego Władysława Myszkowskiego pod komendą Władysława Wilczkowskiego (165 koni); podczaszego koronnego Jana Zamoyskiego (137 koni); marszałka Jerzego

■ Lubomirskiego pod komendą Andrzeja Sokolnickiego (190 koni)". Szaleńcza szarża zaskoczyła Szwedów, a kiedy jeszcze – po przejściu blokowanego wcześniej, a teraz opuszczonego mostu – uderzyli z boku polscy dragoni, rozpaczliwa obrona zamieniła się w paniczną ucieczkę, a ta z kolei w rzeź. Straty szwedzkie wyniosły zapewne ok. 1,5 tys. zabitych i rannych, a polskie – 100 poległych oraz drugie tyle rannych.

Krytycy Czarnieckiego zarzucają mu – niekiedy słusznie – że był raczej zagończykiem niż wodzem potrafiącym prowadzić zwycięską bitwę, z wykorzystaniem wszystkich rodzajów wojsk i oręża, przewidującym różnorakie zagrożenia i wykorzystującym wszelkie szanse powodzenia. Obarczanie go jednak winą za to, że gdy zajmował się wrogim zgrupowaniem nad Pilicą, szwedzki król wymknął się z sandomierskich wideł, nie jest trafne. Winę za to ponosi niefrasobliwy wódz litewski Jan Paweł Sapieha, który Karola Gustawa nie upilnował. Natomiast decyzja o wyjściu naprzeciw wrogiej odsieczy była racjonalna, bo w przeciwnym razie musiano by brać pod uwagę ryzyko stoczenia walnej bitwy z połączoną armią szwedzką.

Żaden opis Czarnieckiego nad Pilicą nie dorówna Sienkiewiczowskiemu („Potop”, t. III, rozdz. 9): „Nagle Czarniecki pojawił się jak piorun przed frontem chorągwi. Ogień miał w licach, piorun w oczach. Wiatr silny podnosił mu burkę na ramionach na kształt potężnych skrzydeł, koń pod nim skakał i wspinał się, wyrzucając płomień z nozdrzy, on zaś szablę puścił na temblak, czapkę zerwał z głowy i ze zjeżoną czupryną, z potem na czole, krzyknął do swojej dywizji:

– Mości panowie! Rzeką się nieprzyjacieli zastawił i drwi z nas! Morze przepłynął na pogwałcenie nam ojczyzny, a myśli, że my w jej obronie tej rzeki nie przepłyniemy!

Tu czapkę cisnął na ziemię, a chwyciwszy szablę, wskazał nią na wezbrane wody. Uniesienie go porwało, bo aż wstał w kulbace i jeszcze potężniej zakrzyknął:

– Komu Bóg! Komu wiara! Komu ojczyzna miła! Za mną!

I ścisnąwszy konia ostrogami tak, iż rumak jakoby w powietrze wyskoczył, rzucił się w nurty. Bryznęła naokół fala, mąż i koń skryli się na chwilę pod wodą, lecz wypłynęli w mgnieniu oka... Wtem



Partyzant Czarnieckiego w kolczudze z elementami zbroi husarskiej, uzbrojony w szablę typu węgiersko-polskiego (z paluchem), nadziak i dwa pistolety. Z prawej: szwedzki raitar w hełmie typu pappenheimer i kirsie, uzbrojony w szpadę walońską i dwa pistolety RYŚ. MAREK SZYSZKO

ława mężów i koni runęła w falę, aż woda wyskoczyła z szalonym rozpędem na brzegi...”.

Wracając zaś do Koldyngi, warto wiedzieć, że desant odbywał się w połowie grudnia na łodziach wprawdzie, ale przy wietrze i dużej fali. Oblewała ona Polaków, nie szczędząc srebrzystego półpancerza naszego bohatera (biedne konie płynęły w lodowatej wodzie, ciągnięte za uździenice). I to pozorne szaleństwo się opłaciło, bo przyczyniło się do zyskania korzystnego dla nas pokoju ze Szwecją.

Polonka A.D. 1660

Po zakończeniu wojny ze Szwecją Rzeczpospolita przystąpiła w 1660 r. do rozprawy z Moskwą, która od hołdu Zaporozców w Perejaślawiu (1654) rościła sobie prawo do Ukrainy, a od pięciu lat okupowała Litwę z Wilnem łącznie. Nasze wyniszczone państwo zdobyło się na wystawienie znacznych wojsk, w tym złożonych z zaprawionych w niedawnych walkach zabijaków. Tacy właśnie byli żołnierze Czarnieckiego, którzy wraz z litewskimi oddziałami hetmana wielkiego litewskiego Jana Pawła Sapiehy ruszyli na odsiecz Lachowiczom na Polesiu, obleganym przez moskiewskiego wodza Iwana Chowańskiego, stojącego na czele 20-tysięcznych wojsk. Ten zostawił pod twierdzą spore oddziały piechoty i stawiał czoło 13-tysięcznym wojskom

polsko-litewskim nad rzeką i pod miasteczkiem o tej samej nazwie – Polonka.

Od pierwszego spotkania podjazdów przez zajmowanie pozycji kontrolujących przeprawę przez rzekę do samego przebiegu bitwy zaznaczała się wyższość naszych dowódców i ich podkomendnych. Nawet siedem dział, którymi dysponowali nasi, sprawiło Moskwicinom więcej kłopotu niż liczna artyleria moskiewska (podaje się nawet liczbę 60 luf) wojskom Rzeczypospolitej. Nasza jazda oraz dragonia wygrywały z rosyjską każde starcie. Husarze Czarnieckiego z łatwością odrzucili np. próbę zajęcia grobli przez wroga. Kiedy zaś całe wojsko polsko-litewskie ruszyło do generalnego ataku, husaria Czarnieckiego i petyhorcy Sapiehy zmusili Rosjan do odwrotu. Gdy zaś być może największy bohater wojen szwedzkich – Gabriel Wojniłowicz – zaszedł i uderzył od tyłu ze swym wybornym pułkiem królewskim, odwrót wroga zamienił się w paniczną ucieczkę. Barwnie opisał to Jan Chryzostom Pasek, który w boju i w pościgu brał udział (oraz jeńców!). Chowański omal nie zginął, „dwa razy w łeb cięty”. Jego armia przestała istnieć. Nasze wojska weszły następnego dnia do Lachowicz, a do końca roku wróciły na wschodnie rubieże Księstwa Litewskiego.

Czarniecki bynajmniej nie stronił od pomnażania dóbr materialnych – drogą łupów wojennych, okupów za co przedniejszych jeńców, nadał

królewskich, powiększania posiadłości kosztem sąsiadów. Długo czas nie mógł jednak pozwalać sobie na takie wydatki (choćby na wojsko), na jakie stać było jasnie oświeconych. Jednakże był odważny i – jak typowy lisowczyk – nie oszczędzał się w walce. I gdyby zginął, to oddałby życie za ojczyznę, a nie tylko, i nie przede wszystkim, z „chudopacholskiej” pazerności. Porywcza natura i skłonność niezrównanego zagończyka do ryzyka powodowały przy tym, że tylu ran na własnym ciele, ile odniósł Stefan Czarniecki, nie odniósł żaden inny z większych dowódców.

Od kiedy został postrzelony w podniebienie podczas oblężenia Monasterzyska w tarnopolskim – z powodzeniem broniących w 1653 r. przez kozackiego atamana Iwana Bohuna – do końca życia miał kłopoty z mówieniem.

Z oblężanego przez Szwedów Krakowa wyniósł w 1655 r. ranę policzka, a w następnym roku Szwedzi ranili go pod Strzemesznem koło Rawy Mazowieckiej tak dotkliwie, że przez kwartał nie mógł dosiąść konia i wróg myślał, że już nie żyje. Podczas ostatniej ofensywy na Zadnieprzu – w 1664 r. – odniósł ranę od Rosjan podczas nieudanego oblężenia Głuchowa i – w tym samym roku – w bitwie pod Łysianką niedaleko Czerkasów na Ukrainie Prawobrzeżnej. Dwukrotnie zdobywał zbuntowane Stawiszczce – własnoręcznie, w tygrysiej skórze nosząc pod wały ładunki wybuchowe. Za pierwszym razem (w październiku 1664) wyciął wszystkich Kozaków, a za drugim (w styczniu 1665) całą pozostałą ludność miasta, które następnie spalił. I podczas tego ostatniego szturm odniósł ranę, która spowodowała jego śmierć 16 lutego 1665 r.

J.U. Niemcewicz: „Im ciężej Polskę los srogi ciemniżył, / Tym więcej wybudzał rycerza / Wszędzie przytomny tu Moskwę zwyciężył, / Tam Rakoczego uśmierza / I, nigdy mściwej nie składając broni, / Znosi Kozaków lub Tatarów goni”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Złota trzynastka mistrzów oręza



Maciej Rosalak

Cykl „Mistrzowie staropolskiej sztuki wojennej” rozpoczęliśmy w nr. 74. „Historii Do Rzeczy” „Ciosami staropolskiego oręza” na przykładzie wojny ze Szwedami w latach 1600–1611. Przewinęli się tam hetmani koronni – Zamoyski i Żółkiewski – oraz litewscy – Radziwiłł i Chodkiewicz. Wystąpili oni też w osobnych numerach „HDR”. Cykl tworzą następujące postacie: Konstanty Ostrogski (nr 75.), Jan Amor Tarnowski (nr 76.), Jan Zamoyski (nr 77.), Krzysztof Radziwiłł „Piorun” (nr 78.), Stanisław Żółkiewski (nr 79.), Jan Karol Chodkiewicz (nr 80.), Stanisław Koniecpolski (nr 81.), Stefan Batory (nr 83.), Władysław IV Waza (nr 84.), Jeremi Wiśniowiecki (nr 85.). Po bieżącym numerze – poświęconym Stefanowi Czarnieckiemu – zamierzamy jeszcze przypomnieć Jerzego Lubomirskiego oraz – jakże by inaczej! – Jana Sobieskiego.

O wyborze tych właśnie wodzów można oczywiście dyskutować; dorzucić jeszcze kilku, a paru odjąć. Wymienieni spełniają jednak istotne kryteria: talent militarny, znajomość kunsztu wojennego, rozwijanie staropolskiej sztuki wojennej, odnoszenie walnych zwycięstw, samodzielne przeprowadzanie udanych operacji. Wśród wymienionych powyżej 13 wodzów z XVI i XVII w. było trzech związanych urzędem hetmańskim z Wielkim Księstwem Litewskim (Ostrogski, Radziwiłł, Chodkiewicz), pozostali – z Królestwem Polskim. Trzech było władcami. Z tym że Sobieski odnosił wielkie zwycięstwa i jako hetman koronny, i jako król Jan III, a Wiśniowiecki umarł bez buławy i choć formalnie był „koroniarzem”, to z pochodzenia kniazem ruskim. Zresztą Rusinami z pochodzenia byli też Ostrogski (do śmierci wyznający prawosławie) i Chodkiewicz, katolik z własnego wyboru. Jedynym „prawdziwym” Litwinem jest w tym towarzystwie Radziwiłł (z kolei kalwin). Jak widzimy, termin „staropolski” jest trafny, ale w znaczeniu, jakie nadawano mu w dawnej, wielonarodowej i wielowyznaniowej Rzeczypospolitej, obejmującym całe państwo Dwojga Narodów, a w rzeczywistości trojga. Wojsko było natomiast formalnie litewskie albo polskie, albo polsko-litewskie, jeśli obydwie armie występowały razem. A z kolei w obydwu Rusini występowali równie licznie jak na całym obszarze zajmowanym dziś przez Litwę, Białoruś, Polskę i Ukrainę...

Jednym natomiast w naszej „Złotej trzynastce” wyróżnia się Czarniecki – nie pochodził z magnackiej rodziny. Nie stanowiły dlań oparcia wielki ród, koligacje, wykształcenie, majątek, zagraniczne wojaże i niemal dziedziczne tytuły senatorskie. Przypisuje się mu powiedzenie, że wyrósł „nie z soli ani z roli, ale z tego, co mnie boli...”. Zabolało go wtedy, w 1657 r., po ogromnych zasługach, jakie położył w wojnie ze Szwedami, że nie jemu, ale wielkiemu magnatowi, rówieśnikowi i konkurentowi – Jerzemu Lubomirskiemu, którego ród wzbogacił się dzięki żupom solnym i wszedł w posiadanie rozległych włości – przyznano pełną, koronną buławę hetmańską. Patriotyczna tradycja każe jednak jeszcze inaczej odczytywać owo powiedzenie. Otóż chwały przysparza troska o ojczyznę, nie zaś otrzymane w spadku fortuna i ziemia. I tego się trzymajmy. © ©

„Vasa” – galeon z Bałtyku



Michał Mackiewicz

pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego
w Warszawie

/ Miał być chlubą szwedzkiej floty, ale zaskakująco szybko znalazł się na dnie morza. I to bez udziału nieprzyjaciela



Król Szwecji Gustaw Adolf postanowił 1625 r. wzmocnić flotę wojenną, stanowiącą kluczowy element zamorskich kampanii, o wielki – jak na Bałtyk – okręt. Galeony jego klasy należały do największych jednostek, zaliczano je do tzw. Regalskeppet – okrętów królewskich. Projekt zlecono doświadczonemu mistrzowi szkutniczemu z Holandii, Henrykowi Hybertssonowi. Zasadniczym budulcem było drewno dębowe; na „Vasę” (vasa – snopek – herb szwedzkiej i polskiej dynastii panującej) zużyto aż 1 tys. tych cennych drzew. Poza imponującym uzbrojeniem ofensywnym złożonym z przeszło 60 dział rozmieszczonych na dwóch pokładach artyleryjskich (w tym 48 ciężkich dział 24-funtowych)

szwedzki kolos olśniewał snycerką – liczba rzeźb była wyjątkowa, sprawiała wrażenie pływającego pałacu. Okręt o długości 69 m i szerokości 12 m miał 1210 ton wyporności, co odpowiadało ówczesnym 400 łasztom. Dla porównania największe polskie okręty miały po 200 łasztów. Dziesięć żagli, z których sześć zachowało się po dziś dzień, miało łączną powierzchnię 1275 m.

W 1628 r. okręt został zwodowany. Niemal do końca lata trwało jego wyposażenie i 10 sierpnia wypłynął podczas imponujących uroczystości ze sztokholmskiego portu w swój pierwszy rejs. Nie trwał on zbyt długo; po przepłynięciu nieco ponad 1 km olbrzym przewrócił się na lewą burtę i zatonął, pogrążając w odmętach kilkudziesięciu ludzi. Kapitan Söfring Hansson, część

załogi i osób towarzyszących się uratowali. Szczęściem w nieszczęściu było to, że na pokład nie zdążono zamustrować 300 przewidzianych żołnierzy piechoty morskiej. Okręt, który miał być jednym z największych atutów w wojnie z Rzeczpospolitą i batem na krnąbrny Gdańsk, okazał się kosztowną wpadką. Przesłuchiwanego przed Radą Królewską Hanssona oskarżono o rażące zaniedbania, w tym o niezabezpieczenie armatnich lawet przed gwałtownym przechyłem. Zarówno kapitan, jak i ocalali członkowie załogi stanowczo odrzucali zarzuty oraz – jak dowiodły badania archeologiczne – mówili prawdę. Okręt był niestabilny i to pomimo prawidłowo dobranego balastu. Ostatecznie nikogo nie ukarano, tym bardziej że główny projektant już nie żył. Kilkadziesiąt lat po katastrofie wydobyto przy użyciu nurkowego dzwonu większość armatnich luf i o okręcie zapomniano.

Został odnaleziony dopiero w latach 50. ubiegłego wieku i po żmudnych, trwających kilka lat pracach podwodnych podniesiony w 1961 r. z głębokości przeszło 30 m. „Vasa” przetrwała w doskonałym stanie dzięki małemu zasoleniu Bałtyku i niewystępowaniu w tutejszych wodach żarłocznego małża – świdra (okrętowego *Teredo navalis*). Kadłub był w zasadzie nienaruszony, dookoła zalegały jednak tysiące elementów wyposażenia oraz dekoracje rzeźbiarskie, które ostatecznie powróciły na swe miejsce. Przez wiele miesięcy wrak galeonu, umieszczony w specjalnie dla niego zaprojektowanym pawilonie, polewano wodą, by ostatecznie znaleźć właściwą substancję konserwującą – politlenek etylenu. Przez kolejne kilkanaście lat kadłub nasączano jego roztworem. Ten unikatowy okręt nieustannie poddawany jest specjalistycznym zabiegom, które mają zachować go jak najdłużej w dobrej kondycji, bo procesu niszczenia nie udało się zupełnie zahamować. Okręt wraz z całym odnalezionym wyposażeniem i rzeczami osobistymi załogi, np. butelką rumu, będącym najstarszym zachowanym na świecie alkoholem, należy do najważniejszych atrakcji Sztokholmu. ©©



Fińskie vickersy

W 1936 r. Finlandia zakupiła w brytyjskim koncernie zbrojeniowym Vickers-Armstrong 32 sztuki 6-tonowych czołgów Mark E. W połowie lat 30. pojazdy te cechowały się niezłymi parametrami i były szeroko eksportowane. Ich licencyjną produkcję, po modyfikacjach, uruchomiono w Polsce (7 TP) i ZSRS (T-26). Tak jak w przypadku polskiej wersji Finowie zdecydowali się zastosować szwedzkie armaty przeciwpancerne kal. 37 mm systemu Boforsa zamiast standardowych krótkolufowych dział kal. 47 mm, niezbyt skutecznych wobec celów opancerzonych. Dostawy czołgów, pozbawio-

nich wież, uzbrojenia i radiostacji, zrealizowano dopiero w latach 1938–1939. Ślamazarnie szło także uruchamianie produkcji 37-milimetrowych dział i w chwili wybuchu wojny z ZSRS w listopadzie 1939 r. żaden z vickersów nie był gotowy do służby. Dopiero w toku konfliktu udało się skierować na front jedną kompanię, która wzięła udział w walkach. Z uwagi na skromną liczbę wozów i katastrofalną już wówczas sytuację strategiczną nie odegrała ona praktycznie żadnej roli. Finlandia przegrała wojnę, ale zadała przeciwnikowi olbrzymie straty i zdobyła wiele sprzętu. Także czołgi, a wśród nich kilkadziesiąt T-26 uzbrojonych w armatę kal. 45 mm, które zaadaptowano w fińskiej armii. Ocalałe vickersy zmodyfikowano poprzez zainstalowanie zdobycznych armat kal. 45 mm (ujednolicenie amunicji). Oznaczono je T-26E. Na zdjęciu jeden z zachowanych fińskich vickersów ze zdobycznym sowieckim działem. ©©

„Ość” 53 cm

W 1898 r. armia niemiecka otrzymała nowy karabin systemu Mausera – Gewehr 98. Zastosowano w nim nowy oryginalny bagnet. Wąska kłująco-sieczna głównia mierzyła 53 cm, a jej charakterystyczny kształt spowodował, że bagnet ochrzczono „ością”. Jelec był krótki i pozbawiony pierścienia, z ramieniem zakrzywionym w kierunku głowicy; drewniany trzon rękojeści miał dziewięć karbów, w głowicy zamocowano zatrask mocujący typu Weyersberg. Tego oryginalnego urządzenia użyto po raz pierwszy w bagnietach wz. 71/84; była to niewielka L-kształtna blokada z nawiniętą na trzpień spiralną sprężyną. Owo proste i niezawodne rozwiązanie znalazło zastosowanie w kolejnych niemieckich bagnietach oraz w wielu obcych – także polskich. W głowicy wyfrezowano kanał nasadowy, w który wchodziła obsada bagnetu stanowiąca integralną część karabinu oraz tkwiący w łożu wycior. Bagnet okazał się nieudany. Wiotka głównia ulegała trwałym deformacjom, giął się także jej trzpień, co powodowało uszkodzenie trzonu. W czasie pierwszej wojny światowej „ości” zastępowano krótszymi, ale masywniejszymi bagnietami wz. 98/05 o szerokich „liściastych” głowniach. ©©



Karabin Peabody–Martini

Poczesne miejsce w historii konfliktów europejskich zajmuje Peabody–Martini, zasadniczo tożsamy z przyjętym w 1871 r. w armii brytyjskiej karabinem Martini–Henry (słynnym z uwagi na jego kolonialny kontekst). Broń należała do pierwszych udanych jednostrzałowych karabinów odtłocowych z lat 60. XIX w. dostosowanych do naboju z mosiężną łuską. Na początku lat 70. Turcja podpisała z amerykańską firmą Providence Tool Company kontrakt na ich dostawę. Karabin posiadał zamek obrotowy osadzony na osi



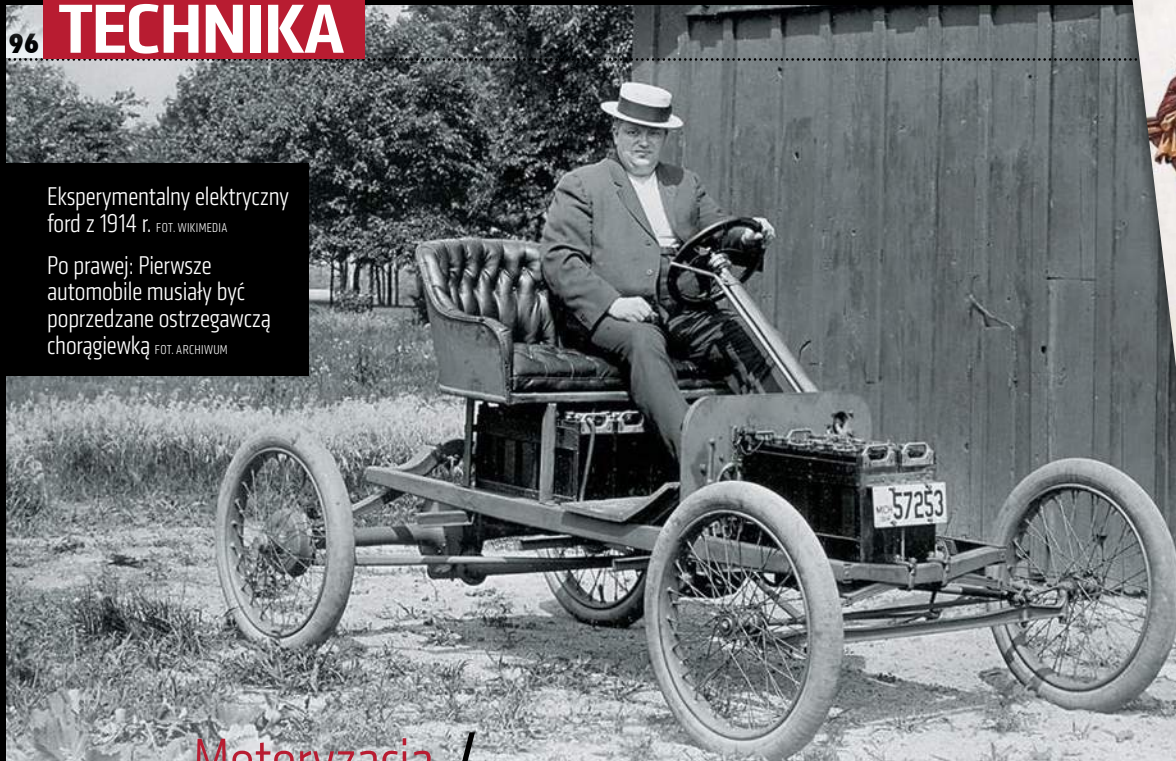
prostopadłej do lufy, a otwierało się go za pomocą dźwigni umieszczonej od spodu. Pociągnięcie w dół powodowało opadnięcie trzonu zamka umieszczonego w komorze i otwarcie dostępu do wlotu lufy; jednocześnie tym samym ruchem napinano osadzony w trzonie bijnik. Po włożeniu naboju dźwignię unoszono do góry, powodując powrót zamka. Lufa miała gwint o siedmiu bruzdach, a broń dostosowano do naboju centralnego za-

plonu kaliber 0,45 cala (11,43 mm). Karabin miał długość 123 cm i ważył niecałe 4 kg. Stosowano do niego dwa rodzaje bagnietów:

kłujący tulejowy lub sieczny w typie jatagana. Silny nabój oraz płaski tor lotu pocisku klasyfikowały go w ówczesnej czołówce. W chwili wybuchu wojny z Rosją (1877–1878) armia turecka dysponowała 600 tys. peabody-martini. To głównie dzięki nim, a także kilkudziesięciu tysiącom winchesterów, osmańscy żołnierze zdołali zadać carskim żołdaczom kolosalne straty, zwłaszcza podczas obrony bułgarskiej Plewny. ©©

Eksperymentalny elektryczny ford z 1914 r. FOT. WIKIMEDIA

Po prawej: Pierwsze automobile musiały być poprzedzane ostrzegawczą chorągiewką FOT. ARCHIWUM



Motoryzacja / Od dylżansu parowego do auta elektrycznego

Samochód, jaki jest, każdy widzi

Za początek dziejów automobilizmu uważa się rok 1886 i wynalazek niemieckiego inżyniera KCarla Benza. Jednak wizja ta jest efektem skutecznej kampanii marketingowej przeprowadzonej sto lat później, gdy na świecie królowały pojazdy napędzane silnikiem spalinowym. Samochód jest bowiem albo starszy od wynalazku Benza, albo młodszy.

Starszy dlatego, że silnikowe pojazdy drogowe pojawiały się w Europie przez cały XIX w., a szczególną popularnością cieszyły się samochody parowe. Budowano je w różnych kształtach i wielkościach: były więc parowe omnibusy pasażerskie, jeszcze większe lokomobile rolnicze i całkiem małe wozy wyścigowe. O ich znaczeniu najlepiej świadczy często wspominana brytyjska Ustawa o czerwonej fladze z roku 1865. Nakazywała ona,



Tymoteusz Pawłowski

/ W ostatnich latach mamy do czynienia z prawdziwą rewolucją na rynku motoryzacyjnym – pojawieniem się hybryd i samochodów elektrycznych. Wydawać się może, że niedługo klasyczne samochody odejdą w niepamięć. Czy jednak istnieje coś takiego jak „klasyczny samochód”?

aby przed każdym omnibusem parowym biegł człowiek trzymający czerwoną flagę. Nie jest to jednak – jak często się to przedstawia – dowód na zacofanie Anglików, tylko na siłę lobby przewoźników konnych, walczących z zyskującą

popularność motorową konkurencją. Samochody parowe były bardzo popularne w połowie XIX w., nie tylko zresztą w miastach, lecz także na prowincji. I to dalekiej – w 1878 r. odbył się nawet pierwszy rajd samochodowy w dalekim



amerykańskim Wisconsin. Zwycięskie auto pokonało dystans 323 km w czasie 33 godzin i 27 minut.

W tym czasie zaczęły się już pojawiać samochody elektryczne: w 1881 r. pierwszą taką maszynę zaprezentował Francuz Gaston Planté i niemal natychmiast znalazł naśladowców. Samochody parowe i elektryczne opanowały ulice oraz drogi: w Stanach Zjednoczonych na początku XX w. 40 proc. samochodów miało napęd parowy, 38 proc. – elektryczny, a jedynie 22 proc. – spalinowy. Było to związane z faktem, że jeżdżono głównie w miastach, gdzie „elektryki” i auta parowe mogły zaprezentować swoje zalety.

Karierę samochodów elektrycznych i parowych zakończyła pierwsza wojna światowa. Toczyła się ona poza miastami, gdzie lepiej sprawdzały się samochody napędzane silnikami spalinowymi. Armie kupowały je dziesiątkami tysięcy, a następnie tanio sprzedawały jako demobil. Świat opanowały więc samochody spalinowe.

Prawdziwy samochód

Większość z nas nie rozpoznałaby jednak w XIX-wiecznych pojazdach silnikowych samochodu. Uznalibyśmy, że jest to powóz – dorożka czy dyliżans – czekający na zaprzęgnięcie do niego konia. Pasażerowie siedzieli zwróceniem do siebie twarzami, silnik schowany był pod jedną z ławek, próżno by szukać okrągłej kierownicy – zamiast niej występował komplet przekładni i korb.

Klasyczna konstrukcja samochodu – z silnikiem z przodu, siedzeniami ustawionymi w kierunku jazdy, kołami z oponami pneumatycznymi – pojawiła się dopiero w XX w. Puryści mogą się spierać, któremu automobilowi należy się palma pierwszeństwa: wyścigowemu mercedesowi 35 PS z 1901 r. czy użyt-

kowemu mercedesowi Simplex z 1903 r. W tym samym roku do produkcji został skierowany Ford B, a kilka lat później Ford T, którego wyprodukowano blisko 15 mln egzemplarzy.

Dzisiejszy kierowca miałby jednak poważne problemy z prowadzeniem forda T, najprawdopodobniej nie zdołałby go nawet uruchomić. Chociaż silnik był spalinowy, to zupełnie inne były jego części, począwszy od karburatora – przodka gaźnika – a skończywszy na instalacji elektrycznej (której z reguły nie było, drogę oświetlały lampy karbidowe). Problemy byłyby również ze znalezieniem odpowiedniego paliwa, ówczesne miały niską liczbę oktanową. Codzienna obsługa samochodu była dużo bardziej skomplikowana, nie istniał chociażby centralny system smarowania, ręczną olejarką trzeba było obsłużyć kilkadziesiąt podzespołów. W tym czasie właściciel samochodu musiał albo mieć duże umiejętności techniczne, albo zatrudniać szofera.

Obsługa samochodu stała się dużo prostsza w latach 30., gdy zaczęto produkować auta przeznaczone dla masowego odbiorcy. Pojawiły się w miarę tanie i proste samochody, takie jak Opel Adam, Fiat 500 Topolino czy nowy Ford B. Zmianę jakościową przyniósł jednak pojazd klasy wyższej – Citroën Traction Avant – z 1934 r. Zastosowano w nim rewolucyjne rozwiązania: przedni napęd, niezależne zawieszenie oraz nadwozie samonośne (dziś nazwalibyśmy je „półsamonośnym”). Był to jednocześnie pierwszy pojazd, w którym człowiek z XXI w. nie czułby się zagubiony i zdezorientowany, a największym problemem byłoby hamowanie.

Chwilowa moda

Citroën Traction Avant produkowano przez ponad 20 lat i nawet w 1957 r. był całkiem nowoczesny. Wyodrębnione błotniki sprawiały jednak, że wyglądał na staruszkę – po drugiej wojnie światowej w „nowoczesnych” samochodach było nadwozie typu „ponton”, ze zintegrowanymi błotnikami. Miał również nieskuteczne hamulce bębnowe. Jego następcę – równie rewolucyjny Citroën DS – wyposażono już w hamulce tarczowe. Stanowiło to olbrzymią zmianę jakościową: gdy w Polsce lat 60. pojawiły

się pierwsze licencyjne fiaty 125p, na ich tylnej szybie były naklejki ostrzegające kierowców jadących z tyłu o takich hamulcach – droga hamowania była dwa razy krótsza i nieuważny kierowca jadący z tyłu łatwo mógł „zaliczyć dzwona”...

Fiat 125 – tak jak inne produkowane w tym czasie samochody – oprócz hamulców technicznie nie różnił się zbyt wiele od Citroëna Traction Avant. Zmiana nastąpiła w roku 1974, gdy pojawił się Volkswagen Golf. Auto nieskomplikowane, tanie, z przednim napędem i obszernym bagażnikiem. Prezentował zupełnie nową filozofię produkcji samochodów: wydajną technicznie i ekonomicznie, ale bardzo przyziemną i pozbawiającą przemysł motoryzacyjny resztek poezji. Przed pojawieniem się Golfa samochody wyraźnie się od siebie różniły, jeden model samochodu oznaczał z reguły jeden typ nadwozia wyposażony w jeden silnik. Kupno samochodu wymagało podjęcia decyzji, co chce się mieć: samochód praktyczny czy sportowy? Teraz wystarczyło kupić golfa w odpowiedniej wersji nadwoziowej i silnikowej.

Mniej więcej w tym samym czasie popularne w samochodach osobowych stały się silniki wysokoprężne. Pod koniec XX w. uważano, że właśnie one – ze względu na oszczędność i wytrzymałość – stanowią będącą przyszłością napędów automobilowych. Dzisiaj wiemy, że stanowiły... chwilowy trend, podobnie jak samochodowe silniki dwusuwowe, turbiny napędowe czy silniki Wankla.

Z perspektywy lat widać, że dużo większe znaczenie od silników Diesla miało otwarte nadwozie typu kabriolet. W czasach, gdy nie było klimatyzacji, długie międzymiastowe podróże odbywane w ciepłych porach roku były torturą – chyba że jechało się kabrioletem. Przez kilkadziesiąt lat składany dach miał znaczenie praktyczne, chociaż dziś wydaje się gadżetem zarezerwowanym dla aut rozrywkowych...

Samochody – a dzieje ich praktycznego zastosowania mają około 200 lat – niemal w każdym dziesięcioleciu wyglądały inaczej. Nie ma podstaw do narzekania, że auta elektryczne zabijają prawdziwą motoryzację, bo to one są prawdziwą motoryzacją. Zresztą odrodzenie samochodów elektrycznych może trwać tylko chwilę, a już za kilka lat będziemy – znów – korzystać z napędu parowego.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

Z POCZĄTKIEM SIERNIA 1920 ROKU SYTUACJA POLSKICH WOJSK STAWAŁA SIĘ CORAZ TRUDNIEJSZA. DOWODZĄCY BOLSZEWICKIM FRONTEM ZACHODNIM MICHAŁ NIKOŁAJEWICZ TUCHACZEWSKI BYŁ PEWIEN, ŻE ZDOBYCIE WARSZAWY TO TYLKO KWESTIA CZASU. 10 SIERNIA PODJĄŁ DECYZJĘ O ROZDZIELENIU SIŁ I SKIEROWANIU CZĘŚCI ODDZIAŁÓW NA PÓŁNOC OD STOLICY POLSKI. ICH CELEM BYŁO ZDOBYCIE PRZEPRAWY PRZECZ WISŁĘ NA ODCINKU OD WŁOCŁAWKA DO DOBRZYŃA, A NASTĘPNIE OPANOWANIE LINII KOLEJOWEJ, KTÓRĄ DOSTARCZANO ZAOPATRZENIE DLA POLSKIEGO WOJSKA, TRANSPORTOWANE Z FRANCJI DO GDAŃSKA DROGĄ MORSKĄ, ODCIĘCIE STOLICY OD DOSTAW BRONI I AMUNICJI PRZYSPIESZYŁOBY KLĘSKĘ POLSKI.

ABY POWSTRZYMAĆ BOLSZEWIKÓW PODJĘTO DECYZJĘ, O BUDOWIE NA WYSOKOŚCI WŁOCŁAWKA DUŻEGO PRZEDMOŚCIA O DŁUGOŚCI NIEMAL 18 KILOMETRÓW. NIE ZDĄŻONO JEDNAK ZREALIZOWAĆ WSZYSTKICH ZAPLANOWANYCH UMOCNIEŃ...



BRAKOWAŁO TEŻ ŻOŁNIERZY ABY OBSADZIĆ DOBRZE WSZYSTKIE ODCINKI. W DNIU BOLSZEWICKIEGO ATAKU 16 SIERNIA 1920 ROKU BYŁO TO OKOŁO 1900 LUDZI DYSPONUJĄCYCH 18 KARABINAMI MASZYNOWYMI I 8 DZIAŁAMI - ZA MAŁO, ŻEBY ZATRZYMAĆ LICZNIJSZE SIŁY WROGA...



CZĘŚCI POLSKICH ŻOŁNIERZY UDAŁO SIĘ PRZEDOSTAĆ PRZEZ MOST DO WŁOCŁAWKA. PRZEZ NASTĘPNE GODZINY POWSTRZYMYWALI ONI PRÓBY OPANOWANIA PRZEPRAWY PRZEZ BOLSZEWIKÓW. NATOMIAST OKOŁO GODZINY 21 DOWÓDZTWO WYDAŁO ROZKAZ PODPALENIA MOSTU.

W WYNIKU POŻARU, METALOWA KONSTRUKCJA MOSTU ZAWALIŁA SIĘ. BOLSZEWICY KONTYNUOWALI W KOLEJNYCH DNIACH OSTRZAŁ ARTYLERYJSKI I KARABINOWY MIASTA. JEDNOCZEŚNIE PRZYGOTOWYWALI SIĘ DO PRZEPRAWY PRZEZ RZECĘ, BUDUJĄC PROWIZORYCZNE TRATWY. JEDNAK 19 SIERNIA WYCOFALI SIĘ Z OKOLIC WŁOCŁAWKA.



Wyrzykowski & Jasiński 2020



/ Wspomnienie

Janusz Cisek

(1955–2020)

28 lutego br. zmarł prof. dr hab. Janusz Cisek (1955–2020) – człowiek, którego znałem od 1995 r. i któremu bardzo dużo zawdzięczać jako historyk. Był dla mnie pod tym względem pewnie tak ważny jak mistrz Roman Wapiński, a może nawet kimś znacznie ważniejszym... Sam nie wiem. W każdym razie trudno mi sobie siebie wyobrazić, gdybym nie spotkał w Instytucie Piłsudskiego w Nowym Jorku Janusza.

Nie ma sensu opisywać tego całego dobra, którego przez te ćwierć wieku od Niego doświadczyłem. Musiałbym spory tekst popełnić, a może i zgrabną książeczkę. Po prostu jestem mu za wszystko dożgonnie wdzięczny: za spotkanie postaci Katelbacha, Matuszewskiego, Rajchmana, dzieje KNAPP..., czyli tematy i obszary historii, które w pewnym sensie stworzyły mnie jako historyka. Ba, dały nawet stopnie naukowe. Zresztą w każdej ze swoich książek starałem się zaakcentować tę wdzięczność, która nigdy nie pozwalała mi go potępić, mimo starań wielu ludzi, którzy go zwalczali i świadczyli przeciw niemu.

To nie były tylko wskazówki i prowadzenie za rączkę po archiwum Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku, gdzie Janusz był dyrektorem. To były długie rozmowy, rekomendacje, lektury, poznawanie interesujących ludzi, wspólne wyjazdy... Worki podarowanych książek... a w nich dedykacje wielkich Polaków... Kawał historii i wspomnień. I wielkie serce. Janusz był piłsudczykiem, człowiekiem zafascynowanym czynem legionowym. Ja zaś krytycznym wobec Piłsudskiego konserwatystą, pewnie bardziej zafascynowanym Dmowskim niż Komendantem. I Janusz tę moją „wadę”

w pełni tolerował i robił to w najlepszej formie. Nie napastliwie, nie szturchając, ale dyskutując, spierając się, przyznając też wiele racji. Innymi słowy, był otwarty i zwłaszcza w ostatnich latach akcentował potrzebę głoszenia nieszablonowych i nowych poglądów na historię. W sporach z szaleńcami i cenzorami o tzw. zychowszczyznę był z nami!

Janusz walczył z białaczką latami, niczym heros. Coraz mniejszy, coraz chudszy, a mimo tego na swój sposób pogodny. Był zdeterminowany i niepodległy ze stopniowym odchodzeniem, stąd zapewne przyszedł jakiś rok temu z całym zestawem rachunków za leki (wydawać musiał ok. 20 tys. zł miesięcznie na leki!)... Byłem tym poruszony do głębi serca, zawstydzony, bo Janusz prosił mnie o pomoc. Próbowałem – nieważne jest teraz w jaki sposób – ale odbiłem się od ściany, bo przecież Januszowi pomagać nie wolno było, gdyż był wiceministrem spraw zagranicznych za czasów Radosława Sikorskiego. Takie słowa usłyszałem. Nigdy mu ich nie powtórzyłem.

Teraz już wszystko wie, bo każdy, kto odejdzie, zna już przeszłość w sposób doskonały. Ech... każdy po śmierci staje się najlepszym z historyków! Już nic nie jest mu bowiem zakryte, choć w perspektywie wieczności jest mu to wszystko obojętne. Kilka tygodni temu wypiliśmy z Januszem kawę na pl. Unii Lubelskiej. Był po kolejnej operacji i jeszcze bardziej wychudzony. Przepraszał za nieobecność na promocji pism Matuszewskiego, ale nie był w stanie przyjść o własnych siłach. Pierwszy raz w życiu Janusz mnie wyściskał i pocałował na pożegnanie. Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc strasznie głupio zareagowałem na to kiepskim żartem – że chciałbym też tak schudnąć. To miała być pociecha, ale on

nie powiedział już nic, uśmiechnął się tylko delikatnie i odszedł. To było moje z nim pożegnanie.

Tak straciłem Janusza, ale trochę także straciłem kawał swojej historii. Mam go w sercu na zawsze i na warszawskich Powązkach Wojskowych, gdzie spoczął 11 marca.

Żegnam Cię, kochany Januszu, wierszem Kazimierza Wierzyńskiego, którego też mi przywróciłeś i jakoś ofiarowałeś w latach 90. W dniu Twego odejścia nie znajduję słów większych niż te, które skreślił poeta dla mnie największy – Wierzyński:

Do moich zmarłych

Zmarli moi, nie opuszczajcie mnie!

*Tylko przy waszej śmierci bliski jestem życia,
Tylko wspomnienie o was nie zmniejsza mi świata,*

*Tylko wy, nieskalani, uszliście rozbitcia,
Tylko wśród was mam ojca i matkę, i brata,
Tylko wasze istnienie jest mi tu konieczne,
Tylko za wami iść mi, iść na wieki wieczne.*

Zmarli moi, pozostajcie przy mnie!

*Tylko przez was nie ginie to, co kiedyś było,
Tylko przez was zabliznia się czas poszarpany,
Tylko przez was pojmuję mą przeszłość zawiłą,
Tylko w was śmierć i życie nie krwawią jak rany,
Tylko na was się godzą i w was nie są sprzeczne,
Tylko za wami iść mi, iść na wieki wieczne.*

Zmarli moi, pomóżcie mi!

*Tylko przez was się budzi moja wiara ze snu,
Tylko przez was dosięgam jej siły w pokorze,
Tylko wy mnie wznosicie nad próbę doczesną,
Tylko z was mnie oświeca, co jest ostateczne,
Tylko za wami iść mi, iść na wieki wieczne.*

Zmarli moi, usłyszcie mnie!

*Tylko tą ludzką mową mówić do was mogę,
Tylko tą ziemią zdążyć, która was poczęła,
Tylko to niebo wspomnieć i pola, i drogi,
Tylko to miasto w gruzach, zburzone w nim dzieła,
Tylko za wami, coście szli w łuny tameczne,
Tylko za wami iść, iść na wieki wieczne.*

Amen

©

Sławomir Cenckiewicz



Militaria.pl

Z DUMĄ WSPIERAMY



FUNDACJA IM.
CICHOCIEMNYCH
SPADOCHRONIARZY
ARMII KRAJOWEJ

www.FUNDACJACICHOCIEMNYCH.PL



GDYNIA ŚWIĘTOJAŃSKA 84 • KATOWICE GALERIA KATOWICKA • KRAKÓW DIETLA 51 • ŁÓDŹ MANUFAKTURA • POZNAŃ POZNANIA • SZCZECIN AL. PIASTÓW 53
WROCLAW OŁAWSKA 16 • WROCLAW ALEJA BIELANY • WARSZAWA BLUE CITY • WARSZAWA TAMKA 49 • WARSZAWA WOLA PARK